

L O R D J I M

PISMA ZBIOROWE JOSEPHA CONRADA

(KONRADA KORZENIOWSKIEGO)
Z PRZEDMOWĄ STEFANA ŻEROMSKIEGO

V a.

L O R D J I M



WARSZAWA 1933

DOM KSIĄŻKI POLSKIEJ SPÓŁKA AKCYJNA

<http://rcin.org.pl>

JOSEPH CONRAD

LORD JIM

OPOWIEŚĆ

PRZEŁOŻYŁA
ANIELA ZAGÓRSKA

TOM DRUGI

INSTYTUT
BADAŃ LITERACKICH PAN
Biblioteka
ul. Nowy Świat Nr 72
00-230 Warszawa
Tel. 26-68-63, 26-52-31 w. 42



WARSZAWA 1935

DOM KSIĄŻKI POLSKIEJ SPÓŁKA AKCYJNA

<http://rcin.org.pl>



PRAWA PRZEDRUKÓW I PRZERÓBEK ZASTRZEŻONE
COPYRIGHT BY ANIELA ZAGÓRSKA, WARSAW 1933

ODBITO 3200 EGZEMPLARZY
NUMEROWANYCH

193

DOM KSIĄŻKI POLSKIEJ SPÓŁKA AKCYJNA
Hurtownia dla księgarzy i wydawców pod zarządem E. W. Szelażka.
Warszawa, Plac Trzech Krzyży 8.

DRUKARNIA NARODOWA W KRAKOWIE

<http://rcin.org.pl>

R o z d z i a ł XXIV

— Patusańskie wybrzeże (zobaczyłem je prawie w dwa lata później) jest równe, posępne i ciągnie się wzdłuż mglistego oceanu. Z pod ciemnozielonego listowia krzewów i pnączy, okrywających niskie skały, wypływają czerwone smugi niby katarakty rdzy. Bagniste równiny ścielą się przy ujściu rzek, a za rozległymi lasami widać poszarpane, błękitne szczyty. Na pełnym morzu łańcuch wysp o ciemnych i pokruszonych sylwetach rysuje się w wiecznej, rozświetlonej mgłę jak resztki muru zwałonego przez morze.

— U jednej z odnóg ujścia Batu Kring leży wieś rybacka. Rzeka, zamknięta przez tak długi czas, była już wówczas dostępna i mały szkuner Steina, który mnie przywiózł, płynął mozolnie w górę na fali trzech przyływów, nie narażając się na ostrzeliwanie ze strony „nieodpowiedzialnych oddziałów“. Taki stan rzeczy należał już do historii starożytnej, o ile można było wierzyć staremu naczelnikowi rybackiego osiedla, który przybył na pokład poniekąd w roli pilota. Byłem drugim z rzędu białym człowiekiem, jakiego wogóle widział; mówił do mnie z zaufaniem i prawie wyłączenie na temat pierwszego białego, z którym się zetknął. Nazywał go tuanem Jimem, a ton jego relacji był dziwną mieszaniną poufałości i grozy. Opowiadał że cała jego wieś pozostaje pod szczególną opieką tego władcy, co świadczyło iż biały tuan uraz nie przecho-

wywał. Jim uprzedził mnie, że wkrótce o nim usłyszę i tak się też stało. Słyszałem o nim rzeczywiście. Rozpowiadano już historję o tem, jak przyплыw zjawił się dwie godziny przed czasem aby ułatwić Jimowi podróż wgórę rzeki. Gadatliwy staruszek sam wówczas sterował i nie mógł się nadziwić owemu zjawisku. W dodatku chwała spadła wyłącznie na jego rodzinę. Syn jego i zięć wiosłowali; ale byli to młodzieńcy bez żadnego doświadczenia i nie spostrzegli szybkości, z jaką posuwało się czółno, póki im nie zwrócił uwagi na ów fakt zdumiewający.

— Przybycie Jima do rybackiej wsi stało się błogosławieństwem, ale — jak nieraz się zdarza — błogosławieństwo to poprzedziły przerażające wypadki. Tak wiele pokoleń minęło od czasu, gdy ostatni biały człowiek nawiedził rzekę, że zaginęła nawet tradycja tego faktu. Niepokojącym było pojawienie się istoty, która zstąpiła między mieszkańców wioski i żądała nieugięcie aby ją zawieźć w górę rzeki do Patusanu; naleganie owej istoty było groźne, a hojność więcej niż podejrzana. Nikt nigdy o takim żądaniu nie słyszał. To się nigdy jeszcze nie zdarzyło. Co powie radza? Co mógłby im za to zrobić? Większą część nocy spędzili na naradzie, lecz bezpośrednio niebezpieczeństwo, grożące ze strony dziwnego człowieka, wydało im się tak wielkie, że zajęli się wkońcu przygotowaniem wywrotnego czółna. Kobiety rozpaczały głośno, gdy odbili od brzegu. Jakaś nieulekła stara wiedźma przeklęła nieznanego.

— Zasiadł w czółnie, jak wam już mówiłem, na swym blaszanym kufrze, piastując nienabity rewolwer na kolanach. Ze względu na wywrotność czółenka musiał siedzieć bardzo ostrożnie, co jest wprost wyjątkowo

męczące — i tak wjechał do kraju, który miał napełnić chwałą swych cnót, od modrych szczytów w głębi łądu aż do białej wstęgi piany u wybrzeża. Minęli pierwszy zakręt; Jim stracił z oczu morze, którego fale w nieustającym nigdy wysiłku dźwigają się, opadają i nikną by powstać znowu, istny obraz walczącej ludzkości — i ujrzał naprzeciw siebie nieporuszone lasy, wrosłe głęboko w ziemię, wznoszące się ku słonecznemu światłu, wieczne w tajemniczej potędze swej tradycji jak samo życie. A upragniona przez Jima sposobność towarzyszyła mu, zakwefiona, niby wschodnia oblubienica, czekająca aby władca jej podniósł zasłonę. Jim był również dziedzicem tajemniczej i potężnej tradycji! Mówił mi jednak, że nigdy w życiu nie czuł się taki przybity i znużony jak wówczas w tem czółnie. Jedynym ruchem, na który śmiał sobie pozwolić, było sięgnięcie jakby ukradkiem po skorupę kokosowego orzecha, która pływała między jego nogami; wylewał nią potrochu wodę ostrożnym, powściągliwym ruchem. Przekonał się jak twardo siedzieć na pokrywie blaszanej skrzyni. Zdrowie miał niesłychane, lecz w ciągu tej podróży doznał kilka razy zawrotów głowy, a od czasu do czasu starał się nawpół przytomnie odgadnąć, jakich rozmiarów jest pęcherz, który pod wpływem słońca tworzy mu się na plecach. Dla rozrywki bawił się w rozpoznawanie, czy zamulony obiekt, leżący przed nim na brzegu rzeki, jest kłodą drzewa czy też aligatorem. Lecz bardzo prędko musiał tego zaniechać. Okazało się że niema w tem nic zabawnego. Były to zawsze aligatory. Jeden z nich rzucił się do rzeki i o mało co nie wywrócił czółna. Ale podniecenie tym wypadkiem prędko minęło. Potem, gdy jechali długim, pustym obszarem rzeki, Jim

uczul żywą wdzięczność dla grupy małą, które zeszyły aż na sam brzeg i podniosły obelżywy wrzask przy przejeździe czółna. W taki to sposób dążył do wielkości — najprawdziwszej jaką kiedykolwiek człowiek osiągnął. Tęsknił nadewszystko za zachodem słońca — a tymczasem jego trzej wioślarze gotowali się do wykonania swego planu: zamierzali wydać go radzy.

— „Zmęczenie musiało mię ogłupić, a może się na pewien czas zdrzemnąłem“ — opowiadał mi Jim. Gdy się ocknął, czółno przybijało do brzegu. Zdał sobie sprawę natychmiast, że las został za nimi; nieco wyżej spostrzegł domy, po lewej stronie częstokół i ujrzał, że jego wioślarze wyskakują na niski przylądek i biorą nogi za pas. Odruchowo wyskoczył za nimi. Z początku nie mógł zrozumieć dlaczego go porzucili, lecz zaraz usłyszał podniecone krzyki, wrota się otworzyły i wysypało się mnóstwo ludzi, biegnących w jego stronę. Jednocześnie łódź pełna zbrojnych mężczyzn ukazała się na rzece i zbliżyła do pustego czółna, odcinając mu odwrót.

— „Zanadto byłem zaskoczony aby zachować zimną krew — rozumie pan? Gdyby ten rewolwer był nabit, strzeliłbym do kogoś — do dwóch, może trzech ludzi i wszystkoby się skończyło. Ale nie był nabit...”

— „Dlaczego?“ — zapytałem.

— „Nie mogłem przecież walczyć z całą ludnością, a zresztą nie przybywałem do nich jak człowiek, który drży o swoją skórę — rzekł i spojrział na mnie z lekkim odcieniem dawnego chmurnego uporu w oczach. Powstrzymałem się od uwagi, iż tamci nie mogli przecież wiedzieć, że komory rewolweru są puste. Niech sobie tłumaczy jak chce swoje postępowanie. —

Tak czy inaczej, nie był nabity — powtórzył wesoło — więc też stałem poprostu bez ruchu i zapytałem, o co im chodzi. Wprawiło ich to w osłupienie. Zobaczyłem jak kilku tych złodziei unosiło moją skrzynię. Stary długonogi łotr, Kassim (pokażę go panu jutro rano) wybiegł do mnie i oświadczył pompatycznie, że radza chce mię widzieć. Odpowiedziałem mu — „dobrze, ja także chcę się z radzą zobaczyć“, i wszedłem zwyczajnie przez bramę, i — i — oto jestem. — Roześmiał się i dodał z niespodzianym naciskiem: — A wie pan, co z tego wszystkiego najciekawsze? zaraz panu powiem: oto świadomość, że gdyby mnie byli zakatrupili, właśnie ten kraj byłby na tem stracił“.

— Mówił to do mnie przed swoim domem owego wieczoru, o którym już wspominałem — kiedyśmy śledzili księżyc — wypływający z rozpadliny między wzgórzami, jak mara co wznosi się z grobu; blask jego zstępował, zimny i blady, niby duch umarłego słońca. Światło księżycy jest dziwnie niepokojące; ma w sobie beznamietność odcieleśnionego ducha i coś z jego niepojętej tajemnicy. Do naszego słońca, które — mówcie sobie co chcecie — jest źródłem wszelkiego życia, księżyc ma się jak echo do dźwięku; zwodzi nas i prowadzi na manowce, bez względu na to czy dźwięk był szyderczy czy smutny. Księżyc odbiera wszystkim kształtom rzeczywistość — która jest ostatecznie naszą dziedziną — odbiera im ich istotę i nadaje ponurą realność tylko ceniom. Tedy cienie wokół nas były bardzo realne, lecz mimo to Jim obok mnie wyglądał krzepko, jakby nic nie mogło pozbawić go rzeczywistości w mych oczach — nawet tajemnicza siła księżycowego blasku. Może doprawdy był nietykalny, ponieważ wytrzymał natarcie ciemnych potęg.

Spokój i cisza panowały wszędzie; nawet promienie księżycy spały na rzece jakby na powierzchni stawu. Był to punkt kulminacyjny przypływu, chwila bezruchu uwydatniająca jeszcze wyraźniej zupełne odcięcie od świata tego zatraconego kąta ziemi. Domy, skupione wzdłuż rozległej, jaśniejszej przestrzeni bez zmarszczek lub błysków, zstępowały ku wodzie szeregiem stykających się, niewyraźnych kształtów, szarych, srebrzystych, pomieszanych z czarnymi masami cienia. Były niby upiorne stado bezkształtnych stworzeń, cisnących się do widmowej, martwej rzeki aby ugasić pragnienie. Gdzieniedzie połyskiwało czerwone światło wśród bambusowych ścian, ciepłe jak żywa iskra, świadczące o ludzkich uczuciach, o schronieniu, o wypoczynku.

— Jim wyznał mi, że śledził często te drobne, ciepłe światełka gasnące jedno po drugim, że patrzył z rozkoszą jak ludzie kładą się spać w jego oczach, ufając bezpiecznemu jutru.

— „Spokojnie tu, co? — zapytał. Nie był wymowny, ale słowa, które teraz miał wypowiedzieć, zawierały głębokie znaczenie: — Niech pan spojrzy na te domy; niema wśród nich ani jednego, gdzieby mi nie ufano. Słowo daję! Powiedziałem panu, że tu wytrwam. Niech pan spyta kogokolwiek — mężczyzny, kobiety, czy dziecka... — Zatrzymał się. — Jednym słowem — czuję się tu zupełnie dobrze“.

— Wtrąciłem szybko, że przekonał się wreszcie o tem, czego byłem pewien od samego początku. Potrząsnął głową.

— „Naprawdę był pan tego pewien? — Ścisnął lekko moją rękę nad łokciem. — A więc — miał pan słuszność. — Było uniesienie i duma, była prawie groza w jego cichym okrzyku: — Miły Boże! niech

pan tylko pomyśli, czem to jest dla mnie. — Ścisnął znów moje ramię. — A pan pytał, czy nie myślę o powrocie. Jakto? Ja? o powrocie! Szczególniej teraz, po tem co mi pan powiedział o panu Steinie... Wrócić? Cóż znowu! Tego się właśnie boję. Byłoby to — byłoby to gorsze niż śmierć. Nie — daję panu słowo. Niech pan się nie śmieje. Muszę czuć każdego dnia, za każdym razem gdy oczy otworzę — że mi ufają — że nikt nie ma prawa — rozumie pan? Wyjechać! Dokąd? Dlaczego? Żeby zdobyć — co?”

— Powiedziałem mu właśnie (był to główny cel moich odwiedzin), że Stein ma zamiar ofiarować mu dom i cały zapas towarów w Patusanie na pewnych dogodnych warunkach, które uczynią z tego najzupełniej prawidłową i ważną tranzakcję. Jim zachnął się i zaczął stawać dęba.

— „Do licha z tą pańską delikatnością! — krzyknąłem. — To nie jest żadna łaska ze strony Steina. On poprostu oddaje panu to, co pan sam wypracował. A w każdym razie niech pan zachowa swoje uwagi dla Mac Neila — kiedy spotkacie się na tamtym świecie. Mam nadzieję że to prędko nie nastąpi“... Musiał się poddać moim argumentom, ponieważ wszystko co zdobył — zaufanie, sławę, przyjaciół, miłość — wszystko, przez co się stał władcą, uczyniło z niego także i więźnia. Spoglądał okiem właściciela na spokój wieczoru, na rzekę, na domy, na wieczysty żywot lasów, na życie pierwotnej ludzkości, na tajemnice tego kraju, na dumę własnego serca; ale to właśnie one zawładnęły nim i uczyniły go swoją własnością aż do najtajniejszej jego myśli, do najbliższego drgnienia serca, do ostatniego oddechu.

— Miał z czego być dumny. I ja też byłem

dumny — za niego, choć nie wierzyłem tak głęboko w bajeczną wartość tej transakcji. Działalność Jima innie zdumiewała. I nie miałem tu głównie na myśli jego nieulekłego męstwa. To dziwne jak mało je brałem pod uwagę: jakby było czemś zbyt banalnym aby je uważać za sedno sprawy. Nie. Uderzyły mnie bardziej inne dary, które wykazał. Dowiódł, że umie się połapać w obcych sobie warunkach; dowiódł sprawności swego umysłu w tym zakresie. A przytem ten jego zapał! Niesłychane. Wszystko to było w nim takie naturalne jak węch u rasowego psa. Brakowało mu wymowy, lecz przebijała godność z jego wrodzonej powściągliwości, a z jego urywanych zdań — wielka powaga. Wciąż jeszcze miał dawny narów czerwienienia się. Niekiedy wymykało mu się jakieś słowo lub zdanie, dowodzące jak głęboko, jak poważnie przejmował się pracą, która dała mu pewność rehabilitacji. Dlatego właśnie zdawał się kochać ów kraj i ludzi z pewnego rodzaju namiętym egoizmem, z pogardliwą czułością.

R o z d z i a ł X X V

— „Oto tu przez trzy dni byłem więźniem — szepnął do mnie (w czasie naszych odwiedzin u radży), gdyśmy szli wolno przez dziedziniec Tunku Allanga, wśród jego popleczników zbiegających się z odznakami najwyższej czci. — Niechlujnie tu, co? Nie dawali mi nic do jedzenia póki nie zrobiłem awantury, i dopiero wtedy dostałem mały talerzyk ryżu i smażoną rybkę nie większą od płotki — niech ich licho! Włoczyłem się zgłodniały wewnątrz cuchnącego częstokołu, a za mną kilku tych cymbałów, podsuwających mi mordy pod sam nos. Oddałem sławetny pański rewolwer na pierwsze żądanie, zadowolony że się pozbywam tej zmory. Robiłem wrażenie idjoty, spacerując z nienabitą bronią w rękę“.

— W tej chwili znaleźliśmy się w obecności władcy; Jim oblókł się w głęboką powagę i zachowywał się z wyszukaną grzecnością wobec człowieka, który nie tak dawno go więził. To było wspaniałe! Chce mi się śmiać na samą myśl o tem. Ale wówczas byłem przejęty. Stary łotr Tunku Allang nie potrafił ukryć strachu (bohaterstwem się nie odznaczał, choć lubił opowiadać o swojej bujnej młodości), przytem zaś jego sposób bycia w stosunku do dawnego więźnia zdradzał czujność a zarazem zaufanie. Uważacie? Nawet ci, którzy najbardziej Jima nienawidzili, ufali mu

jednak. Jim — o ile mogłem śledzić rozmowę — skończył ze sposobności aby wygłosić pouczenie. Napadnięto niedawno kilku biednych wieśniaków udających się do Doramina i obrabowano ich z kawałków gumy i wosku, które chcieli na ryż wymienić.

— „To ten złodziej Doramin!“ — wybuchnął radza. Jego stare, wątłe ciało trzęsło się poprostu z wściekłości. Wił się dziwacznie na macie, wymachując rękami i nogami, targając poplątane strąki swego kołtuna — istne wcielenie rozwścieczonego majestatu. Otaczały nas wkrąg wytrzeszczone oczy i otwarte usta. Jim zaczął mówić. Rozwodził się czas jakiś z chłodną stanowczością na temat, że nie należy przeszkadzać, gdy ktoś zarabia uczciwie na chleb dla siebie i swoich dzieci. Tamten drugi siedział jak krawiec na desce, położywszy każdą dłoń oddzielnie na obu kolanach; spuścił głowę i patrzył nieruchomo w Jima poprzez siwą czuprynę, która mu opadła na oczy. Kiedy Jim przestał mówić, nastąpiła głucha cisza. Zdawało się, że wszystkim zapało dech w piersiach, nikt nie odezwał się ani słowem; wreszcie stary radza westchnął zlekka, podniósł oczy i rzekł szybko, potrząsając głową:

— „Słyszysz, mój ludu! Dość tych figłów“.

— Wysłuchano rozkazu w głębokim milczeniu. Otyły mężczyzna — najwidoczniej zausznik radzy — o inteligentnych oczach, kościstej, szerokiej, bardzo ciemnej twarzy i wesołym a uniżonym obejściu (dowiedziałem się później że to był kat), podał nam dwie filiżanki kawy na miedzianej tacy, którą wziął z rąk niższego rangą dworzanina.

— „Pan tego pić nie potrzebuje“ — mruknął Jim błyskawicznie. Nie zrozumiałem z początku, co znaczą te słowa i tylko popatrzyłem na niego. Po-

ciągnął spory łyk i siedział spokojnie, trzymając filiżankę w lewej ręce. Po chwili złość mię porwała.

— „Czemuż u djabła — szepnąłem, uśmiechając się uprzejmie do Jima — naraża mię pan na takie idiotyczne niebezpieczeństwo?“ — Wypiłem oczywiście, bo nic innego mi nie pozostawało; Jim ani drgnął i pożegnaliśmy się z radzą prawie natychmiast. Gdyśmy schodzili dziedzińcem do naszej łodzi, eskortowani przez rozgarniętego i wesołego kata, Jim bardzo mię przeproszał, twierdząc, że właściwie prawie nic nam nie groziło. Osobiście nie lękał się wcale trucizny. Prawdopodobieństwo otrucia było minimalne. Uważają — jak mnie zapewnił — że jest nieskończenie bardziej użyteczny niż groźny, to też...

— „Ależ radza ma święty strach przed panem. Widać to odrazu“ — dowodziłem — wyznaję — dość zgryźliwie, wyczekując wciąż z niepokojem, czy nie chwycą mnie pierwsze kurcze jakichś okropnych bóleści. Wstręt mię ogarnął.

— „Jeśli mam tu na coś się przydać i utrzymać swe stanowisko — rzekł Jim, siadając obok mnie w łódce — muszę się na to narażać; robię to przynajmniej raz na miesiąc. Wielu ludzi spodziewa się że to zrobię — dla ich dobra. Radza boi się mnie! Otóż to właśnie. Boi się mnie najprawdopodobniej dlatego, że ja się nie boję jego kawy. — Potem rzekł, pokazując mi miejsce z północnej strony częstokołu, gdzie zaostrome końce kilku pali były złamane: — Tędy przeskoczyłem na trzeci dzień mego pobytu w Patusanie. Nie zmienili jeszcze tych pali. Dobry skok, co? — W chwilę później mijaliśmy ujście błotnistej zatoczki. — Tu skoczyłem po raz drugi. Biegłem kawałek, rozpędziłem się i chciałem przesadzić tę za-

toczkę, ale mi się nie udało. Myślałem już, że zostawię tu swoją skórę. Zgubiłem trzewiki, grzebiąc się w błocie. A przez cały czas rozmyślałem, jakby to było okropnie, gdyby mnie dziabnęli z tyłu taką psia-krew długą włócznią. Pamiętam że mię mdliło — dosłownie mdliło — jakbym połknął coś zgniłego“.

— Więc to się tak stało — a upragniona przez Jima sposobność nieustannie mu towarzyszyła — i w biegu, i w skoku przez strumień, i podczas zmagania się z błotem... wciąż zakwefiona. Nagłość jego niespodzianego przybycia ocaliła go przed natychmiastowem zakłuciem krissami i wrzuceniem do rzeki. Mieli go w rękę, lecz było to tak, jakby pojmali jakąś zjawę, ducha, zły omen. Co to znaczy? Co z tem zrobić? Czy już nie zapóźno aby to stworzenie przebłagać? Może lepiej je zabić, dłużej już nie zwlekając? Lecz co się wówczas stanie? Nieszczęsny stary Allang o mało nie oszalał, osaczony przez złe przecucia, niezdolny do powzięcia jakiegokolwiek postanowienia. Kilka razy obrady zostały zerwane i członkowie ich rzucili się na łeb na szyję przez drzwi na werandę. Jeden z zauszników — jak mówią — skoczył nawet na ziemię — z wysokości piętnastu stóp, o ile mi się zdaje — i złamał nogę. Królewski rządca Patusanu dziwaczne miał obyczaje, a jeden z nich polegał na tem, że każdą trudną dyskusję przeplatał chełpliwymi rapsodami o swoich czynach, przyczem stopniowo podniecał się coraz bardziej i w końcu rzucał się ze swego wysokiego siedziska z krissem w rękę. Lecz wyjąwszy podobne przerwy, narady nad losem Jima ciągnęły się dniem i nocą.

— Tymczasem Jim wałęsał się po dziedzińcu; jedni go unikali, drudzy gapili się na niego, wszyscy

go strzegli, a w gruncie rzeczy był na łasce pierwszego lepszego gałgana uzbrojonego w nóż. Wybrał sobie do spania małą, walącą się szopę; wyziewy brudu i zgnilizny bardzo mu przeszkadzały; jednak zdaje się apetytu nie stracił, ponieważ — jak mi opowiadał — był głodny przez cały ten psiakrew czas. Raz po raz „jakiś nadęty osioł“, wysłany z izby obrad, wybiegał do niego i miodowym tonem zadawał mu zdumiewające pytania: „Czy przybywają Holendrzy, aby krajem zawładnąć? Czy biały człowiek nie chciałby wrócić z powrotem wdół rzeki? W jakim celu przybył do takich nędznych okolic? Radza chciałby wiedzieć, czy biały umie naprawić zegar?“ I rzeczywiście przynieśli mu nikłowy budzik amerykańskiego wyrobu. Jim — wprost z nieznośnych nudów — zaczął nad nim majstrować, usiłując naprawić mechanizm dzwonka. I wówczas to, jak się zdaje, kiedy był tem zajęty w swej szopie, zaświtało mu nagle poczucie niezmiernego niebezpieczeństwa, w jakim się znajdował. Wypuścił z rąk zegar „jak gorący kartofel“ i wyszedł śpiesznie, nie mając najmniejszego pojęcia co robi, a właściwie co zrobić może. Wiedział tylko, że jego położenie jest nie do wytrzymania. Wałęsał się bez celu za małym, nawpół rozwalonym śpichrzem, sterczącym na palach, gdy jego oczy padły na połamane koły w palisadzie; i wtedy — jak mi opowiadał — natychmiast, bez żadnego myślowego procesu ani też wzruszenia, zabrał się do ucieczki, jakby wykonywał plan dojrzewający już od kilku tygodni. Uszedł niedbale kilkanaście kroków dla nabrania rozpędu i odwróciwszy się, spostrzegł tuż obok siebie jakiegoś dygnitarza — eskortowanego przez dwóch włóczyków — który zabierał się właśnie do zadawania mu pytań. Jim szmyrznął mu

„z pod nosa“, przeleciał „jak ptak“ nad częstokołem i spadł po drugiej stronie, doznając takiego wstrząsu, że zachrobotały mu wszystkie kości; miał wrażenie iż głowa mu pękła. Dźwignął się natychmiast. I wciąż jeszcze nie myślał o niczem; pamiętał tylko, że podniósł się wielki wrzask; najbliższe chaty Patusanu były przed nim o czterysta jardów; ujrzał zatoczkę i jakby machinalnie przyspieszył biegu. Ziemia zdawała się z pod nóg mu uciekać. Odbił się od krańca suchego gruntu, poczuł że leci w powietrzu, a potem — nie doznawszy żadnego wstrząśnienia — zarył się w niezmiernie miękkie i lepki muł. Usiłował daremnie poruszyć nogami i dopiero wtedy „opamiętał się wreszcie“, jak się wyraził. Zaraz przysły mu na myśl „te psiakrew długie włócznie“. Zważywszy, że ludzie wewnątrz ostrokołu musieli dopaść bramy, zejść do przystani, wsiąść w czółna i objechać naokoło przylądka — Jim wyprzedził ich znacznie bardziej niż sobie wyobrażał. Przytem wobec odpływu nie było wody w zatoczce, choć niepodobna było nazwać jej suchą, i w gruncie rzeczy Jimowi nie groziło narazie żadne niebezpieczeństwo prócz może bardzo dalekiego strzału. Twardy grunt znajdował się przed nim nieco wyżej w odległości jakich sześciu stóp.

— „Myślałem, że tak czy owak będę musiał tam zginąć“ — rzekł.

— Sięgał rozpaczliwie rękami, grzebiąc się w błocie, i udawało mu się tylko spiętrzyć przed sobą okropną, zimną kupę lśniącego mułu, sięgającą mu aż po brodę. Miał wrażenie że zagrzebuje się żywcem i zaczął walić w muł jak szalony, rozpryskując go pięściami. Błoto padało mu na głowę, na twarz, dostając się do ust, do oczu. Wspomniał nagle dziedziniec, jak człowiek

wspomina miejsce, gdzie był przed wielu laty szczęśliwy. Tęsknił za tem by się znaleźć tam znowu — przytaczam jego własne słowa — i naprawiać budzik. Naprawiać budzik — otóż to właśnie! Zdawało mu się że oczy mu pękają w orbitach, że ślepnie od szalonych, konwulsyjnych, zapamiętałych wysiłków, które doszły do szczytu w potężnym, ostatecznym porywie naoslep aby się przebić przez ziemię, aby zrzucić ją ze swych członków — i poczuł że się pnie nieznacznie pod górę ku brzegowi.

— Leżał jak długi na twardym gruncie, widział światło i niebo. Potem, niby błysk szczęścia, spadła na niego myśl iż zaśnie. Jim twierdzi stanowczo że zasnął naprawdę, że spał — może minutę, może dwadzieścia sekund, a może tylko jedną sekundę, lecz pamięta wyraźnie gwałtowny, konwulsyjny wstrząs przy ocknieniu. Leżał jeszcze nieruchomo przez chwilę, a potem dźwignął się, pokryty mułem od stóp do głów i stał tak, myśląc, że jest jeden jedyny ze swej rasy na setki mil wokoło, że jest sam i nie może się spodziewać od nikogo pomocy, współczucia, litości, jak ścigane zwierzę. Pierwsze domy znajdowały się nie dalej niż o dwadzieścia jardów; rozpaczliwy krzyk przerażonej kobiety, starającej się unieść dziecko, pobudził go znów do biegu. Rzucił się naprzód w samych skarpetkach, oblepiony warstwą błota, które go pozbawiało wszelkiego podobieństwa do ludzkiej istoty. Przebiegł tak więcej niż pół osady. Na prawo i lewo uciekały przed nim kobiety, zwinniejsze od mężczyzn, ci zaś upuszczali, cokolwiek im się zdarzyło mieć w rękę, i z otwartymi ustami obracali się w kamień. Był lejącym postrachem. Mówił mi że zauważył małutkie dzieci, które, starając się uciec w popłochu,

padały na brzuszki i wywijaly nóżkami w powietrzu. Skręcił między dwie chaty pod górę, przelaż z desperacją przez barykadę ze ściętych drzew (w owych czasach nie było tygodnia bez walk w Patusanie), przedarł się przez płot na pole kukurydzy, gdzie jakiś przerażony chłopiec rzucił w niego kijem, dostał się na ścieżkę i wpadł odrazu w ramiona kilku zdumionych ludzi. Ledwie mu starczyło oddechu aby wykrztusić: „Doramin! Doramin“! Pamięta że go nawpół wnieśli, nawpół zaciągnęli na szczyt pochyłości, gdzie się znalazł w obszernem ogrodzeniu wśród palm i drzew owocowych; zaprowadzono go przed tęgiego mężczyznę, który siedział ociężale w fotelu wśród szalonego rozruchu i podniecenia. Jim zaczął grzebać niezdarnie w zabłoconem odzieniu aby wydobyć pierścień i nagle padł nawznak na ziemię, dziwiąc się, kto go przewrócił. A tamci poprostu puścili go — rozumiecie? — tylko że nie mógł się utrzymać na nogach. U stóp pochyłości rozległo się kilka strzałów na chybił trafił, a nad dachy osady podniósł się głuchy gwar zdumienia. Lecz Jim był już bezpieczny. Ludzie Doramina barykadowali bramę i leli mu wodę do gardła; stara żona Doramina, pełna troskliwości i współczucia, wydawała swym dziewczętom krzykliwe rozkazy.

— „Staruszka krzątała się koło mnie — rzekł Jim miękko — jakbym był jej własnym synem. Położyli mię na olbrzymiem łożu — na jej własnem paradnem łożu; przybiegała do mnie raz po raz, obcierając łzy i klepiąc mię po ramieniu. Musiałem wyglądać żałośnie. Leżałem tam jak kłoda nie wiem jak długo“.

— Jim zdawał się mieć wiele tkliwości dla starej żony Doramina. Ona zaś ze swej strony przywiązała

się do niego jak matka. Miała okrągłą, łagodną twarz orzechowego koloru, całą w drobniotkich zmarszczkach, grube, jaskrawo czerwone wargi (żuła gorliwie betel) i mrugające, dobroduszne oczy. Była w ciągłym ruchu i zrzędziła pilnie na gromadkę młodych kobiet o jasnobronzowej cerze i wielkich, poważnych oczach, ganiając je nieustannie; były to jej córki, służebne, niewolnice. Pan wie, jak to jest u tych krajowców, niepodobna naogół rozróżnić. Bardzo była szczupła, i nawet w swej obfitej zwierzchniej szacie zapiętej z przodu na klamry wysadzone kamieniami, wyglądała niepokaznie. Ciemne, gołe jej nogi tkwiły w żółtych słomianych chodakach chińskiego wyrobu. Widziałem ją nieraz krzątającą się szybko, przyczem niezmiernie gęste jej włosy, długie i siwe, spadały na ramiona. Wypowiadała słowa pełne bystrości i rozsądku, była szlachetnie urodzona, arbitralna i miała swoje dziwactwa. Popołudniu siadywała zwykle w bardzo obszernym fotelu naprzeciw swego męża, patrząc spokojnie przez szeroki otwór w ścianie, skąd był rozległy widok na osadę i rzekę.

— Żona Doramina podwijiała zawsze nogi pod siebie, lecz on sam siedział w fotelu prosto, imponująco, jak góra na równinie. Pochodził z klasy *nakhoda*, czyli kupieckiej, lecz szacunek który mu okazywano i dostojność jego obejścia rzucały się w oczy. Stał na czele drugiej z rzędu potęgi w Patusanie. Grupa przychodźców z Celebesu (około sześćdziesięciu rodzin, które z domownikami mogły wystawić mniej więcej dwustu ludzi „noszących kriss“) wybrała go przed laty na naczelnika. Ludzie z tej rasy są inteligentni, przedsiębiorczy, mściwi, odznaczają się większą odwagą niż inni Malaje i buntują się przeciw uciskowi. Utwo-

rzyli stronnictwo przeciwstawiające się radzy. Kłótnie wybuchały oczywiście na tle zatargów o handel. Był to zasadniczy powód walk między stronnictwami, nagłych powstań, które zapełniały tę lub ową część osady dymem, ogniem, hukami wystrzałów i wrzaskiem. Palono wsie, wleczono ludzi do ostrokołu radzy, gdzie ich zabijano lub poddawano torturom za zbrodnię handlu z kim innym niż władca. W tej właśnie rybackiej wsi, która później dostała się pod szczególną opiekę Jima, zaledwie na dwa lub trzy dni przed jego przybyciem, oddział łuczników radzy zrzucił ze skalistego wybrzeża kilku ojców rodziny, gdyż podejrzewano ich o zbieranie jadalnych gniazd dla handlarza z Celebesu. Radza Allang uważał się za jedyne kupca w swym kraju i przekroczenie jego monopolu pociągało za sobą karę śmierci; lecz pojęcia radzy o handlu były jednoznaczne z najpospolitszym rabunkiem. Tylko tchórzostwo Tunku Allanga hamowało jego chciwość i okrucieństwo; bał się zorganizowanej siły przychodźców z Celebesu, lecz — do przybycia Jima — bał się ich zamała aby siedzieć spokojnie. Uderzał w nich za pośrednictwem swoich poddanych i był najgłębiej przekonany, że jest w swym prawie.

— Sytuację utrudniał jeszcze obcy wędrowiec, pół krwi Arab, który — sędzę że na gruncie ściśle religijnym — doprowadził do powstania plemion w głębi kraju (leśnych ludzi, jak ich Jim nazywał) i usadowił się w ufortyfikowanym obozie na szczycie jednego z dwóch bliźnich wzgórz. Wisiał nad Patusanem jak jastrząb nad kurnikiem i pustoszył okolicę. Całe wsie, opuszczone przez mieszkańców, gniły na poczerniałych palach nad brzegiem przejrzystych strumieni; ściany domków plecione z traw i liściaste

dachy opadały strzępami w wodę, co czyniło ciekawe wrażenie naturalnego rozpadu, jakby domki te były pewnym rodzajem roślinności, dotkniętej zarazą u samych korzeni. Żadne ze stronnictw w Patusanie nie było pewne, które z nich przedewszystkiem intruz chce złupić. Radża wszedł z nim w lekkie konszachty. Niektórzy z bugiskich osadników, znużeni ciąglem niebezpieczeństwem, skłaniali się poniekąd do porozumienia z uzurpatorem. Bardziej przedsiębiorczy radzili nawpół żartem, aby „wezwać Szeryfa Alego z jego dzikimi ludźmi i wypędzić z kraju radżę Allanga“. Doramin z trudnością ich powstrzymywał. Starzał się, i choć jego wpływy jeszcze się nie zmniejszyły, przestawał już panować nad sytuacją. Taki był stan rzeczy gdy Jim, wypadłszy z ostrokołu radży, ukazał się przed naczelnikiem Bugisów, wydobyl pierścień i został przyjęty, że tak powiem, na łono ich społeczności.

R o z d z i a ł XXVI

— Doramin był jednym z najwybitniejszych ludzi swej rasy, jakich kiedykolwiek spotkałem. Jego postać, jak na Malaja, wydawała się olbrzymia, ale nie tylko z powodu tuszy; wyglądał wspaniale, monumentalnie. Nieruchomy tułów przywdziany w bogate tkaniny, barwne jedwabie i złote hafty; wielka głowa obwinięta w chustę czerwoną ze złotem; płaskie, duże okrągłe, pokreślane zmarszczkami oblicze o dwóch półkulistych, ciężkich fałdach, poczynających się u szerokich, srogich nozdrzy i okalających usta o grubych wargach; kark jak u byka; szerokie, poradlone czoło wznoszące się nad nieruchomemi, dumnymi oczami — wszystko to składało się na całość, której niepodobna było zapomnieć, kiedy się raz ją ujrzało. Odznaczał się niewzruszonym spokojem — zasiadłszy, rzadko kiedy poruszył ręką lub nogą; uwydatniało to jeszcze bardziej jego dostojność. Nie słyszano nigdy, aby kiedykolwiek głos podniósł. Mówił zachrypłym, potężnym szeptem — nieco zgłuszonym, jakby dochodzącym z pewnej odległości. Gdy siedł, dwóch krępych, krzepkich młodzieńców nagich do pasa, w białych sarongach i czarnych myckach z tyłu głowy, podtrzymywało mu łokcie; pomagali Doraminowi siadać i trzymali się za jego krzesłem, kiedy zaś władca chciał się podnieść, obracał głowę powoli, jakby z trudnością, w prawo i lewo, a młodzieńcy chwyтали go pod pachy i dźwi-

gali z miejsca. Mimo to nie miał w sobie nic z ka-
leki, przeciwnie, ciężkie jego ruchy były jakby prze-
jawem potężnej, rozważnej siły. Uchodziło za pewnik,
że zasięgał rady swej żony w sprawach publicznych,
lecz o ile wiem, nikt nigdy nie słyszał aby zamienili
choć jedno słowo. Gdy siedzieli uroczyście przy wiel-
kiem oknie, trwali zawsze w milczeniu.

— W dole rozpościerała się przed nimi w mierzchn-
jącem świetle rozległa przestrzeń leśnego kraju —
mroczone, sennie morze ciemnej zieleni, falujące aż hen
po łańcuch gór z purpury i fioletu; rzeka lśniła
w błyszczących skrętach, niby olbrzymia litera S z ku-
tego srebra; brunatna wstęga domostw biegła wzdłuż
wygięcia obu brzegów, pod dwoma bliźniemi wzgó-
rzami, ukazującemi się zza najbliższych szczytów drzew.
Doramin i jego żona tworzyli kontrast zadziwiający;
ona — drobna, delikatna, szczupła, żywa, przypominała
trochę czarownicę, a jej spokój miał w sobie coś
z macierzyńskiego zatroskania; Doramin naprzeciw
niej, olbrzymi i ciężki, niby postać wyciosana zgruba
w kamieniu, wyglądał w swym bezruchu jak wielko-
duszny barbarzyńca. Syn tych dwojga starców był
niezwykle wybitnym młodzieńcem.

— Późno im się urodził. Nie był może w rze-
czywistości tak bardzo młody jak się zdawało. Dwa-
dzieścia cztery lub pięć lat, nie jest to już wczesna
młodość dla człowieka, który w osiemnastu latach był
ojcem rodziny. Gdy wchodził do obszernego pokoju —
o suficie obciążonym białym płótnem, a ścianach
i podłodze pokrytych cienkimi matami — gdzie para
małżeńska siedziała w otoczeniu kornej świty, zbliżał
się odrazu do Doramina, całował go w rękę — na
co tamten zezwalał majestatycznie — a potem usuwał



się nabok i stawał za fotelem matki. Mogę chyba powiedzieć że go ubóstwiali, ale nigdy nie przychwyciłem ich na tem, aby spojrzeli na niego otwarcie. Prawda iż były to oficjalne przyjęcia, zazwyczaj bardzo tłumne. Uroczysty ceremonjał powitań i pożegnań, głęboka czołobitność przejawiająca się w ruchach, wyrazie twarzy, cichych szeptach — wszystko to było wręcz nieopisane.

— „Czy nie warto tego zobaczyć? — rzekł Jim, gdyśmy się przeprawiali przez rzekę w powrotnej drodze. — Wyglądają zupełnie jak bohaterowie z powieści, prawda? — mówił tryumfująco. — A Dain Waris, ich syn, to — poza panem — najlepszy ze wszystkich przyjaciół, jakich miałem kiedykolwiek. Pan Stein powiedziałby o nim: „dobry kompan z pola bitwy“. Boże mój! Cóż to było za szczęście, kiedy między nich wpadłem, goniąc resztkami sił. — Rozmyślał przez chwilę ze spuszczoną głową, poczem ocknął się i dodał: — Naturalnie że nie siedziałem z założonemi rękami, tylko... — Zamilkł znów. — Mam wrażenie, że wszystko przyszło mi samo z siebie — mruknął. — Zobaczyłem nagle co trzeba zrobić“...

— I rzeczywiście wszystko przyszło mu jakby samo z siebie, i to w dodatku przyszło przez wojnę, co jest zupełnie naturalne, ponieważ moc, którą w sobie poczuł, doprowadziła do pokoju. Jedyne w tem znaczeniu siła jest równoznaczna ze sprawiedliwością. Ale nie myślcie, że ujrzał swą drogę odrazu. Kiedy przybył, społeczność Bugisów była w niezmiernie ciężkiej sytuacji.

— „Bali się wszyscy — opowiadał mi Jim — każdy się lękał o swoją skórę; a ja widziałem najwyraźniej w świecie, że muszą natychmiast coś przed-

sięwziąć, jeśli nie chcą zmarnieć jeden za drugim, gnębieni z jednej strony przez radzę, a z drugiej przez tego włóczęgę Szeryfa“.

— Ale zrozumieć położenie, to było jeszcze mało. Kiedy już powziął swój projekt, musiał go wbijać w odporne umysły, przewyciężając zapory strachu i samolubstwa. Udało mu się wreszcie. Lecz na tem nie koniec. Trzeba było obmyślić sposób działania. Jim ułożył plan bardzo śmiały; a i wówczas jeszcze zadanie było rozwiązane dopiero w połowie. Musiał natchnąć swą wiarą wielu ludzi, którzy mieli ukryte lub bezsensowne powody do stawiania oporu; musiał załagodzić niedorzeczne zawiści i wyperswadować głupie wątpliwości wszelakiego rodzaju. Nie byłoby mu się udało, gdyby nie powaga, jaką się cieszył Doramin i gdyby nie ognisty zapał jego syna. Dain Waris, ów niezwykły młodzieniec, pierwszy w Jima uwierzył; związała się między nimi jedna z tych osobliwych, głębokich, rzadkich przyjaźni między brązowymi a białymi ludźmi, przyjaźni, w których właśnie różnica ras zdaje się pociągać ku sobie dwie ludzkie istoty jakąś dziwną, żywiołową sympatją.

— O Dainie Warisie własni jego ludzie mawiali z dumą, że umie walczyć jak biały. To była prawda; miał ten rodzaj męstwa — męstwa w otwartem polu, że tak powiem — ale i umysł jego był europejski. Spotyka się czasem takich Malajów i niespodzianie odkrywa się w nich ze zdumieniem pokrewny sposób myślenia, bystry umysł, wytrwałe dążenie do celu, odcień altruizmu. Dain Waris był wzrostu niewielkiego lecz niezwykle harmonijnej budowy; miał dumną postawę, gładkie, swobodne obejście a temperament podobny do jasnego płomienia. Jego ciemna twarz

o wielkich, czarnych oczach była wymowna w ruchu i zamysłona w spoczynku. Usposobienie miał milczące; stanowczy wzrok, ironiczny uśmiech, dworny sposób bycia pełen rozważliwych zdradzały w nim wielkie zasoby inteligencji i siły. Takie istoty ukazują ludziom z zacho-
chodu — którzy zwykle głębiej nie sięgają — ukryte możliwości ras i krajów, owianych tajemnicą niezliczonych stuleci. Dain nie tylko wierzył Jimowi; jestem przekonany że go rozumiał. Mówię tak o Dainie, ponieważ byłem pod urokiem tego człowieka. Jego — że tak powiem — szyderczy spokój a jednocześnie inteligentne sprzyjanie zamiarom Jima przemówiły do mojej sympatji. Zdawało mi się że oglądam przyjaźń u samych podstaw. Wprawdzie Jim przewodził, ale Dain oczarował swego przywódcę. W gruncie rzeczy Jim był więźniem w całym tego słowa znaczeniu. Kraj, lud, przyjaźń, miłość strzegły go zazdrośnie. Każdy dzień dodawał ogniwo do kajdan tej dziwnej wolności. Czułem to coraz dobitniej, w miarę jak z dnia na dzień dowadywałem się więcej szczegółów z historii Jima.

— A ileż się o niej nasłuchałem! I w marszu podczas naszych wycieczek, i w obozie (włoczyliśmy się po kraju w pościgu za niewidzialną zwierzyną); znaczną część swych przygód opowiedział mi na jednym z bliźnich wzgórz, gdzie się wdrapałem, czołgając się na rękach i nogach przez ostatnich sto metrów. Nasza eskorta (składająca się z ochotników towarzyszących nam od wsi do wsi) rozłożyła się obozem na małej polance w połowie wysokości wzgórza; w bezszmernej ciszy wieczoru zapach drzewnego dymu dochodził do naszych nozdrzy, niosąc aromat delikatny i przenikliwy. Wznosiły się ku nam i głosy, zadziwiająco wyraźne,

jasne, niematerjalne. Jim siadł na pniu ściętego drzewa, wyciągnął fajkę i zaczął palić. Nowe pokolenie traw i krzewów strzelało z ziemi; pod gęstwą ciernistych gałęzi były ślady okopów.

— „Stąd się wszystko zaczęło“ — rzekł Jim, wyrwawszy się z długiej, głębokiej zadumy. Na sąsiednim wzgórzu odległym o jakie dwieście jardów, z przeciwległej strony mrocznej przepaści, zobaczyłem szereg wysokich, poczerniałych kołów walących się miejscami — szczątki niedostępnego obozu Szeryfa Alego.

— Lecz obóz ten został zdobyty. Stało się to dzięki pomysłowi Jima, który wwindował na szczyt wzgórza starą artylerję Doramina: dwa zardzewiałe działa siedmifuntowe i mnóstwo drobnych mosiężnych armatek służących za obiegową monetę. Mosiężne armatki są wprawdzie wykładnikiem bogactwa, ale potrafią także wysłać porządny strzał na niewielką odległość, jeśli je nabić śmiało aż po koniec lufy. Trudność polegała na tem, aby je wciągnąć na samą górę. Jim pokazał mi miejsce, gdzie przymocował liny, wyjaśnił jak zmaistrował naprędce prymitywny kołowrót z pustego pnia obracającego się na zastrzonym kole, zaznaczył fajką zarysy okopów. Ostatnie sto metrów wejścia na szczyt były najcięższe. Jim oświadczył Doraminowi, że odpowiada własną głową za powodzenie całego planu. Namówił stronników wojny, aby pracowali znojnje przez całą noc. Wielkie ogniska zapalone w pewnych odstępach jaśniały wzdłuż zbocza, „lecz tu na szczycie“ — objaśniał — „oddział wciągający armaty musiał biegać wkółko w ciemności“. Jim widział z góry ludzi pełznących po pochyłości niby mrówki przy pracy. On sam w ciągu tej nocy

zbiegał wdół i wspinał się po wzgórze jak wiewiórka, kierując wszystkiem, dodając ludziom ducha, czuwając nad całą linją. Stary Doramin kazał się zanieść w fotelu na wzgórze. Ustawili go na polance w połowie wysokości; siedział tam w blasku jednego z wielkich ognisk.

— „Nadzwyczajny starzec — mówił Jim — zupełnie jak jaki wódz pradawny, z temi swemi dziękami oczkami; na kolanach trzymał olbrzymie skałkowe pistolety, poprostu wspaniałe: heban oprawny w srebro, z cudownemi kurkami, kalibru starych rusznic. Zdaje się że to dar od Steina — wzamian za ten pierścień, pamięta pan. Należały niegdyś do zacnego staro Mac Neila. A skąd on je wytrzasnął, Bóg raczy wiedzieć. Więc stary siedział, nie ruszając ani ręką ani nogą, zwrócony plecami do ogniska z chróstu, a naokoło niego mnóstwo ludzi biegało, krzyczało i ciągnęło; wyglądał tak uroczyście i imponująco, że trudno to sobie wyobrazić. Nie byłby chyba mógł uciec, gdyby Szeryf Ali wypuścił na nas swoją wściekłą bandę i zmusił moich ludzi do ucieczki. W każdym razie Doramin przybył tu aby umrzeć, gdyby rzeczy się źle obróciły. Niema co do tego dwóch zdań! Miły Boże, jakież ja byłem przejęty jego widokiem — tkwił tam jak skała. Lecz Szeryf Ali myślał pewnie żeśmy poszaleli; ani mu się śniło zjawić i przekonać, co tam wyprawiamy. Ale zdaje mi się że nawet ci sami ludzie, którzy ciągnęli, i pchali, i oblewali się potem, nie wierzyli aby można było tego dokonać! Jestem pewien że nie wierzyli, daję panu słowo...”

— Stał wyprostowany z dymiącą fajką w rękę, z uśmiechem na ustach, z iskrami w dziecięcych oczach. Siedziałem na pniu u jego stóp, a pod nami

rozpościerał się kraj, wielka przestrzeń lasów mrocznych pod słońcem, rozkołysanych jak morze, z połyskami krętych rzek, szaremi plamami wsi i polanką gdzie-niegdzie, jaśniejącą niby wysepka blasku wśród ciemnych fal wierzchołków. Posępna zaduma słała się nad tym rozległym, monotonnym krajobrazem; światło padało nań jakby w przepaść. Łąd pożerał słońce; tylko daleko, hen, wzdłuż wybrzeża, pusty ocean, równy i gładki pod nikłą mgłą, zdawał się wznosić ku niebu murem ze stali.

— I trwaliśmy tam razem, wysoko w blasku słońca, na szczycie historycznego pagórka. Jim górował nad lasami, nad odwiecznym mrokiem, nad prastarą ludzkością. Był jak posąg wzniesiony na piedestale, aby wcielał mocą swej wiecznej młodości potęgę — a może i cnoty — ras, które się nie starzeją, które wynurzyły się z mroku. Nie rozumiem dlaczego Jim wydawał mi się zawsze symbolem. Może w tem leży właśnie istotna przyczyna mego zajęcia się jego losem. Nie wiem czy to było sprawiedliwe z mej strony, ale w tej chwili właśnie przypomniałem sobie okoliczności, które tu Jima przywiodły; stały mi w oczach z niezmierną wyrazistością. Był to jakgdyby cień wśród blasku.

R o z d z i a ł XXVII

— Legenda przypisywała mu już nadprzyrodzoną potęgę. — No tak — opowiadano sobie — prawda że tam na wzgórzu było wiele lin chytrze rozmieszczonych i dziwna maszyna, co się obracała dzięki wysiłkom wielu ludzi; prawda że każda armata przedierała się z wolna w górę przez gąszcze, jak dzik torujący sobie drogę w leśnym podszyciu, ale... — i tu najmędrsi potrzęsali głową. Było w tem niewątpliwie coś tajemniczego; bo czemuż jest siła powrozów i ludzkich ramion? W rzeczach tkwi buntownicza dusza, którą trzeba opanować przez potężne czary i zaklęcia. Tak twierdził stary Sura, właściciel domów w Patusanie, człowiek bardzo szanowany, z którym raz uciałem sobie wieczorem spokojną pogawędkę. Lecz Sura był także i czarownikiem z zawodu; na mile wokoło czuwał nad siewami i zbiorami ryżu, poskramiając upartą duszę rzeczy. Uważał swoje zajęcie za jedno z najtrudniejszych — i może istotnie duch tkwiący w rzeczach krnąbrniejszy jest od ludzkiego. Co się tyczy prostych ludzi z sąsiednich wsi, wierzyli (jak w rzecz najnaturalniejszą pod słońcem) że Jim zaniósł armaty na wzgórze na własnym grzbiecie — po dwie naraz.

— Jim tupał na to nogą ze złości i wykrzykiwał zirytowany a przytem nieco rozśmieszony: „I co tu robić z takimi głupimi cymbałami? Siedzą po całych nocach, plotąc duby smalone, a im niemożliwsze kłam-

stwo, tem większe w niem znajdują upodobanie“. — W tej irytacji Jima można było wysledzić subtelny wpływ otoczenia — jeden z czynników jego niewoli. Powaga, z jaką Jim przeczył, była bardzo zabawna; rzekłem w końcu do niego:

— „Kochany panie, chyba pan nie przypuszcza że *ja* w to uwierzę!“ — Spojrzał na mnie, zaskoczony:

— „Ach nie! naturalnie że nie przypuszczam — rzekł i wybuchnął homerycznym śmiechem. — No więc, tak czy owak — ciągnął — armaty znalazły się na oznaczonym miejscu i wystrzeliły wszystkie razem o wschodzie. Chryste Panie! Trzeba było widzieć jak drzazgi leciały!“ — zawołał. U jego boku Dain Waris, przysłuchujący się ze spokojnym uśmiechem, spuścił powieki i poruszył zlekka nogami.

— Kiedy się szczęśliwie udało wciągnąć armaty na wzgórze, ludzie nabrali takiej ufności, że Jim ośmielił się zostawić baterję pod opieką dwóch starszych Bugisów — którzy swego czasu brali udział w wojnach — i przyłączył się do Daina Warisa oraz szturmowego oddziału ukrytego w wąwozie. O brzasku wszyscy zaczęli się czołgać pod górę, i zrobiwszy dwie trzecie drogi, legli w mokrej trawie, czekając na pojawienie się słońca, które było umówionym sygnałem. Jim opowiadał mi z jaką niecierpliwością, z jakim niepokojem i wzruszeniem śledził szybkie nadejście świtu; opowiadał jak — rozgrzany od pracy i wspinania się — poczuł zimną rosę mrozącą go do szpiku kości; jak się bał że zacznie się trząść i dygotać niby liść, zanim przyjdzie chwila ataku.

— „Nigdy jeszcze tak mi się czas nie dłużył jak wtedy — przez te pół godziny“ — oświadczył. Zarysy milczącego częstokołu wystąpiły przed nim zwolna na

niebie. Po całym zboczach byli rozsiani ludzie, przypięci wśród ciemnych skał i krzaków mokrych od rosy. Dain Waris leżał wyciągnięty napłask u boku Jima.

— „Spojrzelśmy po sobie — rzekł Jim, kładąc delikatnie rękę na ramieniu przyjaciela. — Dain uśmiechnął się do mnie jaknajweselej, a ja nie śmiałem otworzyć ust, aby nie zacząć dzwonić zębami. Daję panu słowo, że to jest prawda! Pot lał się ze mnie, kiedyśmy się przyczaili, to też może pan sobie wyobrazić...” — Jim oświadczył mi — a ja daję temu wiarę — iż nie bał się ani trochę o wynik całej akcji. Niepokoiło go tylko, czy potrafi opanować te dreszcze. Nie kłopotał się wcale o to, co miało nastąpić. Wiedział tylko że musi się dostać na szczyt wzgórza i pozostać tam za wszelką cenę. Nie było przed nim odwrotu. Ci ludzie ufali mu ślepo. Jemu jedynemu! Zawierzyli mu na słowo... Pamiętam że zamilkł w tem miejscu i utkwiał we mnie oczy.

— „O ile wiem, nie mieli jeszcze nigdy powodu tego żałować — rzekł. — Ani razu“.

— Miał w Bogu nadzieję, iż to nigdy nie nastąpi. Tylko że — na nieszczęście! — przyzwyczaili się zasięgać jego rady we wszelkich możliwych wypadkach. To wprost nie do wiary! Ot, naprzykład, w tych dniach jakiś stary bałwan, którego Jim nigdy w życiu nie widział na oczy, przywędrował ze wsi oddalonej o kilka mil, aby zapytać czy się ma rozwieść z żoną. To fakt! Jim daje mi na to słowo. Tak oto rzeczy stoją... Jim nie uwierzyłby, gdyby mu to ktoś opowiedział. A czy ja temu wierzę? Opisywał mi, jak staruszek przykucnął na werandzie, żując betel, wzdychając i plując na wszystkie strony, ponury jak noc;

trwało to z godzinę, zanim wyjechał wreszcie z temi psiakrew bredniami. Ta historja nie jest taka zabawna, jakby się zdawało. Co Jim miał na to wszystko powiedzieć?

— „Pytam go: a dobra twoja żona? Tak, mówi, dobra ale stara. I zaczyna mi opowiadać bzdurną historję bez końca o jakichś mosiężnych garnkach. Żyli ze sobą piętnaście lat — dwadzieścia lat — nie pamięta. Długo, bardzo długo. Porządna to była żona. Bił ją trochę — nie zanadto — tyle ile się należało, póki była młoda. Musiał to robić — dla swego honoru. Nagle, kiedy baba już się postarzała, ni stąd ni zowąd pożyczła trzy mosiężne garnki żonie syna swej siostry, a potem zaczyna jemu, mężowi, dzień w dzień krzykliwie wymyślać. Nieprzyjaciele szydzą z niego; twarz jego poczerniała od hańby. A garnki przepadły: strasznie go to ścięło z nóg... Niepodobna się połapać w takiej historji; poleciłem mu wrócić do domu i obiecałem, że sam przybędę aby rozstrzygnąć tę sprawę. Dobrze panu się śmiać, ale to był paszтет co się zowie! Cały dzień podróży przez las, potem drugi dzień spędzony na cackaniu się z tłumem głupich wieśniaków, żeby dobrać się do sedna sprawy. Mogło dojść na ten temat do krwawej bijatyki. Każdy z tych idjotów brał stronę tej lub tamtej rodziny i jedna połowa wsi była gotowa się rzucić na drugą, schwyciwszy coby się znalazło pod ręką — słowo honoru, nie żartuję wcale! I to zamiast się zabrać do swoich nędznych żniw. Zwróciłem naturalnie starcowi jego cholerne garnki i uspokoiłem wszystkich. Nie miałem z tem żadnego kłopotu, ani trochę. Mógłbym zażegnać najkrwawszy spór w tym kraju poprostu kiwnąwszy palcem. Tylko w tem sęk, żeby się dobrać

do prawdy. Po dziś dzień nie jestem pewien, czy byłem dla wszystkich sprawiedliwy. To mnie czasem gryzie. A ta gadanina bez końca! Boże święty! Zdało się że niepodobna w tem się rozeznąć. Wołałbym zdobywać stary ostrokół wysokości dwudziestu stóp. Tysiąc razy! To dziecinna zabawka wobec tamtego zadania. I nie zajmuje tyle czasu. No tak, w gruncie rzeczy musiało to śmiesznie wyglądać — tamten dureń wydawał się taki stary, że chyba mógłby być moim dziadkiem. Ale z drugiej strony nie była to fraszka. Moje słowo decyduje o wszystkim — od chwili gdy Szeryf Ali został pobity. To okropna odpowiedzialność — powtórzył. — Doprawdy, proszę pana, mówię teraz poważnie; gdyby chodziło o życie trojga ludzi zamiast o trzy parszywe mosiężne garnki, byłoby to samo...“

— W taki to sposób Jim uzmysławiał mi moralny skutek swego wojennego zwycięstwa. Było w samej rzeczy olbrzymie. Zaprowadziło go od walki do pokoju — poprzez śmierć — w sam środek życia tego ludu; lecz mroczny kraj, rozpostarty pod blaskiem słońca, zachował pozór niezbadanej, odwiecznej ciszy. Świeży, młodzieńczy głos Jima — to było nadzwyczajne, jak ten człowiek prawie się wcale nie zmienił — płynął lekko w dal ponad niezmiennem obliczem lasów, podobnie jak dźwięk armat w ów zimny, rośnący poranek, kiedy Jimowi o nic nie chodziło na świecie, tylko o to by opanować wstrząsające nim dreszcze. Gdy pierwsze ukośne promienie słońca padły na nieruchome wierzchołki drzew, szczyt jednego wzgórzeza zakłębił się białymi chmurami dymu wśród potężnych wystrzałów, drugi zaś wybuchnął oszałamiającym zgiełkiem wrzasków, wojennych nawoływań, okrzyków gniewu, zdumienia, trwogi. Jim i Dain

Waris dopadli pierwsi ostrokołu. Według powszechnie obiegującej pogłoski, Jim powalił wrota dotknięciem palca. Oczywiście nie przyznawał się bynajmniej do tego czynu. Tłumaczył mi z naciskiem, że ostrokoł nie był wcale groźną zaporą (Szeryf Ali liczył głównie na niedostępne położenie swego obozu), w dodatku zaś pociski już go potrzaskały i trzymał się tylko jakimś cudem. Jim przyparł się do niego ramieniem jak kto głupi i zwał się razem z nim do środka. Gdyby nie Dain Waris, ospowaty, wytatuowany drab byłby przybił Jima włócznią do drewnianego kołu naksztalt jednego ze chrząszczów Steina. Zdaje się że trzecim z kolei, który się dostał do środka, był Tamb' Itam, służący Jima, Malaj z północy, cudzoziemiec który zabłądził do Patusanu i został zatrzymany siłą przez radzę Allanga jako wioślarz na jednej z paradnych łodzi. Uciekł stamtąd przy pierwszej sposobności, znalazł czasowy przytułek (lecz bardzo mało do jedzenia) wśród bugiskich osadników i został osobistym służącym Jima. Miał bardzo ciemną cerę, płaską twarz, wyłupiaste i nabiegłe żółcią oczy. Było coś przechodzącego miarę, prawie fanatycznego, w przywiązaniu Tamb' Itama do swego „białego pana“. Nie rozłączał się nigdy z Jimem, jak jego ponury cień. Przy uroczystych okazjach szedł tuż za nim, następując mu prawie na pięty, z dłonią na rękojeści krissa, i trzymał pospólstwo w przyzwoitej odległości dzikiem, ponurem spojrzeniem. Jim zrobił z niego rządcę folwarku; cały Patusan szanował Tamb' Itama i ubiegał się o jego względy jako osobnika o ogromnych wpływach. Przy zdobyciu ostrokołu odznaczył się wielce przez metodyczną dzikość w boju.

— „Oddział szturmowy wtargnął tak prędko do

ostrokołu — opowiadał Jim — że mimo paniki, która ogarnęła garnizon, walka wręcz trwała przez jakie pięć minut, póki jakiś osioł nie podpalił szałasów z gałęzi i suchych traw, poczem wszyscy musieliśmy wiać przed ogniem“.

— Porażka wroga była zupełna. Doramin, czekający niewzruszenie w swym fotelu na zboczu wzgórza, wśród dymu dział snującego się zwolna nad jego wielką głową, przyjął wiadomość o zwycięstwie głębokim pomrukiem. Gdy mu doniesiono, że jego syn wyszedł z walki cało i znajduje się na czele pościgu, uczynił w milczeniu potężny wysiłek aby się dźwignąć. Ludzie ze świty pospieszyli mu z pomocą; podtrzymywany kornie, posunął się z wielką godnością ku niewielkiemu obszarowi cienia, gdzie legł do snu, nakryty od stóp do głów kawałem białego płótna.

— Niezmierne podniecenie zapanowało w Patu-sanie. Jim mówił mi, że z tego właśnie wzgórza, odwróciwszy się od częstokołu pełnego żaru, czarnych popiołów i nawpół zwęglonych ciał, widział raz poraz, jak otwarte przestrzenie między domami po obu stronach rzeki zapełniają się nagle kipiącym tłumem i znów się w mig opróżniają. Do jego uszu dochodził słabo potężny dźwięk gongów i bicie w bębny; dzikie okrzyki tłumów brzmiały jak wybuchy zgłuszonego ryku. Mnóstwo chorągwi trzepotało się niby stado drobnego ptactwa — białego, czerwonego, złotego — między brunatnymi grzbietami dachów.

— „Jakaż to radość musiała być dla pana“ — szepnąłem, poruszony tem do żywego.

— „Tak... to było... niesłychane! Wprost niesłychane! — krzyknął głośno, wyrzucając przed siebie ramiona. Ten nagły ruch zaskoczył mię, jakgdybym

ujrzał Jima odsłaniającego tajemnice swego serca blaskowi słońca, zadumanym ponuro lasom, morzu ze stali. Pod nami miasto spoczywało w miękkich skrętach u wybrzeży rzeki, która zdawała się spać. — Niesłychane!“ — powtórzył Jim po raz trzeci szeptem do samego siebie.

— Było to zaiste niesłychane: słowa Jima przy pieczętowane powodzeniem, grunt zdobyty dla jego stóp, ślepa ufność ludzi, wiara w siebie ocalona, samotność, wśród której dokonał swego czynu. Wszystko to — jak was uprzedzałem — wychodzi pomniejszone w opowiadaniu. Nie mogę wyrazić wam w słowach zupełnego, bezwzględnego osamotnienia Jima. Naturalnie że był tam ze swej rasy jedyny w całym tego słowa znaczeniu, lecz nieprzewidziane zalety jego natury zespoliły go tak blisko z otoczeniem, że ta samotność wydawała się jedynie wynikiem jego potęgi. Odosobnienie go wyolbrzymiało. Jak okiem sięgnąć nie było nic z czemby go się dało zestawić, jakby był jednym z tych wyjątkowych ludzi, których można mierzyć jedynie wielkością ich chwały; a nie zapominajcie, że ta chwała była czemś najwspanialszem w promieniu wielodniowej podróży. Należało odbyć długą, nużącą drogę, wiosłując, lub torując sobie przejście skroś dżungli, aby się znaleźć poza zasięgiem jego sławy. A głos jej nie był krzykliwy ani bezczelny — jak dźwięk trąb owej bogini o złem imieniu, którą wszyscy znamy; zestroił swój ton z posępną ciszą tego kraju bez przeszłości, gdzie słowo Jima było jedyną prawdą każdego mijającego dnia. Jego sława miała w sobie coś z milczenia, poprzez które szła za ludźmi w niezbadane ostępy i dawała wciąż znać o sobie, przenikająca wszędzie, dalekosiężna — zabarwiając podziwem i tajemnicą szepty na ludzkich ustach.

R o z d z i a ł XXVIII

— Pobity Szeryf Ali uciekł z kraju, nie opierając się dłużej, a gdy nieszczęśni, prześladowani wieśniacy zaczęli wypełzać z dżungli i wracać do swych butwiejących domów, Jim w porozumieniu z Dainem Warisem wybrał z pomiędzy nich starszysznę. Tym sposobem stał się istotnym władcą kraju. Co się tyczy starego Tunku Allanga, z początku jego strach nie znał poprostu granic. Opowiadają, że usłyszawszy o zdobyciu wzgórza, Allang rzucił się twarzą na bambusową podłogę w sali przyjęć i leżał nieruchomo przez całą noc i cały dzień, wydając zduszone jęki tak przerażającej natury, iż żaden człowiek nie śmiał podejść bliżej niż o długość włóczni do jego wyciągniętej postaci. Radza widział już oczyma duszy, jak wygnany haniebnie z Patusanu wędruje opuszczony, obdarty ze wszystkiego, bez opjum, bez swych kobiet, bez świty — łatwa zwierzyna dla każdego, ktoby chciał po nią sięgnąć. Po Szeryfie Alim przyjdzie teraz kolej na niego, a któżby się oparł napadowi poprowadzonemu przez takiego szatana! I rzeczywiście radza zawdzięczał życie i władzę — taką jaką miał jeszcze wciąż podczas mego pobytu w Patusanie — wyłącznie zapatrywaniom Jima na sprawiedliwość. Bugisom chodziło niezmiernie o załatwienie dawnych porachunków, a niewzruszony stary Doramin żywił nadzieję, że ujrzy swego syna na stanowisku władcy Patusanu.

W czasie jednej z naszych rozmów pozwolił mi rzucić okiem na tę swoją tajną ambicję. Nie znam nic doskonalszego w swoim rodzaju od dostojnej ostrożności, z jaką Doramin podchodził do przedmiotu. Zaczął od oświadczenia, że i on swego czasu zażywał siły za młodych lat, ale teraz oto się postarzał i jest już znużony... Jego potężna budowa i wyniosły wyraz małych oczek, rzucających mądre, przenikliwe spojrzenia, przypominały nieodparcie chytrego starego słońca; powolne wznoszenie się i opadanie szerokich piersi było potężne i miarowe, jak wzdzymanie się spokojnego morza. Oświadczył że i on również pokłada bezgraniczną ufność w mądrości tuana Jima. Gdyby tylko mógł uzyskać od niego obietnicę! Jedno słowoby wystarczyło!... Sapliwie milczenia Doramina i głucho dudniący jego głos przywodziły na myśl ostatnie wyśiłki przemijającej burzy.

— Usiłowałem odwrócić rozmowę. Przychodziło mi to z trudem, bo nie ulegało wątpliwości, że Jim miał w ręku siłę; rzekłbyś iż w nowym swym świecie rozporządzał wszystkiem według własnej woli. Ale, powtarzam, wszystko to było jeszcze nic w porównaniu z myślą — która mi zaświtała podczas gdy słuchałem Doramina z pozorną uwagą — że Jim nareszcie zawładnął prawie zupełnie swym losem. Doramin niepokoił się o przyszłość kraju; byłem uderzony sposobem jego rozumowania. Mówił że każdy kraj pozostaje tam, gdzie go Bóg umieścił, lecz biali ludzie przybywają i po krótkiej chwili odchodzą. Ci, których pozostawili, nie wiedzą kiedy się spodziewać ich powrotu. Biali odjeżdżają do swego kraju, do swego narodu, więc i ten biały także... Nie wiem jak to się stało, że się zdradziłem w tej chwili, oświadczając energicznie:

„Nie, nie!“ Cała waga tej mojej niedyskrecji ujawniła się, gdy Doramin zwrócił ku mnie twarz — której wyraz, zastygły w surowych, głębokich brózdach, pozostał niezmieniony jak na wielkiej, brunatnej masce — i rzekł po namyśle, że to jest zaiste dobra nowina; i chciałby wiedzieć, dlaczego tuan Jim nie odjedzie.

— Z drugiej strony obok mnie żona Doramina, podobna do małej, dobrodusznej czarownicy, siedziała z nakrytą głową i podwiniętymi nogami, patrząc przez wielki otwór w ścianie. Twarz miała odwróconą; widziałem tylko zbłąkane pasmo jej siwych włosów, zarys wysokiej kości policzkowej, lekki, żujący ruch spiczastej brody. Nie odrywając oczu od rozległego widoku lasów rozpostartych aż po góry, zapytała mnie tonem pełnym litości, jak to się stało że Jim, taki jeszcze młody, wywędrował w dalekie kraje, poprzez tyle niebezpieczeństw? Czyżby nie miał domu ani rodaków? Czy nie ma starej matki, któraby pamiętała zawsze jego twarz?..

— Byłem zupełnie nieprzygotowany na to pytanie. Zdobyłem się tylko na mruknięcie i pokręciłem głową w nieokreślony sposób. Zdaję sobie doskonale sprawę, że potem usiłowałem bardzo niezręcznie wyplątać się z trudnego położenia. Jednak od owej chwili stary *nakhoda* stał się milczący. Obawiam się że niebardzo był zadowolony; dałem mu widać dużo materiału do rozmyślań. Dość dziwnym zbiegiem okoliczności tak się złożyło, że wieczorem tego samego dnia (który był ostatnim dniem mego pobytu w Patusanie), spotkałem się jeszcze raz z tem samem pytaniem, z tem „dlaczego“ odnoszącem się do losu Jima — na które odpowiedzieć nie mogłem. A to mię prowadzi do dziejów jego miłości.

— Sądziacie pewno że to jest historia, którą sami możecie sobie wyobrazić. Słyszeliśmy o tylu podobnych przygodach i większość z nas nie wierzy wcale aby miłość grała w nich rolę. Uważamy je zwykle za miłostki — w najlepszym razie za przelotne namiętności, a może tylko dzieje młodzieńczych pokus skazanych w końcu na zapomnienie, nawet jeśli przechodziły przez okres prawdziwej tkliwości i żalu. Ten pogląd jest po większej części słuszny, może także i w tym wypadku... Jednak nie wiem. Opowiedzieć tę historję nie jest bynajmniej tak łatwo; byłoby niesprawiedliwością brać ją ze zwykłego punktu widzenia. Z pozoru jest to wydarzenie bardzo podobne do innych; ja tam jednak dostrzegam — obok samotnego grobu w głębi — tragiczną postać kobietą z pieczęcią milczenia na ustach, widmo pełne okrutnej mądrości, spoglądające tęsknie i bezradnie. Ów grób, na który się raz natknąłem podczas rannej przechadzki, przedstawiał się jako nieforemny brunatny kopiec — opasany u samej podstawy szlakiem z inkrustowanych kawałków białego koralu — i ogrodzony płotem z pociętych drzewek, na których pozostawiono korę. Girlanda z liści i kwiatów wiła się po wierzchu cienkich słupków — a kwiaty były świeże.

— Tedy — choć przyznaję że cień kobiety istniał może tylko w mej wyobraźni — mogę w każdym razie zaznaczyć ważki fakt: ów grób utrzymany starannie. Kiedy wam powiem w dodatku, że Jim wznosił własnoręcznie sielski płot naokoło kopca, dostrzeżecie zaraz odrębność tej historji, jej indywidualny charakter. W tem podzielanu wspomnień i uczuć drugiej istoty jest powaga dająca dużo do myślenia. Jim posiadał sumienie, i to romantyczne sumienie. Żona ohydneho

Corneliusa przez całe życie nie miała innej towarzyszki, powiernicy i przyjaciółki poza swą córką. Jak się to stało, że biedna kobieta wyszła za tego odrażającego Portugalczyka z Malakki, po rozstaniu się z ojcem swego dziecka, i jak się odbyło to rozstanie — czy przez śmierć, która bywa niekiedy miłosierna, czy przez bezlitosny nacisk konwenansu — pozostało dla mnie tajemnicą. Z nielicznych wzmianek, które słyszałem na ten temat od Steina znającego tyle różnych historyj, jestem przekonany że nie była to zwykła kobieta. Jej ojciec — biały człowiek i wysoki urzędnik w dodatku — był jednym z tych wspaniale uzdolnionych ludzi, którzy zamało są tępi aby osiągnąć powodzenie, to też karjera ich kończy się często w cieniu. Sądzę że tej kobiecie brakowało również zbawczej tępoty — i karjera jej skończyła się w Patusanie. To nasz wspólny los... bo gdzież jest człowiek — mam na myśli prawdziwie uczuciowego człowieka — który nie przypomina sobie mgliście, jak w pełni posiadania został opuszczony przez kogoś — lub coś — cenniejszego od życia?... A to wspólne nam przeznaczenie pastwi się ze szczególnem okrucieństwem nad kobietami. Nie karze ich jak władca, lecz zadaje im przewlekłe katusze, jakby chciało nasycić swój tajny, nieugaszony gniew. Możliwe pomyśleć że los, przeznaczony do rządzenia na ziemi, szuka zemsty na istotach, które są najbliższe wyzwolenia się z pęt ziemskiej przezorności; bo tylko kobiety umieją niekiedy włożyć w miłość ów pierwiastek zaledwie dostrzegalny, który przejmując nas lękiem jak zetknięcie z czemś pozaziemskim. Pytam się siebie z ciekawością, jak też świat w oczach kobiet wygląda — czy ma kształt i treść, która *nam* jest znana, czy ma powietrze, którem *my* oddychamy! Wydaje mi

się niekiedy, że to musi być kraina nielogicznych wzniosłości, kipiąca od uniesień dusz wążących się na wszystko, opromieniona chwałą wszelkich możliwych hazardów i wyrzeczeń. Ale podejrzewam iż bardzo mało jest kobiet na świecie, choć oczywiście zdaję sobie sprawę z mnogości ludzkiego rodzaju i równowagi liczebnej między obu płciami.

— Jednak jestem pewien że matka dziewczyny była najprawdziwszą kobietą, taką samą jaką zdawała się być córka. Wyobrażam sobie często je obie; z początku widzę młodą kobietę z dzieckiem, potem starszkę z młodą dziewczyną — wśród okropnej jednostajności i szybko mijających lat; widzę je za zaporą lasu, samotne wśród wiru życia, a każde słowo, które zamieniają, przeniknięte jest smutkiem. Matka musiała prawdopodobnie zwierzać się córce, i to nietylko z faktów co z najgłębszych uczuć — żalu — lęku; zapewne padały i przestrogi, których dziewczyna nie rozumiała w całej pełni, póki matka jej nie umarła — i póki Jim się nie zjawił. Wówczas z pewnością zrozumiała wiele — choć nie wszystko — a chyba lęk przede wszystkim. Jim nazwał ją słowem, które oznacza coś drogocennego, na przykład drogocenny kamień — nazwał ją Klejnotem. Prawda że ładnie? Ale on miał w sobie wszystkie możliwości. Był godzien swego powodzenia, tak jak i — w gruncie rzeczy — zasłużył był na swoje nieszczęście. Mówił do niej: Klejnocie, a wymawiał to zupełnie tak, jakby wołał: „Janko“, rozumiecie? takim spokojnym, małżeńskim, poufnym tonem. Usłyszałem to poraz pierwszy w dziesięć minut po przybyciu na dziedziniec Jima, który o mało co nie oderwał mi ręki, potrząsając ją na powitanie, a potem rzucił się na schody i jak rozradowany

chłopczyk zaczął się awanturować u drzwi pod ciężkim okapem:

— „Klejnocie! Słyszysz, Klejnocie! Prędko! Przyjechał mój przyjaciel!“ — Nagle zajrzał mi w oczy w półmroku werandy i szepnął poważnie: — Pan rozumie — to jest — tylko bez żadnych żartów — nie umiem wypowiedzieć, jak wiele jej zawdzięczam — więc też — widzi pan — ja — zupełnie jakgdyby...”

— Jego gorączkowy, niespokojny szept urwał się nagle: wewnątrz domu mignęła biała postać, rozległ się słaby okrzyk i z ciemnego pokoju wyrzała dziewczynna lecz pełna energii twarzyczka o delikatnych rysach i głębokiem, uważnem spojrzeniu — jak ptak z głębi gniazda.

— Uderzyło mię naturalnie imię, jakim Jim na nią wołał, ale dopiero później zwróciłem uwagę na związek tego imienia z dziwaczными pogłoskami, które doszły mnie podczas podróży w małej osadzie na wybrzeżu, około 230 mil na południe od ujścia patusańskiej rzeki. Szkuner Steina, na którym podróżowałem, zawinął tam po jakieś produkty. Wsiadłszy na brzeg, przekonałem się z wielkiem zdziwieniem, że ta nędzna miejscowość szczyci się pomocnikiem rezydenta trzeciej klasy, wielkim, tęgim, ociekającym tłuszczem drabem mieszanego pochodzenia, o mrugających oczach i wywiniętych, świecących wargach. Zastałem go leżącego nawznak na trzcinowym leżaku; był obrzydliwie rozpięty, na czubku parującej głowy miał wielki zielony liść, drugi zaś trzymał w ręku i wachlował się nim leniwie... Więc jadę do Patusanu? Ach tak, Spółka Handlowa Steina. Słyszał o niej. Wie, że Stein ma koncesję.

— „Ale mnie nic do tego. Teraz tam wcale jest

niezle — zauważył niedbale i mówił dalej, przeciągając: — Dostał się tam podobno jakiś biały włóczęga... Jak? Co pan mówi? Pański przyjaciel? Aha!... A więc mówiono mi prawdę, że to jeden z tych *vordamte* — — Czegoż on tam szukał? A hycel, więc się potrafił tam wśliznąć! Co pan mówi? Nie byłem tego pewien. Patusan — oho, podrzynają tam gardła jak nic — ale co mi do tego. — Urwał i zaczął jęczeć: — Uf! Boże ty mój! Ten upał, ten upał! Hm, wobec tego co pan mówi, może i jest trochę prawdy w pogłoskach o... — Zamknął paskudne, szkliste oko (powieka drżała mu w dalszym ciągu), a drugiem zerknął na mnie ohydnie. — Niech pan posłucha — rzekł tajemniczo — jeżeli... rozumie pan? jeżeli tamten facet dobrał się rzeczywiście do czegoś co warte zachodu... nie do jakiegoś zielonego szkiełka — kapuje pan? Jestem oficjalną osobą... Otóż niech pan powie temu szelmie... Co? Jak? Pański przyjaciel? — Przewalał się wciąż spokojnie po leżaku. — Tak pan mówi? Bardzo pięknie; miło mi że mogę dać panu te wskazówki. Pan chciałby pewno także trochę się na tem obłowić? Proszę mi nie przerywać. Pan mu powie poprostu, że słyszałem o tej historji, ale rządowi nic nie doniosłem. Jeszcze nie. Rozumie pan? I poco donosić? Prawda? Niech pan mu powie żeby się u mnie stawił, jeśli go wypuszczą żywego z kraju. Powinien pilnować swej skóry. Co? Obiecuję że żadnych pytań zadawać nie będę. Szyto kryto — rozumie pan? Panu się także coś niecoś ode mnie okroi. Niewielka prowizja za zajęcie się tą historją. Proszę mi nie przerywać. Jestem urzędnikiem rządowym, ale raportu nie zrobię. Interes interesem. Kapuje pan? Znam paru porządných ludzi, którzy kupią wszystko, co jest warte kupienia i mogę dać temu łajda-

kowi porządny kawał grosza, taki jakiego nigdy w życiu nie widział. Już ja wiem jakiego rodzaju to ptaszek“.

— Patrzył we mnie spokojnie, otwartszy oboje oczu, a ja stałem nad nim w nieopisanem zdumieniu, pytając się siebie, czy oszalałem, czy też jestem pijany. Pocił się, sapał, stękając zlekka i drapał się z takim wstrętnym spokojem, że nie mogłem znieść dłużej tego widoku i nie dotarłem do sedna sprawy. Naza jutrz przekonałem się z przypadkowych rozmów, które prowadziłem na tamtejszym malutkim dworze, że wzdłuż wybrzeża wędruje zwolna opowieść o tajemniczym białym, osiadłym w Patusanie; człowiek ten zawładnął jakoby nadzwyczajnym klejnotem, a mianowicie szmaragdem olbrzymiej wielkości, wprost bezcennym. Zdaje się że szmaragd bardziej działa na wschodnią wyobraźnię niż wszystkie inne kamienie. Opowiadano mi iż biały wy dostał go — poczęści dzięki swej nadzwyczajnej sile, poczęści zaś dzięki chytryści — od władcy odległej krainy, skąd uciekł natychmiast i przybył do Patusanu wśród najgroźniejszych niebezpieczeństw; zdołał jednak wszystkich zastraszyć przez niezmierną swą dzikość, której nic poskromić nie zdoła. Większość mych informatorów była zdania, że ów drogocenny kamień przynosi zapewne nieszczęście — jak słynny kamień sultana Sukkadany, który ongi sprowadzał na ten kraj wojny i klęski niesłychane. A może to ten sam kamień? Któż to może wiedzieć! I rzeczywiście, opowieść o szmaragdzie bajecznej wielkości sięga przybycia pierwszych białych na archipelag, a wiara w to podanie jest tak uporczywa, że przed niespełna czterdziestu laty Holendrzy przeprowadzili co do tego urzędowe śledztwo. Starzec, który mi opowiadał najwięcej szczegółów o zdumiewającym micie Jimowym,

był czemś w rodzaju pisarza przy nędznym małym tamtejszym radzy; tłumaczył mi, wytrzeszczając biedne, niedowidzące oczy (siedział na podłodze w dowód szacunku), że taki skarb najlepiej przechowywać na łonie niewiasty. Lecz nie każda niewiasta nadaje się do tego. Musi być młoda — tu westchnął głęboko — i nieczuła na ponęty miłości. Pokręcił sceptycznie głową. Jednak zdaje się że taka kobieta doprawdy istnieje. Opowiadano mu o wysokiej dziewczynie, do której biały odnosi się z wielkim szacunkiem i troskliwością, a która nigdy sama z domu nie wychodzi. Ludzie mówią, że prawie codzień widuje się białego w jej towarzystwie; chodzą oboje jawnie ramię w ramię, a on ją trzyma pod ręką i przyciska do siebie — o tak — w najdziwaczniejszy sposób. Może to i kłamstwo — przyznawał — bo toby było zaiste dziwne postępowanie; ale skądinąd niema wątpliwości, że ta dziewczyna nosi klejnot białego ukryty na piersiach.

R o z d z i a ł XXIX

— Takie rozeszło się wyjaśnienie, dotyczące wieczornych przechadzek młodej pary. Uczestniczyłem w nich nieraz, a za każdym razem dawała mi się we znaki obecność Corneliusa, który uważał się za pokrzywdzonego w legalnych prawach ojcostwa i snuł się zawsze w pobliżu, wykrzywiając dziwacznie usta, co wyglądało jakby miał natychmiast zazgrzytać zębami. Ale czyście zauważyli, że trzysta mil poza obrębem drutów telegraficznych i okrętowej komunikacji, ponure, utylitarne kłamstwa właściwe naszej kulturze wędzną i zamierają, ustępując miejsca oderwanym ćwiczeniom wyobraźni, które mają bezinteresowność, często urok, a niekiedy głęboko ukrytą prawdę dzieł sztuki? Romantyzm upodobał sobie Jima — i to było jedyną prawdą w tej opowieści. Jim nie ukrywał swego klejnotu. Wręcz przeciwnie, pysznił się nim niezmiernie.

— Spostrzegam teraz, że w gruncie rzeczy bardzo mało widywałem tę dziewczynę. Utkwiła mi najbardziej w pamięci bladość jej gładkiej, oliwkowej cery i głębokie, granatowo czarne połyski włosów, spływających obficie z pod małej czerwonej czapeczki, którą nosiła zawsze zsuniętą na tył kształtnej głowy. Ruchy jej były swobodne, pewne; kiedy się rumieniła, policzki jej okrywały się ciemną czerwienią. Gdyśmy rozmawiali we dwóch z Jimem, przesuwała się nieraz przez pokój, rzucając na nas szybko wzrokiem; zоста-

wało po niej wrażenie wdzięku, czaru — i bardzo wyraźnej czujności. Jej zachowanie było dziwną mieszaniną śmiałości i lęku. Każdy jej uśmiech pełen uroku ustępował prędko wyrazowi głuchej, tłumionej trwogi, niby zmuszony do ucieczki przez jakieś groźące stale niebezpieczeństwo. Czasami, siadłszy przy nas, przysłuchiwała się rozmowie, podpierając drobną rączką delikatny policzek i żłobiąc w nim dołki; wielkie jej, jasne oczy wisiały na naszych ustach, jakby każdy z wymówionych wyrazów miał jakiś kształt widzialny. Nauczyła się czytać i pisać od matki, a od Jima pochwytała sporo angielszczyzny; posługiwała się nią w sposób niesłychanie zabawny, mówiąc — zupełnie na wzór Jima — niedbałym, uczniowskim tonem. Tkliwość jej unosiła się nad Jimem jak trzepot skrzydeł. Dziewczyna żyła w tak bezwzględnem zapatrzeniu się w niego, że przejęła coś z zewnętrznego wyglądu Jima, coś co przypominało go w ruchach, w sposobie wyciągania ręki, oglądania się, w rzucaniu spojrzeń. Niezmierne natężenie jej czujnej miłości sprawiało, że można było prawie wyczuć tę miłość zmysłami; zdawała się istnieć naprawdę w przestrzeni naokoło Jima, otaczać go jak szczególny aromat, trwać w słońcu niby drżąca, stłumiona, namiętna nuta. Pewno bierzecie i mnie za romantyka, ale jesteście w błędzie. Opowiadam wam trzeźwe wrażenia, które mi dało zetknięcie z młodością; opowiadam o dziwnym, niepokojącym romansie, co się znalazł na mojej drodze. Przyglądałem się z zaciekawieniem przebiegowi — powiedzmy — miłości Jima. Był kochany zazdrośnie, ale dlaczego dziewczyna miała być zazdrosna i o co — nie umiem powiedzieć. Ten kraj, te lasy, ci ludzie byli jej współnikami, strzegłi go w czujnem porozumieniu, sekretnie,

tajemniczo, jako swej bezwzględnej własności. Zdawało się że niema żadnej rady dla Jima; więziła go własna jego wolność i potęga, a dziewczyna, choć była gotowa podesłać mu głowę pod nogi, strzegła swej zdobyczy nieugięcie — jakby trudno było Jima utrzymać. Nawet Tamb'Itam, który podczas naszych podróży chodził z zadartą głową, następując na pięty swemu władcy, dziki i obwieszony bronią jak janczar, z krissem, kordelasem i lancą (poza tem niósł jeszcze strzelbę Jima) — otóż nawet Tamb'Itam pozwalał sobie odgrywać rolę nieugiętego opiekuna, niby zgryźliwy dozorca, gotów oddać życie za swego więźnia. Wieczorami, kiedyśmy siadywali do późna, milcząca, niewyraźna postać chodziła bezszelestnymi krokami przed werandą tam i z powrotem; niekiedy zaś, podnosząc głowę, dostrzegalem niespodzianie że Malaj stoi w cieniu, sztywny i wyprostowany. Po niejakim czasie znikał zazwyczaj bez najmniejszego szmeru, lecz gdyśmy wstali z krzeseł, wyłaniał się tuż przy nas jakgdyby z ziemi, gotów wypełnić wszelkie rozkazy Jima. Dziewczyna także, jak sądzę, nie kładła się spać, pókiśmy nie rozstali się na noc. Nie raz i nie dwa widziałem ich oboje z Jimem przez okno mego pokoju, wychodzących spokojnie na werandę; opierali się o zgruba ciosaną poręcz — dwie zbliżone do siebie białe postacie; Jim obejmował dziewczynę, a ona kładła mu głowę na ramieniu. Dochodziły do mnie ciche ich szepty, wyraźne, tkliwe, brzmiące spokojną, smutną nutą wśród nocnej ciszy, niby obcowanie z sobą jednej i tej samej istoty, rozłożone na dwa tony. Później, przewracając się na łóżku pod siatką od moskitów, słyszałem wyraźnie słabe trzaski, lekkie oddechy, ostrożne pochrząkiwania — i wiedziałem że to Tamb'Itam jest wciąż na czatach. Choć miał (z łaski

białego władcy) dom w obejściu Jima, choć „pojął żonę“ i związek jego został niedawno pobłogosławiony przez urodzenie dziecka, zdaje się że sypiał co noc na werandzie, a w każdym razie było tak podczas mego pobytu w Patusanie. Dogadać się z tym wiernym i ponurym sługą bardzo było trudno. Nawet samemu Jimowi odpowiadał w krótkich, urywanych zdaniach, rzekłbyś niechętnie, jakby dawał do zrozumienia, że bawienie się w rozmowę do niego nie należy. Najdłuższe zdanie, jakie wypowiedział sam z siebie, usłyszałem pewnego ranka, gdy rzekł, wskazując na Corneliusa: „Tam idzie Nazarejczyk“. Nie sądzę aby się do mnie z tem zwracał, choć stałem u jego boku; zdaje mi się że chciał raczej pobudzić oburzoną uwagę wszechświata. Kilka aluzyj do psów i zapachu pieczonego mięsa, które przytem wymruczał, uderzyły mnie szczególną trafnością. Wielka, kwadratowa przestrzeń dziedzińca była zalana rozpalonym blaskiem słońca, a Cornelius skąpany w jaskrawem świetle lał przez sam środek, widzialny jak na dłoni; mimo to jednak sprawiał nieopisane wrażenie że idzie chyłkiem, że się skrada potajemnie w jakichś ciemnych zamiarach. Przywodził na myśl wszystko co najwstrętniejsze. Jego powolny, pracowity chód przypominał czołganie się odrażającego karalucha; tylko nogi poruszały mu się z ohydny mozolem, tułów zaś sunął nieruchomo. Przypuszczam że kierował się wprost tam, dokąd zamierzał się udać, ale jego chód z wysuniętem naprzód ramieniem wydawał się zawsze ukośny. Widywano go często krążącego wolno między szopami, jakby wywachiwał jakiś ślad; mijał werandę, spoglądając w górę ukradkiem i znikał bez pośpiechu za węglem pierwszej lepszej chaty. Zupełna swoboda ruchów, którą mu

pozostawiono, dowodziła bezsensownej niedbałości Jima lub też jego niezmiernej pogardy, gdyż Cornelius odegrał rolę conajmniej bardzo dwuznaczną w pewnym epizodzie, który mógł się skończyć dla Jima jaknajgorzej, a tymczasem przyczynił się tylko do jego chwały. Lecz wszystko obracało się na jego chwałę; była pewna ironja łaskawego mu losu w tem, że Jim, który raz przez chwilę okazał zbytnią troskliwość o swoje życie, zdawał się teraz posiadać czar przeciw śmierci.

— Trzeba wam wiedzieć, że opuścił posiadłość Doramina bardzo prędko po swem przybyciu — w gruncie rzeczy o wiele za prędko, jeśli chodziło o jego bezpieczeństwo, i oczywiście na długi czas przed wojną. Powodowało nim poczucie obowiązku; mówił mi że musiał się przeciw zająć interesami Steina. W tym celu przeprowił się przez rzekę ze skrajnem lekceważeniem swego bezpieczeństwa i zamieszkał u Corneliusa. Jak się temu ostatniemu udało przetrzymać okres zamieszek, tego nie umiem powiedzieć. Ostatecznie był agentem Steina i jako taki pozostawał w pewnej mierze pod protekcją Doramina. Tak czy inaczej, udało mu się wywinąć z tych groźnych komplikacyj; nie mam zaś wątpliwości, że jego postawa — bez względu na narzuconą mu linię postępowania — odznaczała się nikkzemnością, która była niejako piętnem tego człowieka. Oto właśnie główny jego rys charakterystyczny: był zasadniczo nikkzemny, co odbijało się także na jego wyglądzie, podobnie jak inni ludzie mają wygląd szlachetny, dystyngowany lub wzbudzający szacunek. Ów pierwiastek jego natury przenikał wszystkie jego czyny, namiętności i wzruszenia; Cornelius wściekał się nikkzemnie, uśmiechał nikkzemnie a także i nikkzemnie się martwił; jego uprzejmości i oburzenia były

jednakowo nikczemne. Wyobrażam sobie, że jego miłość byłaby najnikczemniejszym z uczuć — ale czy można sobie wyobrazić, aby wstrętny owad się kochał? A i obrzydliwość jego była także nikczemna, tak że pierwszy lepszy człowiek, budzący tylko odrazę, wydałby się obok niego szlachetny. Cornelius nie znajduje się ani na pierwszym ani na ostatnim planie tego opowiadania; widać go poprostu jak snuje się chyłkiem gdzieś po jego krańcach, zagadkowy i nieczysty, mącąc wonny zapach młodości i prostoty.

— Stanowisko jego mogło być w każdym razie tylko bardzo nędzne, ale nie jest wykluczone że ciągnął zeń pewne korzyści. Jim mówił mi, iż z początku Cornelius okazywał mu w odrażający sposób najprzejazniejsze uczucia.

— „Ten człowiek nie posiadał się widać z radości — rzekł Jim z obrzydzeniem. — Rzucił się na mnie co rano i wytrząsał mi obie ręce, daj go katu! Ale nie wiedziałem nigdy czy będę miał co jeść na śniadanie. Jeśli dostałem trzy posiłki w przeciągu dwóch dni, uważałem się za szczęśliwego; w dodatku kazał mi podpisywać co tydzień kwit na dziesięć dolarów. Mówił, że chyba pan Stein sobie nie wyobraża aby on, Cornelius, zadarmo mię żywił. A nie dawał mi prawie nic do jedzenia. Tłumaczył to zamieszczeniem panującym w kraju, przytem zaś udawał iż sobie włosy z głowy wyrywa, i przepraszał mię dwadzieścia razy na dzień, tak że w końcu musiałem go błagać aby się tem nie zajmował. Robiło mi się niedobrze na widok tych komedij. Dach jego domu był nawpół zapadnięty, a całe mieszkanie wyglądało nadzwyczaj nędznie; z dziur sterczały źdźbła suchej trawy, rogi podartych mat trzepotały się na wszystkich ścianach.

Cornelius starał się dowieść usilnie, że pan Stein winien mu jest pieniądze za trzy ostatnie lata handlu, ale wszystkie książki były podarte a kilku z nich brakowało. Dawał do zrozumienia, że to wina jego zmarłej żony. Wstrętna kanalja! W końcu zakazałem mu wogóle swoją żonę wspominać. To pobudzało Klejnot do płaczu. Nie dowiedziałem się nigdy, co się stało z wszystkimi towarami; w składach nie było nic prócz szczurów wyprawiających harce wśród śmieci, odpadków brunatnego papieru i starych worków. Zapewniano mię na wszystkie strony, że Cornelius ma mnóstwo pieniędzy, które gdzieś zakopał, ale oczywiście nie mogłem nic z niego wycisnąć. Prowadziłem w tym nieszczęsnym domu najmarniejsze życie, jakie sobie można wystawić. Usiłowałem pełnić swoje obowiązki w stosunku do Steina, ale trzeba było myśleć także i o innych sprawach. Kiedy uciekłem do Doramina, stary Tunku Allang zląkł się i zwrócił mi wszystkie moje rzeczy. Odbyło się to krętą drogą w niezmiernie tajemniczy sposób za pośrednictwem Chińczyka, który utrzymuje tu sklepik; lecz z chwilą gdy opuściłem Bugisów aby zamieszkać u Corneliusa, zaczęto rozpowiadać otwarcie, że radza postanowił mię wkrótce zgładzić. Przyjemne, co? Nie widziałem nic, coby mogło mu przeszkodzić, gdyby rzeczywiście na to się zdecydował. A co najgorsze, zdawałem sobie sprawę że mój pobyt w Patusanie zupełnie jest bezużyteczny i dla Steina i dla mnie. Och! tych sześć tygodni — to było coś piekielnego“.

R o z d z i a ł X X X

— Mówił mi dalej, że nie wie co go skłoniło do odkładania wyjazdu — ale możemy to naturalnie odgadnąć. Miał głębokie współczucie dla bezbronnej dziewczyny, która była na łasce tego nędznego, tchórzliwego łotra. Zdaje się że Cornelius okropnie z nią się obchodził, nie posuwając się jednak do fizycznego znęcania się tylko dlatego, że — jak sądzę — brakowało mu odwagi. Nalegał aby nazywała go ojcem — „i to z szacunkiem — z szacunkiem“, wykrzykiwał, grożąc jej małą, złotą pięścią.

— „Jestem człowiekiem zasługującym na szacunek, a ty czem jesteś? No mów — czem jesteś? Myślisz że będę wychowywał cudze dziecko i nie żądał za to szacunku? Powinnaś się czuć szczęśliwa, że ci pozwalam nazywać siebie ojcem. No dalej, odpowiadaj: tak, ojcze... Nie chcesz? Zaraz ci tu pokażę!“

— I póty wymyślał na zmarłą, póki dziewczyna nie uciekła, trzymając się oburącz za głowę. Ścigał ją, wbiegał do mieszkania i wybiegał na dwór, latał naokoło domu i między szopami; wreszcie zapędził ją w jakiś kąt, gdzie padała na kolana, zatknąwszy uszy, a wówczas stawał za nią zdaleka i jednym ciągiem wykrzykiwał plugawe wymysły przez jakie pół godziny.

— „Twoja matka to była djablica, chytra djablica — i z ciebie także djablica“ — wybuchął w końcu,

podnosił grudkę zeschniętej ziemi albo garść błota (pełno było błota naokoło domu) i rzucał jej na głowę. Niekiedy jednak stawiała mu czoło, pełna pogardy, mierząc go wzrokiem w milczeniu z ponurą, zmienioną twarzą, i tylko od czasu do czasu wypowiadała parę słów, od których żądła tamten się wił i skakał. Jim opowiadał mi że te sceny były okropne. Natrafić na coś podobnego w dzikiej głuszy, to naprawdę dziwna historia. Beznadziejność wyrafinowanie okrutnej sytuacji była przerażająca — pomyślcie tylko nad tem.

— Szacowny Cornelius (Malajowie nazywali go „Inchi 'Nelyus“ z grymasem dającym wiele do myślenia) był człowiekiem, którego spotkał wielki zawód. Nie wiem czego się spodziewał wzamian za swoje małżeństwo, lecz najwidoczniej zupełna swoboda kradzenia, i popełnienia nadużyć, i przywłaszczania sobie od lat towarów Spółki Handlowej Steina w sposób dla siebie najwygodniejszy — (Stein dostarczał bez zawodu towarów do Patusanu za każdym razem kiedy szyprowie Spółki mogli tam dotrzeć) — otóż swoboda ta nie wydawała się Corneliusowi należytym równoważnikiem za ofiarę z jego zacnego nazwiska. Jim byłby go z rozkoszą zbił na kwaśne jabłko; ale z drugiej strony owe sceny były czemś tak przykrem i ohydny, że Jim, idąc za pierwszym odruchem, usuwał się poza obręb głosu aby oszczędzić wstydu dziewczynie. Wychodziła z takiej sceny wzburzona, niema, przyciskając niekiedy ręce do piersi z kamienną, zrozpaczoną twarzą, a wówczas Jim się pojawiał i mówił do niej zgnębiony:

— „No, no — doprawdy — poco się tem przejmować — niech pani spróbuje teraz coś zjeść“ — lub też okazywał jej współczucie w jaki inny sposób.

Cornelius wślizgiwał się ustawicznie to temi, to owemi drzwiami i myszkował po werandzie niemy jak ryba, rzucając spodełba wrogie, podejrzliwe spojrzenia. „Mogę mu obrzydzić tę zabawę“, rzekł raz Jim do niej. „Niech pani tylko szepnie słowo“. I czy wiecie, co mu powiedziała? Odrzekła — Jim powtórzył mi to z przejęciem — iż gdyby nie pewność, że Cornelius jest sam bardzo nieszczęśliwy, znalazłaby odwagę aby zabić go własnymi rękoma. „Niechże pan sobie to wyobrazi! Ta biedna dziewczynina, prawie dziecko, doprowadzona do czegoś podobnego!“ wykrzyknął Jim ze zgrozą. Zdawało się że niepodobna jej ocalić nietylko przed tym podłym łotrem, ale i przed nią samą! Jim twierdził że dziewczyna nie wzbudza w nim właściwie współczucia; było to więcej niż współczucie, zdawało mu się, że coś ciąży mu na sumieniu, kiedy patrzył na jej życie. Uważałby swój wyjazd z Patusanu za niegodziwą dezercję. Zrozumiał wkońcu, że nie może się tu spodziewać niczego po dłuższym pobycie, ani rachunków, ani pieniędzy, ani jakichkolwiek wyjaśnień, ale mimo to nie wyjeżdżał, doprowadzając tem Corneliusa do rozjątrzenia graniczącego — nie powiedziałbym z szaleństwem ale prawie z odwagą. A tymczasem Jim czuł, że przeróżne niebezpieczeństwa gromadzą się skrycie wkoło niego. Doramin posyłał dwa razy zaufanego sługę aby mu powiedzieć z naciskiem, że nic dla jego bezpieczeństwa zrobić nie może, póki Jim nie przeprowi się z powrotem przez rzekę i nie zamieszka wśród Bugisów jak przedtem. Ludzie najróżniejszego autoramentu odwiedzali Jima częstokroć głuchą nocą, aby wyjawić mu spiski knute na jego życie. Chciano go otruć. Chciano go zasztyletować w łazience. Przygotowywano się do zabicia go z łódki na rzece.

Każdy z donosicieli twierdził że jest mu bardzo życzliwy. To wystarczyło — mówił Jim — aby pozba-
wić człowieka spokoju raz na zawsze. Zamachy w tym
rodzaju były najzupełniej możliwe — nawet prawdopo-
dobne — ale kłamliwe ostrzeżenia dawały Jimowi tylko
poczucie groźnych knowań, czających się naokoło
w mroku ze wszystkich stron. Trudno obmyślić coś
bardziej skutecznego dla wyprowadzenia z równowagi
najsilniejszych nerwów. Wreszcie pewnej nocy sam Cor-
nelius, odgrywając komedię wielkiego niepokoju i ta-
jemniczości, wyjawiał Jimowi pewien projekt w słowach
obleśnych i uroczystych — projekt następujący: on,
Cornelius, podejmuje się za sto dolarów — nawet za
osiemdziesiąt; powiedzmy osiemdziesiąt — dostarczyć
zaufanego człowieka, który przemyci Jima bezpiecznie
przez rzekę. Niema już teraz innej rady — jeśli Jim
dba choć trochę o życie. Cóż to jest osiemdziesiąt
dolarów? Drobnostka. Sumka bardzo nieznaczna. A tym-
czasem Cornelius, który musi pozostać na miejscu,
dosłownie wyzywa śmierć tym dowodem przywią-
zania do młodego przyjaciela pana Steina. Bardzo
trudno było Jimowi znieść widok wstrętnych min,
które stroił Cornelius; targał się za włosy, bił w piersi,
kiwał się z rękami przyciśniętymi do brzucha i nawet
udawał że roni łzy. „Pańska krew spadnie na pana
własną głowę“, skrzeknął wreszcie i wybiegł. Ciekawą
jest kwestja, do jakiego stopnia Cornelius był szczery,
odgrywając tę scenę. Jim wyznał mi, że oka nie
zmrużył po wyjściu tego człowieka. Leżał nawznak
na cienkich matach, rozpostartych na bambusowej
podłodze, usiłując napróżno rozróżnić gołe krokwie
i przysłuchując się szelestom w podartej strzesze.
Gwiazda zamigotała nagle przez dziurę w dachu. Myśli

Jima goniły się jak szalone; mimo to jednak właśnie tej nocy dojrzał w nim plan, w jaki sposób zwyciężyć Szeryfa Alego. Rozwazał sytuację już przedtem, każdej chwili wolnej od beznadziejnego wglądania w interesy Steina, ale sam pomysł przyszedł mu wtedy nagle do głowy. Ujrzał poprostu armaty wciągnięte na szczyt wzgórza. Leżąc tak, bardzo się zgrzał i podniecił; był rozbudzony bardziej niż kiedykolwiek. Zerwał się i wyszedł boso na werandę. Idąc pocichu, natknął się na dziewczynę stojącą nieruchomo pod ścianą jakgdyby na czatach. Taki był podniecony, że nie zdziwił go wcale ani jej widok, ani też szept niespokojny, gdy zapytała gdzie może być Cornelius. Odpowiedział poprostu że nie wie. Jęknęła zcicha i wyrzała na podwórze. Spokój panował wszędzie. Jim miał głowę pełną swego nowego planu i taki był nim przejęty, że nie mógł się powstrzymać aby natychmiast dziewczynie wszystkiego nie opowiedzieć. Wysłuchawszy go, klasnęła leciutko w dłonie, szepcząc cicho słowa podziwu, ale najwidoczniej miała się wciąż na baczności. Sądzę że przywykł był zwierzać się jej ze wszystkiego — a z całą pewnością ona ze swej strony mogła mu dawać mnóstwo pożytecznych wskazówek co do spraw Patusanu — i dawała mu je bezwątpienia. Zapewniał mię nieraz, iż nigdy źle na tem nie wyszedł, jeśli posłuchał jej rady. Otóż wyjaśniał jej właśnie szczegółowo swój projekt, gdy nagle ścisnęła go za ramię i znikła. Zaraz potem Cornelius skądś się wyłonił; ujrawszy Jima, uskoczył w bok, jakby do niego strzelono i stanął nieruchomo wśród mroku. W końcu posunął się naprzód ostrożnie, jak podejrzliwy kot.

— „Przyszło tam kilku rybaków — z rybami na sprzedaż — rzekł drżącym głosem. — Uważa pan,

handlują rybami...“ — Musiała być wtedy jaka druga nad ranem — akurat odpowiedni czas dla przekupnia zachwalającego swój towar!

— Ale Jim pominął to oświadczenie, nie poświęcając mu ani jednej myśli. Inne sprawy go zaprzętały, a przytem nie widział nic i nie słyszał. „Aha!“ rzekł z roztargnieniem, popił wody z dzbana stojącego na werandzie, wszedł z powrotem do domu i wyciągnął się na macie aby rozmyślać, zostawiając Corneliusa, który, nurtowany przez jakieś niezrozumiałe wzruszenie, objął oburącz stoczoną przez robaki poręcz werandy, jakby nogi się pod nim ugięły. Niebawem Jim usłyszał skradające się kroki. Zatrzymały się. Drżący głos szepnął przez ścianę:

— „Czy pan śpi?“

— „Nie! A co takiego?“ — rzekł żywo.

— Za ścianą dał się słyszeć nagły ruch, a potem wszystko ucichło, jakby ów ktoś, kto szeptał, został spłoszony. Jim, podrażniony do ostateczności, wybiegł gwałtownie; Cornelius wydał słaby okrzyk i zaczął uciekać wzdłuż werandy, lecz zatrzymał się przy schodach i oparł o złamaną poręcz. Wszystko to bardzo Jima zdziwiło; krzyknął zdaleka, pytając, co to ma znaczyć, u diabła?

— „Czy pan się zastanowił nad tem, co panu mówiłem?“ — spytał Cornelius, wymawiając słowa z trudnością, jak człowiek który ma atak dreszczów.

— „Nie! — krzyknął Jim w pasji. — Nie zastanawiałem się i zastanawiać nie myślę. Zostanę tutaj, w Patusanie“.

— „U-u-umrze pan t-t-tutaj“ — odparł Cornelius zamierającym jakby głosem, trzęsąc się wciąż gwał-

townie. Wszystko to było takie głupie i drażniące, że Jim nie wiedział czy ma się śmiać, czy złościć.

— „Nie umrę, póki nie dopilnuję aby pana zamknęli — załóżmy się!“ — krzyknął, wściekły lecz skłonny do śmiechu. I wołał dalej nawpół serjo (podniecony — jak wiecie — swemi myślami): — Nic mi pan zrobić nie możesz! Choćbyś pan pękł!“

— Daleki cień Corneliusa wydał mu się jakimś nienawistnem wcieleniem wszystkich zgryzot i trudności, które spotkał na swojej drodze. Przestał panować nad sobą — nerwy już oddawna miał przemęczone — i zaczął wyzywać Corneliusa od różnych pięknych słów — jak oszust, łgarz, nędzny łajdak — naprawdę w sposób wprost niesłychany. Przyznaje sam, że przekroczył wszelkie granice, że stracił panowanie nad sobą — rzucił Corneliusowi cały Patusan na głowę aby go przepędzić — oświadczył iż wszyscy będą tu jeszcze tańczyli jak on, Jim, im zagra i tak dalej — cały potok gróźb i przechwałek. Mówił mi, że był niemożliwie górnołotny i śmieszny. Na samo wspomnienie o tem paliły go uszy. Wyglądało to jakby dostał bzika... Dziewczyna, która z nami siedziała, skinęła ku mnie szybko małą główką, zmarszczyła się trochę i rzekła dziecinnie uroczystym tonem: „Słyszałam to wszystko“. Jim roześmiał się i zaczerwienił. Co go wreszcie osadziło, powiedział — to milczenie, zupełne, śmiertelne milczenie niewyraźnej postaci tam daleko, która jakgdyby osłabła, przewieszona przez poręcz w dziwacznym bezruchu. Oprzytomniał i nagle zamilkł, zdumionym samym sobą. Śledził Corneliusa przez chwilę. Żadnego ruchu, żadnego dźwięku.

— „Zupełnie jakgdyby skonał podczas kiedy mu wymyślałem“ — rzekł Jim. Taki był zawstydzony, że

wrócił do siebie w pośpiechu, nie mówiąc ani słowa, i rzucił się znów na posłanie. Ta awantura dobrze mu widać zrobiła, bo przez resztę nocy spał jak zabity. Nie sypiał tak już od tygodni.

— „Ale *ja* nie spałam — wtrąciła dziewczyna, siedząc z łokciem wspartym o stół i policzkiem w dłoni. — Czuwałam“. — Potoczyła wzrokiem — błysnęły jej wielkie oczy, które utkwiła uważnie w mej twarzy.

R o z d z i a ł X X X I

— Możecie sobie wyobrazić z jak wielkiem słu-
chałem zajęciem. W dwadzieścia cztery godziny później
okazało się, że wszystkie te szczegóły miały swoje
znaczenie. Rano Cornelius nie robił żadnych aluzyj
do nocnych wypadków.

— „Przypuszczam że pan wróci do mego ubo-
giego domu“ — mruknął zgryźliwie, wyslizgując się
skądś właśnie w chwili, gdy Jim wchodził do czółna
aby się udać do kampongu Doramina. Jim skinął
tylko głową, nie patrząc na niego. — Widzę że pan
uważa to wszystko za dobry kawał“ — dodał cierpko
Cornelius.

— Jim spędził dzień ze starym *nakhodą*, głosząc
konieczność energicznych czynów przed najznaczniej-
szymi mężami bugiskiej społeczności, zwołanymi na
wielką naradę. Wspominał mi z przyjemnością, jaki
był wymowny i przekonywający. „Doprawdy, udało
mi się tym razem wlać w nich ducha“, rzekł. Ostatnia
wyprawa Szeryfa Alego zniszczyła krańce osady; Ara-
bowie uprowadzili kilka kobiet do swego warownego
obozu. Dzień przedtem widziano na targu wysłańców
Szeryfa Alego, kroczących wyniosłe w białych pł-
aszczach i chełpiących się przyjaźnią radzy dla ich pana.
Jeden z tych ludzi, stojący w cieniu drzewa, wysunął
się naprzód i wsparty na długiej lufie strzelby, wzywał
obecnych do modlitwy i skruchy, doradzając, aby za-

bili wszystkich cudzoziemców znajdujących się w kraju, albowiem są między nimi niewierni, a nawet jeszcze gorsi od niewiernych — dzieci szatana w muzułmańskim przebraniu. Doniesiono także iż wielu z ludzi radży, znajdujących się wśród słuchaczy, głośno mówcy potakiwało. Popłoch wśród pospólstwa był wielki. Jim, rad niezmiernie ze swego całodziennego trudu, przepawił się z powrotem przez rzekę nim słońce zaszło.

— Uszczęśliwiony był z tego, że potrafił nieodwołalnie nakłonić Bugisów do czynu — biorąc na siebie odpowiedzialność za powodzenie — i w radości swego serca usiłował wprost być grzeczny dla Corneliusa. W odpowiedzi na to Cornelius stał się szalenie wesoły; Jim opowiadał, że było to prawie nie do zniesienia — słuchać pisków tego człowieka, zanoszącego się fałszywym śmiechem, widzieć jak się kryguje i mruga, a potem nagle chwyta za brodę i kurczy się tuż nad stołem, patrząc błędnie przed siebie. Dziewczyna się nie pokazała i Jim poszedł wcześniej do siebie. Kiedy wstawał od stołu aby powiedzieć dobranoc, Cornelius zerwał się, przewracając krzesło i dał nurka, jakby chciał podnieść coś co wypadło mu z ręki. Jego „dobranoc“ rozległo się chrypliwie pod stołem. Zdumiony Jim ujrzał go wynurzającego się z opadłą szczęką i oczami wytrzeszczonemi w idjotycznym strachu. Cornelius trzymał się za brzeg stołu.

— „Co się stało? Czy panu niedobrze?“ — spytał Jim.

— „Tak, tak, tak. Brzuch mnie strasznie boli“ — odrzekł tamten; zdaniem Jima była to najzupełniejsza prawda. Zważywszy na czyn, który Cornelius miał na myśli, trzeba jego strach uznać za objaw niedoskonałej jeszcze zatwardziałości i zapisać na jego dobro.

— Tymczasem sen Jima został zakłócony majakiem; wydało mu się że niebiosa rozbrzmiewają, jak miedź, wielkim głosem wołającym na niego: zbudź się! zbudź się! tak donośnie, iż wbrew rozpaczliwemu postanowieniu aby spać dalej, obudził się naprawdę. Blask czerwonych, trzaskających płomieni jakby zawieszonych w powietrzu padł mu na oczy. Zwoje gęstego, czarnego dymu kłębiły się naokoło głowy jakiegoś zjawiska, nieziemskiego zjawiska, całego w bieli, o surowej, natężonej, niespokojnej twarzy. Jim rozpoznał po chwili dziewczynę. Jej ramię z pochodnią było wyprężone nad głową; powtarzała wytrwale nagłym, jednostajnym głosem:

— „Niech pan wstanie! Niech pan wstanie! Niech pan wstanie!“

— Zerwał się raptownie; dziewczyna natychmiast wetknęła mu do ręki rewolwer, jego własny rewolwer, który wisiał na gwoździu, ale był tym razem nabity. Wziął go w milczeniu, oszołomiony, mrużąc oczy od światła. Zastanawiał się, co też będzie mógł dla niej zrobić.

— Zapytała szybko i bardzo cicho:

— „Czy pan może stawić czoło czterem ludziom z tym rewolwerem?“

— Opowiadając mi to, Jim roześmiał się na wspomnienie uprzedzającej grzeczności, jaką okazał dziewczynie. „Naturalnie — spodziewam się — oczywiście — niech pani mi rozkazuje“. Nie otrząsnął się jeszcze ze snu i miał wrażenie, że zachowuje się bardzo uprzejmie w tych niezwykłych okolicznościach, że ujawnia bezwzględna gorliwość pełną oddania. Dziewczyna wyszła z pokoju, Jim za nią; na korytarzu zakłócili spokój starej jędzy, która od czasu do czasu

gotowała dla domowników, choć była już taka zgrzybiała, że z trudnością mogła zrozumieć co się do niej mówi. Dźwignęła się i poszła za nimi, kulejąc i mrużąc coś bezzębnymi ustami. Na werandzie hamak z żaglowego płótna bujał się lekko, trącony łokciem przez Jima. Był pusty.

— Filja w Patusanie, tak jak i wszystkie stacje Spółki Handlowej Steina, składała się początkowo z czterech budynków. Dwa z nich przedstawiały obecnie stopy chróstu, połamanych bambusów i zbutwielej strzechy, nad którymi cztery narożne słupy z twardego drzewa chyliły się smętnie pod różnemi kątami; główny skład jednak stał jeszcze naprzeciw domu agenta. Była to podłużna szopa ulepiona z błota i gliny; u jednego jej końca znajdowały się szerokie drzwi z grubych desek, które dotychczas trzymały się jeszcze na zawiasach, a w bocznej ścianie był czworokątny otwór nakształt okna z trzema drewnianymi sztabami. Przed zejściem z paru stopni dziewczyna zwróciła głowę wtył ku Jimowi i rzekła prędko:

— „Mieli napaść na pana podczas snu“.

— Jim mówił mi, że doznał wówczas w pewnym sensie rozczarowania. Znowu ta stara historia! Znudziły go zamachy na jego życie. Miał po uszy wszystkich alarmów. Aż do obrzydzenia. Był zły na dziewczynę, że go zwiodła. Poszedł za nią, przekonany że to ona potrzebuje pomocy, a teraz miał prawie ochotę wykręcić się na pięcie i wrócić, przejęty wstrętem. „Wie pan — wyjaśniał mi z głębokiem zastanowieniem — zdaje mi się że w owym czasie nie byłem właściwie sobą przez szereg tygodni“. Nie mogłem się powstrzymać od zaprzeczenia mu: „Ależ tak! Pan jednak był sobą“.

— Tymczasem dziewczyna sunęła szybko naprzód,

a Jim szedł za nią na podwórze. Ogradzające je płoty dawno już się rozpadły i bawoły sąsiadów kroczyły rano powoli przez otwartą przestrzeń, głucho postępując; nawet dżungla zaczynała już tu się wdzierać. Jim i dziewczyna zatrzymali się w bujnej trawie. Światło, w którym stali, pogłębiało ciemności dokoła i tylko nad ich głowami połyskiwała mnogość gwiazd. Jim mówił mi, że była to cudowna noc — zupełnie chłodna, z leciutkim powiewem od rzeki. Zauważył widać dobrotliwe jej piękno. Pamiętajcie że opowiadam wam teraz historję miłosną. Ta piękna noc zdawała się tchnąć na nich łagodną pieśczętą. Płomień pochodni chwiał się niekiedy, trzepocząc głośno jak chorągiew i przez jakiś czas nic więcej nie było słycać.

— „Czekają w składzie — szepnęła dziewczyna — czekają tam na sygnał“.

— „Czyj sygnał?“ — zapytał Jim.

— Wstrząsnęła pochodnią, która buchnęła płomieniem, rozsypany deszcz iskier.

— „Tylko że pan spał tak niespokojnie — ciągnęła szepciem. — Ja także czuwałam nad panem“.

— „Pani!“ — zawołał, obracając głowę aby na nią spojrzeć.

— „Pan myśli, że czuwałam tylko tej nocy!“ — rzekła jakgdyby z rozpaczą i oburzeniem.

— Mówił mi, że te słowa podziały na niego niby cios w piersi. Tchu mu zabrakło. Doznał wrażenia że zachowywał się jak cham — poczuł skruchę, wzruszenie, szczęście, dumę. Przypominam wam znowu, że to jest historja miłosna; możecie to poznać po głupocie — bynajmniej nie odpychającej — po wzniosłej głupocie ich zachowania; po tym postoju w świetle pochodni, jakby na benefis ukrytych zbrodniarzy

przyszli tu umyślnie się wygadać. Gdyby wysłańcy Szeryfa Alego mieli choć za grosz odwagi, jak Jim słusznie zauważył — ta chwila byłaby najodpowiedniejsza do napaści. Serce Jima waliło — ale nie z trwogi; wydało mu się że słyszy szelest trawy i wyszedł prędko poza obręb światła. Coś ciemnego i niewyraźnego mignęło szybko i przypadło. Zawołał głośno: „Cornelius! Hej, Cornelius!“ Nastąpiła głęboka cisza; zdawało się że głos Jima nie sięgnął poza jakichś dwadzieścia stóp. Dziewczyna znalazła się znów u jego boku.

— „Niech pan ucieka!“ — rzekła.

— Starucha zbliżała się; pokraczna jej postać sunęła na skraju światła w kulawych, drobnych podskokach; usłyszeli pomruk i lekki jęk czy westchnienie.

— „Niech pan ucieka! — powtórzyła gorączkowo dziewczyna. — Oni boją się teraz tego światła — tych głosów. Wiedzą że pan się obudził — wiedzą że pan jest wielki, silny, nieustraszony“...

— „Jeżeli jestem taki, jak pani mówi“ — zaczął, lecz dziewczyna przerwała mu.

— „Tak, dzisiaj! ale co będzie jutro? Pojutrze? I jeszcze później — przez wiele, wiele następnych nocy? Czy ja mogę czuwać zawsze?“ — Usłyszał niby szloch, niby westchnienie, i wzruszyło go to nad wszelki wyraz.

— Mówił mi, że jeszcze nigdy nie czuł się taki nędzny, taki bezsilny — a co do odwagi, to — rozmyślał — na cóż mogła się przydać? Był tak bezradny, że nawet ucieczka wydała mu się bezcelowa; i choć dziewczyna szeptała wciąż z gorączkowym naciskiem: „Niech pan wraca, niech pan wraca do Doramina“, Jim zdał sobie sprawę, że niema dla niego ucieczki od tego osamotnienia — które powiększało

stokrotnie wszystkie jego niebezpieczeństwa — tylko w niej jednej. „Pomyślałem — rzekł do mnie — że jeśli od niej odejdę, będzie to jakby koniec wszystkiego“.

— Ponieważ nie mogli stać wiecznie w środku tego podwórza, Jim postanowił pójść i zajrzeć do składu. Pozwolił jej iść za sobą, nie myśląc się temu sprzeciwić, jakby byli nierozwiązalnie złączeni.

— „Jestem nieustraszony — prawda?“ — mruknął przez zęby. Powstrzymała go za ramię.

— „Niech pan zaczeka, póki pan nie usłyszysz mojego głosu“ — rzekła i z pochodnią w ręku pobięła lekko za róg szopy. Został sam w ciemnościach, zwrócony twarzą ku drzwiom; żaden odgłos — choćby najlżejszy — nie dochodził z tamtej strony składu. Stara jęzda jęknęła ponuro gdzieś za plecami Jima. Usłyszał wysoki głos dziewczyny, przechodzący prawie w krzyk:

— „Teraz! Pchnąć drzwi!“

— Pchnął gwałtownie; otworzyły się ze zgrzytem i klekotem, odsłaniając ku niezmiernemu zdumieniu Jima niskie wnętrza, podobne do więzienia, oświetlone ponurym, chwiejnym blaskiem. Dym kłębił się, spływając wdół na pustą, drewnianą pakę w środku podłogi zaśmieconej słomą i gałganami, które jakby usiłowały wznieść się w górę, poruszając się tylko słabo w przewiewie. Dziewczyna wetknęła światło przez sztaby w oknie. Widział jej nagie, okrągłe ramię, wyciągnięte i sztywne, trzymające nieugięte w górze pochodnię — jak żelazna podpora. Strzępiasty stos starych mat w kształcie stożka zapełniał odległy kąt szopy prawie do sufitu — i to było wszystko.

— Jim mówił mi, że poczuł na ten widok gorzkie rozczarowanie. Jego wytrzymałość była wystawiona

na próbę przez tyle ostrzeżeń, od tygodni słyszał wciąż tyle napomknięć o niebezpieczeństwie, że pragnął ulgi — pragnął się zetknąć z rzeczywistością, z czemś dotykalnem, czemuby mógł stawić czoło.

— „Byłoby to oczyściło powietrze przynajmniej na parę godzin, pan rozumie o co mi chodzi — rzekł do mnie. — Przecież żyłem już od tyłu dni z kamieniem na piersiach“.

— Myślał że zetknie się wreszcie z czemś realnem — i nic! Żadnego śladu, żadnego znaku aby tam był ktokolwiek. Kiedy drzwi się otwały, podniósł był rękę z bronią, ale teraz jego ramię opadło.

— „Niech pan strzela! Niech pan się broni!“ — wołała zzewnątrz dziewczyna z rozpaczą w głosie. Stojąc w ciemności z ramieniem wetkniętem aż po pachę w niewielki otwór, nie mogła widzieć co się dzieje w środku, a nie śmiała cofnąć teraz pochodni i obieć naokoło szopy.

— „Niema tu nikogo!“ — wrzasnął Jim pogardliwie i omal że nie wybuchnął złym, rozjątronym śmiechem, który mu zamarł na ustach, bo w chwili kiedy już się odwracał, dostrzegł że zamienia spojrzenie z parą oczu wyzierających ze stosu mat. Ujrzał poryskiwy ruch białek.

— „Wyłaź!“ — krzyknął z wściekłością, trochę jeszcze niepewny — i ciemna głowa, głowa bez torsu, ukształtowała się pośród śmieci, dziwna, oderwana głowa patrząca na niego spokojnie spodełba. W następnej chwili poruszył się cały kopiec; człowiek wynurzył się zeń szybko z cichym pomrukiem i dał susa ku Jimowi. Maty podskoczyły i jakby rozleciały się za napastnikiem; prawe jego ramię, zgięte w łokciu, było wzniesione i matowe ostrze krissa wystawało

z pięści trzymanej tuż nad głową. Przepaska obwinięta ciasno koło bioder bielila się olśniewająco na brązowym cieie; naga skóra połyskiwała jak mokra.

— Jim zauważył to wszystko. Mówił mi że doznał niewysłowionej ulgi, mściwego uniesienia. Powstrzymał się umyślnie od strzału. Opóźnił go o dziesiątą część sekundy — czas bezmiernie długi; człowiek zbliżył się o trzy kroki. Jim opóźnił strzał dla przyjemności stwierdzenia przed samym sobą: ten człowiek jest martwy! Był niewzruszenie pewien swego. Pozwolił mu się zbliżyć, ponieważ to nie miało znaczenia. Ten człowiek jest martwy — w każdym razie. Zauważył jego rozdęte nozdrza, szeroko rozwarte oczy, zapamiętały, żarliwy spokój twarzy i wreszcie strzelił.

— Huk w tej zamkniętej przestrzeni był ogłuszający. Jim odstał krok w tył. Widział jak napastnik poderwał głowę, wyrzucił naprzód ramiona i upuścił kriss. Jim stwierdził potem że strzelił mu w usta, trochę ku górze, tak że kula wyszła wysoko z tyłu czaszki. W rozpędzie napastnik posuwał się wciąż jeszcze naprzód z otwartymi ustami i wykrzywioną twarzą, macając przed sobą rękoma jakby zaniewidział — wreszcie runął na twarz ze straszliwą siłą tuż przed nagiemi stopami Jima. Jim mówił że nie uszedł mu najdrobniejszy szczegół tej sceny. Poczul się nagle spokojny, ukojony, bez złości, bez żadnej obawy, jakgdyby śmierć tego człowieka zadosyćczyniła za wszystko. Pochodnia napełniała szopę dymem i kopciem, wśród których spokojny płomień gorzał bez drgnięcia krwawą czerwienią. Jim wszedł do szopy stanowczym krokiem, przestępując przez martwe ciało i wziął na cel drugą nagą postać, rysującą się niewyraźnie w innym końcu szopy. Gdy już miał pociągnąć za kurek, człowiek ów

odrzucił z siłą krótką, ciężką włócznię i przysiadł ulegle na piętach tyłem do ściany, splótszy ręce między kolanami.

— „Prosisz o życie? — spytał Jim. Tamten ani mruknął. — Ilu was jest jeszcze?“ — spytał Jim znowu.

— „Jeszcze dwóch, tuanie“ — rzekł człowiek bardzo cicho, patrząc wielkimi, urzeczonymi oczyma w lufę rewolweru.

— Zgodnie z tem dwóch jeszcze wypełzło z pod mat, wyciągając ostentacyjnie puste ręce.

R o z d z i a ł X X X I I

— Jim kazał im iść naprzód i wyprowadził całą grupę z szopy; a przez cały ten czas pochodnia tkwiła prostopadle w ujęciu drobnej dłoni, która nawet nie drgnęła. Trzej ludzie słuchali Jima bez słowa, poruszając się automatycznie. Ustawił ich rzędem.

— „Weźcie się za ręce!“ — rozkazał. Usłuchali go.

— „Pierwszy z was, który cofnie rękę albo się obejrzy, jest trupem — rzekł. — Marsz!“

— Ruszyli sztywno naprzód; szedł za nimi, a z boku niosła pochodnię dziewczyna w białej powłóczystej sukni, z czarnymi włosami spadającymi do pasa. Prosta i gibka, zdawała się sunąć, nie dotykając ziemi; słychać było tylko jedwabisty świst i szelest długiej trawy.

— „Stać!“ — krzyknął Jim.

— Brzeg rzeki był stromy; z dołu bił wielki chłód, światło padało na skraj gładkiej, ciemnej wody pieniającej się bez zmarszczek; na prawo i lewo szeregi domostw zbiegały się pod ostremi zarysami dachów.

— „Pozdrówcie ode mnie Szeryfa Alego, póki sam się nie zgłoszę — rzekł Jim. Żadna z trzech głów nie poruszyła się. — Skakać!“ — zagrzmiął.

— Trzy pluski zwały się w jeden, wzbili się deszcz bryzgów, czarne głowy zakotłowały się gwałtownie i znikły; ale wciąż było słychać potężne sapanie i parsknięcia — słabnące stopniowo — bo wszyscy trzej nurkowali pilnie w wielkim strachu przed po-

zeganalnym strzałem. Jim zwrócił się do dziewczyny, która przez cały czas była niemą i uważną obserwatorką. Wydało mu się nagle, że serce rozpiera mu piersi i podchodzi do gardła; zapewne dlatego zaniemówił na tak długo. Dziewczyna odwzajemniła jego spojrzenie i cisnęła palącą się pochodnię do rzeki z wielkim rozmachem. Czerwony, ognisty blask, zatoczywszy wielki łuk wśród nocy, zapadł się z gniewnym sykiem, a spokojne, łagodne światło gwiazd zstąpiło na nich bez przeszkody.

— Nie wiem co Jim jej powiedział, gdy wkońcu odzyskał głos. Wątpię aby był bardzo wymowny. Świat zaległa cisza, wokół nich dyszała noc, jedna z tych nocy jakby stworzonych do czułości. Zdarzają się chwile kiedy dusze — niby wyzwolone ze swych ciemnych zasłon — goreją cudowną wrażliwością, która sprawia że czasem milczenie przejrzystsze jest niż mowa. Jim mówił mi dalej o dziewczynie:

— „Osłabła na chwilę. Takie podniecenie — pan rozumie. Nastąpiła reakcja. Musiała być piekielnie zmęczona — i tak dalej. I — i — co tu dużo gadać — okazało się że mnie kocha, uważa pan... Ja także... Nie wiedziałem naturalnie... nie przyszło mi to nigdy do głowy...”

— Wstał i zaczął chodzić tam i z powrotem, trochę podniecony.

— „Ja — ja kocham ją całym sercem. Bardziej niż się to da wypowiedzieć. Naturalnie że tego wypowiedzieć nie można. Człowiek patrzy inaczej na swoje czyny, kiedy rozumie — kiedy go zmuszają codzień do zrozumienia — że jego życie jest potrzebne — uważa pan, dosłownie potrzebne — dla kogoś drugiego. Jestem do tego zmuszony. To nie-

słychane. Ale niech pan spróbuje tylko sobie wyobrazić, czem było jej życie. Coś nieprawdopodobnie straszego! Prawda? I ja, który znalazłem ją tutaj — tak jak się wychodzi na spacer i znajduje się kogoś tonącego w samotnem, zatraconem miejscu. Słowo daję! Nie było ani chwili do stracenia. A przytem ta odpowiedzialność... Wierzę, że jej podołałem“...

— Muszę tu zaznaczyć, że dziewczyna zostawiła nas samych już chwilę przedtem. Jim uderzył się w piersi. „Tak! czuję tę odpowiedzialność, ale wierzę, że potrafię swoje szczęście udźwignąć“. Umiał wy-najdywać szczególne znaczenie we wszystkim co go spotykało. Zapatrywał się podobnie i na swoje sprawy miłosne — idyllicznie, nieco uroczyście a zarazem szczerze, ponieważ jego wiara miała niewzruszoną po-wagę młodości. W jakiś czas później powiedział mi znów przy innej okazji:

— „Jestem tu dopiero od dwóch lat, a teraz — słowo daję — nie umiem sobie wyobrazić, abym mógł mieszkać gdziekolwiekindziej. Sama myśl o tamtym zewnętrznym świecie przejmuje mnie strachem; po-nieważ, rozumie pan — ciągnął dalej ze spuszczone-mi oczami, patrząc na swój but rozgniatający dokładnie grudkę zeschniętego błota (przechadzaliśmy się właśnie po wybrzeżu) — ponieważ nie zapomniałem, dlaczego tu się znajduję. Jeszcze nie!“

— Powstrzymałem się aby na niego nie spojrzeć, ale zdaje mi się że doszło mnie krótkie westchnienie; przeszliśmy parę razy, milcząc, tam i z powrotem.

— „Przysięgam na swoją duszę — zaczął znowu — że jeśli wogóle taką rzecz można zapomnieć — to ja mam prawo wymazać ją z pamięci. Niech pan zapyta któregośkolewkie z tutejszych ludzi... — ton jego się

zmienił. — Czy to nie dziwne — ciągnął łagodnym, prawie tęsknym głosem — że wszyscy ci ludzie, choć niema rzeczy którejby dla mnie nie zrobili — nigdyby tego nie mogli zrozumieć? Nigdy! Jeśli mi pan nie wierzy, nie mogę się na nich powołać. To mi się jednak wydaje ciężkie. Głupi jestem, prawda? Czegoż mi więcej trzeba? Jeśli pan ich zapyta, komuby powierzyli swoje życie — kto jest odważny — kto jest prawy — kto jest sprawiedliwy? — Odpowiedzą: tuan Jim. A jednak nie mogą nigdy poznać istotnej prawdy...“

— Oto co mi powiedział ostatniego dnia, który z nim spędziłem. Nie pozwoliłem sobie nawet na szept; czułem że będzie mówił dalej i że się do jądra sprawy nie zbliży. Słońce — którego skupiony blask przemienia ziemię w pyłek nie znający spoczynku — zapadło za las, a rozproszone światło opalowego nieba zdawało się rzucać na świat bez cieni i blasków złudę spokojnej, zadumanej wielkości. Nie wiem dlaczego, przysłuchując się Jimowi, zwracałem tak baczną uwagę na stopniowe ściemnianie się rzeki i powietrza; na nieodpartą, powolną pracę nocy, która sadowi się pochichu na wszystkim co widzialne, zacierając kontury, grzebie kształty coraz głębiej i głębiej, jak spokojny osad nieuchwytnego czarnego pyłu.

— „Słowo daję — zaczął nagle — zdarzają się dni, kiedy człowiek niemożliwie jest głupi; ale wiem, że panu mogę wszystko powiedzieć. A więc — skończyłem już z tem — z tą zmorą... Ale zapomnieć... Nie wiem czy potrafię, do licha! Mogę o tem myśleć spokojnie. Ostatecznie — czego tamto dowiodło? Niczego. Ale pan tak pewnie nie myśli...“

— Mruknąłem coś przecząco.

— „Mniejsza z tem — rzekł. — Jestem prawie...“

zadowolony. Trzeba mi tylko spojrzeć w twarz pierwszemu lepszemu z tutejszych ludzi, żeby odzyskać pewność siebie. Niepodobna im wyjaśnić, co we mnie się dzieje. Cóż z tego? Przecież tak źle się nie sprawiłem“.

— „Ależ naturalnie“ — rzekłem.

— „A jednak nie byłoby panu przyjemnie mieć mnie na pokładzie swojego statku — co?“

— „A niechże pana doprawdy! — krzyknąłem. — Dość tego“.

— „Aha! Widzi pan — zawołał, jakby tryumfując nade mną spokojnie. — Ale — ciągnął — niech pan tylko spróbuje powiedzieć to któremukolwiek z tutejszych ludzi. Pomyślą że pan jest durniem, kłamcą, albo czemś jeszcze gorszem. Dlatego właśnie mogę znieść tamto. Zrobiłem dla nich cośniedość, a oto co oni dla mnie zrobili.“

— „Kochany chłopcze — zawołałem — pozostanie pan dla nich zawsze niezbadaną tajemnicą.“ — Zamilkliśmy.

— „Tajemnicą — powtórzył i podniósł oczy. — No więc — pozwólcie mi tu zostać nazawsze“.

— Po zachodzie słońca ciemność zdawała się na nas pędzić, niesiona każdym nikłym powiewem. Na środku ogrodzonej ścieżki zobaczyłem nieruchomą sylwetkę Tamb' Itama — szczupłą, czujną — jakgdyby o jednej nodze; a skroś zmierzchu oko moje dostrzegło, że coś białego porusza się tam i z powrotem za słupami podtrzymującymi dach. W chwili gdy Jim, z Tamb' Itamem następującym mu na pięty, wyruszył na obchód wieczorny, poszedłem sam do domu i niespodzianie zostałem zatrzymany przez dziewczynę, która najwidoczniej na mnie czatowała.

— Trudno wam powiedzieć, co właściwie chciała mi wydrzeć. Było to oczywiście coś bardzo prostego — najprostsza niemożliwość na świecie, jak naprzykład dokładny opis kształtu chmury. Pragnęła zapewnienia, stwierdzenia, obietnicy, wytłumaczenia — nie wiem jak mam to nazwać: ta rzecz nazwy nie posiada. Było ciemno pod wystającym dachem i mogłem widzieć tylko zarys jej powłóczystej sukni, drobny, blady owal twarzyczki o połyskliwych zębach i zwrócone ku mnie ciemne wgłębienia oczu, w których jakby coś poruszało się słabo; zdaje się nam czasem że dostrzegamy coś podobnego, wpatrując się w niezmiernie głęboką studnię. Co to się tam rusza? — pytamy siebie. Jakiś ślepy potwór, czy tylko zagubiony odbłask z wszechświata? Przyszło mi na myśl, nie śmiećcie się ze mnie, że — choć to porównanie jest dziwne — dziewczyna bardziej była nieprzenikniona w swej dziecinnej niewiedzy niż sfinks zadający wędrowcom dziecinne zagadki. Wywieziono ją do Patusanu, zanim oczy jej na świat się otwarły. Wyrośla tam; nie widziała nic, nie знаła nic, nie miała o niczem pojęcia. Pytam się siebie, czy była pewna że cośkolwiek innego istnieje. Niepojętem jest dla mnie, jakie wyobrażenie mogła sobie wyrobić o zewnętrznym świecie; jedynymi jego mieszkańcami, których znała, byli — zdradzona kobieta i ponury błazen. Ukochany jej przybył też stamtąd, obdarzony nieprzepartym urokiem; ale co się z nią stanie, jeśli Jim wróci znów do tych niepojętych krain, które zdawały się zawsze żądać swych ludzi z powrotem? Matka ostrzegała ją przed tem ze łzami, zanim umarła...

— Chwyciła mię mocno za ramię, a z chwilą gdy się zatrzymałem, cofnęła rękę z pośpiechem. Była

śmiała i płochliwa. Nie czuła lęku przed niczem, ale powstrzymywała ją głęboka niepewność i obcość niezmierna; była jak człowiek odważny, szukający pomacku drogi w ciemnościach. Należałem do Nieznanego, które każdej chwili mogło zażądać Jima dla siebie. Byłem niejako dopuszczony do tajników tego Nieznanego, znałem jego zamiary — zausznik posiadający groźny sekret — może zbrojny w jego siłę! Przypuszczała zapewne, że mógłbym jednym słowem wyrwać Jima z jej ramion; jestem głęboko przekonany, że przechodziła męki niepokoju podczas mych długich rozmów z Jimem — prawdziwe, nieludzkie katusze; łatwo zrozumieć, że byłoby to mogło ją doprowadzić do knucia zamachu na moje życie, gdyby miała w sobie dość srogości aby stawić czoło okropnej sytuacji, stworzonej przez jej własną wyobraźnię. Oto moje wrażenie, i nic więcej wam powiedzieć nie mogę; wszystko to wyjaśniało mi się stopniowo, a w miarę jak zaczynałem rozumieć, przytłaczało mnie coraz bardziej uczucie nieufnego zdumienia. Musiałem jej wkońcu uwierzyć, lecz żadne słowa nie oddadzą wrażenia, które na mnie wywarły jej porywcze, gwałtowne szepty, cichy, namiętny głos, nagłe pauzy bez tchu i wymowne ruchy białych ramion wyciągających się szybko. Ramiona te opadły; widmowa postać zachwiała się jak smukłe drzewo na wietrze, błądy owal się pochylił; niepodobna było rozróżnić jej rysów, mrok oczu był niezgłębiony; dwa szerokie rękawy wzniosły się w ciemności jak rozwijające się skrzydła — i stała tak w milczeniu, objąwszy głowę rękami.

R o z d z i a ł X X X I I I

Byłem niezmiernie przejęty; jej młodość i nieświadomość, jej pełna wdzięku uroda, która miała prosty czar i delikatną żywotność polnego kwiatu, jej wzruszające prośby, jej bezradność, przemawiały do mnie z siłą równającą się prawie jej nieuzasadnionemu lecz naturalnemu strachowi. Bała się nieznanego — jak i my wszyscy — a jej niewiedza wyolbrzymiała je w nieskończoność. Byłem dla niej wcieleniem owego nieznanego, siebie, was, chłopcy, całego świata, który ani dbał o Jima, ani go potrzebował. Byłbym chętnie przed nią ręczył za obojętność całej ziemi tętniącej życiem, ale przyszło mi na myśl, że Jim należy także do tajemniczego nieznanego, którego dziewczyna się lęka, i że cokolwiekbym w jej oczach uosabiał, Jima uosabiać nie mogę. Zawahałem się. Jej szept pełen beznadziejnego bólu rozwiązał mi usta. Zacząłem ją zapewniać, że co się mnie tyczy, nie przyjechałem bynajmniej ażeby zabrać Jima.

— Dlaczegoż więc przyjechałem? Poruszyła się zlekka i stała znów nieruchomo wśród nocy jak marmurowy posąg. Usiłowałem jej pokrótce wyjaśnić, że sprowadziły mnie interesy, przyjaźń; jeżeli mam jakie życzenie dotyczące Jima, to wolałbym raczej aby został w Patusanie.

— „Oni zawsze nas porzucają“ — szepnęła. Od grobu, który wieńczyła pobożnie kwiatami, przypląnęło

jakby nikłe westchnienie pełne smutnej mądrości. Rzekłem, że nic jej z Jimem rozłączyć nie może.

— Jestem głęboko o tem przeświadczony; byłem tego pewien i wówczas; uważam to za jedyny możliwy wynik wszystkich faktów, składających się na tę historję. Nie potrzebował mnie umacniać w tem przekonaniu jej szept, zwrócony jakgdyby do siebie samej:

— „Przysięgał mi to“.

— „Czy pani go o to prosiła?“

— Podeszła o krok bliżej. Nie! Nigdy! Prosiła tylko aby odjechał. Było to owej nocy na wybrzeżu, kiedy zabił tego człowieka — i kiedy ona rzuciła pochodnię do wody, bo na nią tak patrzył. Było za jasno, a niebezpieczeństwo minęło — na krótki czas — na krótki czas. Powiedział wtedy, że nie zostawi jej z Cornelusem. Ponowiła swe prośby. Żądała znów by ją opuścił. Powiedział że tego nie zrobi — że to jest niemożliwe. Drżał, mówiąc to. Czowała jak drży... Nie potrzeba wiele wyobraźni aby sobie odtworzyć tę scenę, aby prawie usłyszeć ich szepty. Bała się też i o niego. Zdaje mi się że w owej chwili widziała w nim tylko ofiarę nieuniknionych niebezpieczeństw, które rozumiała lepiej od niego samego. Choć sama tylko obecność Jima sprawiła że ośwładnął jej sercem, że wypełnił wszystkie jej myśli i opanował wszystkie uczucia, nie doceniała widoków jego powodzenia. Okazuje się iż nikt wówczas nie umiał Jima docenić. Właściwie mówiąc, zdawało się doprawdy że niema przed nim żadnych widoków. Wiem że i Cornelius podzielał to przekonanie. Wyznał mi to aby usprawiedliwić dwuznaczną rolę, którą odegrał w spisku Szeryfa Alego, mającym na celu usunięcie niewiernego. Nawet sam Szeryf Ali — co mi się teraz wydaje

pewne — miał dla białego tylko pogardę. Chciano zamordować Jima z powodów głównie religijnych, jak mi się zdaje. Miał to być prosty akt pobożności (i właśnie dlatego wysoce chwalebny), ale skądinąd bez wielkiego znaczenia. Było to również zdanie Corneliusa.

— „Czcigodny panie — dowodził, łasząc się przede mną, kiedy zdołał mię jeden jedyny raz sam na sam przyłapać — czcigodny panie, skąd ja mogłem wiedzieć? Kimże on był? Co mógł zrobić, aby ludzie mu uwierzyli? Cóż pan Stein sobie myślał, posyłając takiego młodego chłopca, aby traktował z góry starego sługę? Gotów byłem ocalić go za osiemdziesiąt dolarów. Tylko za osiemdziesiąt dolarów. Czemu się ten dureń stąd nie wyniósł? Więc ja miałem się narażać na zasztyletowanie z powodu jakiegoś cudzoziemca? — Płaszczył się przede mną, zgiąwszy się wpół obłudnie, a ręce jego błądziły u mych nóg, jakby był gotów objąć mi kolana. — I cóż to jest, osiemdziesiąt dolarów? Drobną sumką, odpowiednią dla bezbronnego starca zrujnowanego na całe życie przez tę zmarłą piekielnicę“. — Tu się rozplakał. Ale uprzedzam wypadki. Natknąłem się owej nocy na Corneliusa dopiero po rozmowie z dziewczyną.

— Była daleka od egoizmu, nalegając aby Jim ją opuścił, a nawet aby wyjechał z kraju. Miała na myśli przedewszystkiem jego bezpieczeństwo, nawet jeśli pragnęła także siebie ocalić — może nieświadomie; ale zważcie na ostrzeżenie, które miała w pamięci, zważcie na to, że mogła wyciągnąć naukę z każdej chwili życia swej niedawno zmarłej matki, życia, w którym skupiały się wszystkie jej wspomnienia. Padła Jimowi do nóg — tam na wybrzeżu, w dyskretnem świetle gwiazd, które nie ukazywało nic

prócz wielkich, milczących skupień cieniów, prócz nieokreślonych otwartych przestrzeni, i drżało nikle na szerokiej rzece, czyniąc ją rozległą jak morze. Jim podniósł dziewczynę. Podniósł ją, a wtedy przestała już walczyć. Oczywiście. Silne ręce, czuły głos, dzielne ramię, na którym tak wygodnie oprzeć biedną, samotną główkę. Potrzeba — niezmierna potrzeba — tego wszystkiego dla obolałego serca, dla skołatanej duszy; podszepty młodości — konieczność chwili. Cóż chcecie? Łatwo to pojąć — chyba że się nie jest zdolnym nic wogóle zrozumieć. Więc też była szczęśliwa gdy ją podniósł — i przytrzymał w ramionach. Przypomniałem sobie słowa Jima, które szepnął mi kiedyś śpiesznie u progu swego domu z troską i niepokojem na twarzy: „Proszę pana, pan rozumie — to jest rzecz poważna, to nie żadne głupstwo!“ Nie znam się tak dalece na głupstwach, ale w ich miłości nie było nic lekkomyślnego; zesli się w cieniu życiowej klęski, jak rycerz i dziewczica spotykający się dla wymiany przysiąg w nawiedzanych przez duchy ruinach. Światło gwiazd wystarczało im zupełnie, światło tak nikle i dalekie, że nie mogło cieniów w kształty przemienić ani ukazać drugiego brzegu rzeki. Patrzyłem tej nocy na rzekę z miejsca gdzie wówczas stali; toczyła się niema i czarna jak Styks. Odjechałem nazajutrz, ale nie sądzę abym kiedy zapomniał przed czem dziewczyna pragnęła się uchronić, gdy błagała Jima aby ją opuścił, póki czas jeszcze. Powiedziała mi to wówczas spokojnie — zbyt głęboko była przejęta, aby mogła się czuć podnieconą — powiedziała głosem tak spokojnym wśród mroku jak jej biała, ledwie widzialna postać. Powiedziała mi: — „Nie chciałam umierać, płacząc“.

— Wydało mi się, że nie dosłyszałem.

— „Nie chciała pani umierać, płacząc?“ — powtórzyłem za nią.

— „Jak moja matka — dodała natychmiast. Zarysy jej białej postaci ani drgnęły. — Moja matka płakała gorzko przed śmiercią“ — wyjaśniła.

— Wokół nas niepojęty spokój zdawał się wznosić nieznacznie z ziemi i chłonał przejawy naszych wzruszeń, jak cicho wzbierający nocny przypływ pochłania znaki orientacyjne na brzegu. Przejął mnie nagły strach — jakgdybym poczuł w wodzie że tracę grunt pod nogami — strach przed nieznaną głębią. A dziewczyna opowiadała dalej, że kiedy zostały sam na sam z matką w czasie jej chwil ostatnich, musiała odejść od łóża i podeprzeć plecami drzwi, aby Corneliusa nie wypuścić. Chciał się dostać do pokoju i walił we drzwi obiema pięściami, przestawał zaś od czasu do czasu tylko po to by krzyknąć chrapliwie: „Wpuść mnie! Wpuść mnie! Wpuść mnie!“ W odległym kącie pokoju konająca leżała na matach, nie mogąc ani przemówić ani podnieść ramienia; obróciła głowę na posłaniu i słabym ruchem ręki zdawała się rozkazywać: „Nie wpuszczaj! Nie wpuszczaj!“ a posłuszna córka patrzyła na nią, podpierając drzwi plecami ze wszystkich sił.

— „Łzy pociekły jej z oczu — i umarła“ — zakończyła dziewczyna niezmiennie monotonnym głosem, który przejął mię bardziej niż wszystko inne, bardziej niż biała, posągowa nieruchomość jej postaci, bardziej niż wszelkie słowa — przejął mię do głębi bierną, beznadziejną okropnością tej sceny. Zgroza wytrąciła mię z mego pojęcia o życiu, z tego schronienia, które każdy z nas sobie tworzy aby wczłochać

się doń w chwili niebezpieczeństwa, jak żółw się chowa pod swoją skorupę. Przez chwilę stanęła mi w oczach rozległa i ponura wizja świata pogrążonego jakgdyby w bezładzie — podczas gdy świat jest w istocie — dzięki naszym niezmordowanym wysiłkom — tak pogodnym układem drobnych udogodnień, jak sobie tylko można wyobrazić. Jednak była to tylko chwila: wróciłem wnet do swej skorupy. Człowiek wrócić *musi*, rozumiecie? — lecz zdawało mi się że pogubiłem wszystkie słowa w chaosie mrocznych myśli, które mnie zaprzętały przez parę sekund — po tamtej stronie. Ale słowa wróciły też bardzo prędko, bo należą również do opiekuńczego wyobrażenia o świetle i ładzie, które jest naszą ucieczką. Miałem je już gotowe pod ręką, nim zaszeptała cicho:

— „Przysiągł że nie opuści mnie nigdy, kiedyśmy tam stali we dwoje! Przysiągł mi to!...”

— „Czyż to możliwe, żeby pani — pani! — mu nie wierzyła?” — spytałem ze szczerym wyrzutem, naprawdę zgorzony. Dlaczego mu nie mogła uwierzyć? Skąd ta tęsknota za niepewnością, to czepianie się trwogi, jakby niepewność i trwoga stały na straży jej miłości? To było potworne. Powinna była sobie stworzyć przystań niewzruszonego spokoju z tego uczciwego uczucia. Nie zdawała sobie z tego sprawy — a może nie potrafiła się na to zdobyć.

— Noc nadeszła z pośpiechem; zrobiło się zupełnie czarno, tak że dziewczyna, nie ruszając się z miejsca, rozwiała się jak nieuchwytny zarys tęsknej i przewrotnej mary. Wtem usłyszałem znowu spokojny jej szept:

— „Inni mężczyźni przysięgali taksamo. — Był to jakby komentarz do rozpamiętywań pełnych smutku

i zgrozy. Potem dodała jeszcze ciszej, jeśli to możliwe: — Mój ojciec także przysięgał“. — Zamilkła i jakby odetchnęła bezgłośnie. „Jej ojciec“ także... Oto rzeczy, które jej były wiadome! Rzekłem nagle:

— „Ale przecież Jim jest inny“.

— Temu, zdaje się, przeczyć nie zamierzała; lecz po jakimś czasie dziwny, cichy szept, wędrując sennie przez powietrze, wśliznął się do mego ucha:

— „Dlaczego on jest inny? Czy jest lepszy? Czy jest...

— „Daję pani słowo honoru — przerwałem — wierzę w to, że jest lepszy“.

— Zniżyliśmy głosy do tajemniczego szeptu. Wśród chat zamieszkałych przez robotników Jima (byli to przeważnie wyzwoleni niewolnicy z za częstokołu Szeryfa Alego) ktoś zaczął śpiewać ostrym i przeciągłym głosem. Z drugiej strony rzeki wielkie ognisko (pewnie u Doramina) tworzyło jaśniejącą kulę, zupełnie z nocy wyodrębnioną.

— „Czy on jest wierniejszy?“ — szepnęła.

— „Tak“ — odrzekłem.

— „Wierniejszy niż wszyscy inni mężczyźni?“ — powtórzyła, cedząc wyrazy.

— „Nikomtu tutaj nie przysłoby do głowy wątpić o jego słowach — niktby się nie ośmielił — prócz pani“. — Mam wrażenie, że poruszyła się na to.

— „Odważniejszy“ — ciągnęła innym już tonem.

— „Strach nigdy go od pani nie oddzieli“ — rzekłem trochę nerwowo. Śpiew urwał się na ostrej nucie; posłyszeliśmy kilka głosów rozmawiających w oddali. Głos Jima był między niemi. Zdziwiło mię milczenie dziewczyny.

— „Co też on pani powiedział? Czy mówił pani

cos o tem? — rzekłem. Nie było odpowiedzi. — Co on pani mówił takiego?“ — nalegałem.

— „Myśli pan, że mogę panu powtórzyć? Skądże mam wiedzieć? Skąd mam to wszystko zrozumieć? — krzyknęła w końcu. Coś się poruszyło; zdaje mi się że załamała ręce. — Jest jakaś rzecz, której on nie może zapomnieć“.

— „Tem lepiej dla pani“ — rzekłem pośepnie.

— „Co to jest? Co to takiego? — W jej błagalnym tonie była niesłychana siła wyrazu. — On mówi, że się raz przeląkł. Jakże mam mu uwierzyć? Nie jestem szalona aby temu uwierzyć. Wy wszyscy coś pamiętacie! Wy wszyscy wracacie do czegoś. Co to takiego? Niech mi pan powie! Co to za rzecz? Czy to jest żywe — czy martwe? Nienawidzę tego czegoś. Jest okrutne! Czy to ma twarz i głos — to nieszczęście? Czy on to zobaczy — czy usłyszy? Może we śnie, kiedy mnie widzieć nie może; a wówczas wstanie i pójdzie. Ach! Nigdy mu nie przebaczę. Moja matka przebaczyła — ale ja — nigdy! Czy to będzie znak — czy wezwanie?“

— Byłem świadkiem rzeczy zadziwiających. Nie dowierzała nawet jego snom — i zdawała się myśleć, że będzie mógł jej powiedzieć, dlaczego! Taksamo biedny śmiertelnik, oczarowany wdziękiem jakiejś mary, usiłowałby wydrzeć innej marze potężną tajemnicę praw, które tamten świat sobie rości do odcielesnionych dusz błądzących wśród namiętności tej ziemi. Miałem wrażenie że grunt, na którym stoję, rozpływa mi się pod nogami. A przytem było to takie proste; lecz jeśliby mogło się zdarzyć, aby duchy — wywołane przez nasze trwogi i niepokoje — musiały ręczyć wzajemnie za swą wierność przed nieszczęsnymi czarownikami, którymi jesteśmy — to właśnie ja —

ja jeden z pośród nas, śmiertelników, drzałem w bezna-
dziejnym trudzie takiego zadania. Znak, czy wezwanie!
Jakże wymowną była w swej nieświadomości. Tylko
kilka słów! Jakże mogła te słowa znaleźć, jak potrafiła
je wypowiedzieć, tego pojąć nie mogę. Kobiety znaj-
dują natchnienie pod wpływem chwil, które dla nas
są poprostu straszne, bezsensowne lub błahe. Już samo
odkrycie, że ta dziewczyna umie wogóle się wypo-
wiedzieć, wystarczyło aby przejąć grozą serce. Gdyby
kopnięty kamień krzyknął z bólu, nie byłoby mi się
to wydało cudem większym i bardziej żalnym. Te
dźwięki wędrujące w ciemności rzuciły cień tragizmu
na mroczne życie ich obojga. Nie można było jej nic
wytłumaczyć. Przeklinałem w duchu swoją bezsilność.
A Jim nieborak! Któżby go potrzebował? Któżby go
pamiętał? Miał to, czego pragnął. Zapomniano już
pewnie nawet o jego istnieniu. Oboje z dziewczyną
opanowali swój los. Byli tragiczni.

— W jej bezruchu czułem wyraźnie oczekiwanie,
mnie zaś przypadło w udziale wstawiać się za bratem
z królestwa zapominających cieni. Przejąłem się głęboko
swą odpowiedzialnością i niedolą dziewczyny. Byłbym
oddał wszystko za władzę ukojenia jej wątlej duszy,
która dręczyła się w bezradnej niewiedzy niby drobny
ptaszek rozbijający się o okrutne druty klatki. Nic
łatwiejszego jak powiedzieć: nie bój się! I nic trudniej-
szego. Ciekaw jestem, jak się zabija strach? Jak prze-
strzelić serce upiora, odrąbać mu upiorną głowę, chwy-
cić go za upiorne gardło? W takie rzeczy wplątujemy
się we śnie i jesteśmy szczęśliwi, gdy uchodzimy cało,
oblani potem, trzęsąc się na całym ciele. Kula na
upiora jeszcze nie ulana, ostrze nie wykute, człowiek
zwycięzający widma jeszcze się nie urodził; nawet

skrzydlate słowa prawdy opadają do stóp jak bryły ołowiu. Do owej rozpaczliwej walki niezbędna jest czarodziejska, zatruta strzała umaczana w kłamstwie tak subtelnem, że nie znaleźć go na tej ziemi. Zadanie takie można wykonać tylko we śnie, moi panowie!

— Zacząłem odprawiać swe egzorcyzmy z ciężkiem sercem, pełnem jakgdyby posępnego gniewu. Głos Jima rozległ się nagle z powagą po drugiej stronie podwórza; karcił niedbalstwo jakiegoś niemego grzesznika na brzegu rzeki.

— „Nic — rzekłem wyraźnym szeptem — niema nic ani żywego, ani martwego w tamtym nieznanym świecie — który według pani taki jest zawzięty na pani szczęście — niema tam ani twarzy, ani głosu, ani żadnej siły, któraby mogła Jima od pani oderwać“. — Zaczerpnąłem powietrza, a ona szepnęła pocichu:

— „Powiedział mi to samo“.

— „Powiedział pani prawdę“ — odrzekłem.

— „Niema tam nic — wyszeptała i nagle natarła na mnie z ledwie dosłyszalnym napięciem w głosie: — Więc dlaczego pan stamtąd do nas przyjechał? On mówi o panu zbyt często. Ja się pana boję. Czy pan — czy pan go potrzebuje?“ — Coś w rodzaju tajonej gwałtowności wśliznęło się do naszych gorączkowych szeptów.

— „Nie wrócę tu już nigdy — rzekłem z goryczą. — Ja go nie potrzebuję. Nikt go tam nie potrzebuje“.

— „Nikt“ — rzekła z powątpiewaniem.

— „Nikt — potwierdziłem, czując, że owłada mną dziwne podniecenie. — Pani wierzy że Jim jest silny, mądry, odważny, wielki — dlatego więc nie

uwierzyć, że jest także i wierny? Wyjeżdżam jutro i na tem koniec. Żaden głos stamtąd nigdy już spo-koju pani nie zamąci. Tamten świat, którego pani nie zna, za wielki jest aby brak Jima odczuć. Rozumie pani? Za wielki. Pani trzyma serce Jima w swem ręku. Musi pani to czuć! Musi pani to wiedzieć“.

— „Tak, wiem o tem“ — szepnęła zimno i spokojnie — jak posąg.

— Odczułem, że mi się nie udało. A o co mi chodziło właściwie? Dziś już tego nie umiem powiedzieć. Przejmował mnie wówczas niezrozumiały zapał, jak wobec jakiegoś wielkiego i koniecznego zadania: był to wpływ owej chwili na mój umysł i serce. W każdym życiu zdarzają się takie chwile, takie wpływy, które przychodzą z zewnątrz nieodparte i niepojęte — jakby wywołane przez tajemniczy układ planet. Powiedziałem dziewczynie, że posiada jego serce. Posiadała i jego serce, i wszystko — byleby tylko mogła w to uwierzyć. A teraz musiałem jej jeszcze powiedzieć, że na całym świecie niema ani jednego człowieka, któryby mógł potrzebować serca Jima, jego rąk, jego ducha. Jest to los zwykły, a jednak wydało mi się okropnem mówić tak o jakimkolwiek człowieku. Słuchała bez słowa, a milczenie jej było teraz jak protest kamiennej nieufności. Co ją obchodzi świat z tamtej strony lasów? pytałem. Z pośród wielkiej mnogości ludzi, zaludniających obszar nieznanego, nie przyjdzie do Jima póki życia żaden znak, żadne wezwanie. Nigdy. Poniosło mię. Nigdy! Nigdy! Zdumiewam się, wspominając z jaką zawziętą wybuchnąłem gwałtownością. Zdawało mi się, że chwyciłem wreszcie upiora za gardło. Doprawdy, cała ta realna scena zstawiła mi szczegółowy obraz jakby jakiegoś zdumie-

wającego snu. Pytałem jej, czego się lęka? Przecież wie że Jim jest silny, szczery, mądry, odważny. Jest taki doprawdy. Bezwzględnie. Jest nawet czemś więcej. Jest wielki — niewyciężony — lecz świat go nie potrzebuje, zapomniał o nim, a nawet nie chce go znać.

— Zamilkłem; cisza nad Patusanem była wielka, i słaby, suchy odgłos wiosła — uderzającego o bok czółna gdzieś na środku rzeki — pogłębiał ją w nieskończoność.

— „Dlaczego? — szepnęła. Poczulem wściekłość podobną do tej, jaka ogarnia człowieka podczas ciężkiej walki. Upiór usiłował wysliznąć się z moich ramion. — Dlaczego? — zapytała głośniejszym głosem — proszę mi powiedzieć! — A gdy wciąż milczałem zmieszany, tupnęła nogą jak rozpieszczone dziecko: — Dlaczego? Niechże pan mówi!“

— „Chce pani wiedzieć?“ — zapytałem z furją.

— „Tak!“ — krzyknęła.

— „Ponieważ zbyt mało jest wart“ — rzekłem brutalnie.

— Zapadła na chwilę cisza; spostrzegłem że ognisko na drugim brzegu pojaśniało, rozszerzając krąg swego blasku jak zdumione spojrzenie, poczem skurczyło się nagle do rozmiarów mniejszych niż łebek od szpilki. Przekonałem się jak blisko stała dziewczyna, dopiero gdy chwyciła mnie palcami za ramię. Nie podnosząc wcale głosu, wyraziła nim bezmiar zjadliwej pogardy, goryczy i rozpacz:

— „Powiedział mi zupełnie to samo... Pan kłamie!“

— Ostatnie dwa słowa krzyknęła w narzeczu krajowców.

— „Niechże mnie pani wysłucha! — błagałem. Trzęsła się, dysząc głośno i odepchnęła moje ramię. — Wszyscy, wszyscy zbyt mało są warci“ — zacząłem z najgłębszym naciskiem. Słyszałem jej łkania i strasznie szybki oddech. Zwiesiłem głowę. I pocóż było mówić? Zbliżyły się kroki; oddaliłem się pocichu bez słowa...

R o z d z i a ł X X X I V

Marlow wyprostował nogi i wstał prędko, przy-
czem zachwiał się trochę, jakby go postawiono na
ziemi po szybkim locie w przestworzu. Oparł się ple-
cami o balustradę i stał naprzeciw bezładnego szeregu
długich trzcinowych leżaków. Wyciągnięte na nich
ciała zdawały się budzić z odrętwienia pod wpływem
ruchu Marlowa. Paru słuchaczy usiadło, jakby ich
ogarnął niepokój; gdzieniegdzie żarzyło się jeszcze
cygaro; Marlow popatrzył na wszystkich oczami czło-
wieka, który wraca z niezmiernie odległej krainy snu.
Ktoś chrząknął; spokojny jakiś głos zachęcił Marlowa
niedbale: „No i co dalej?”

— „Nic — odrzekł Marlow, drgnąwszy lekko. —
Jim poprostu opowiedział jej swoje dzieje — oto wszy-
stko. Nie uwierzyła mu... Nic więcej. Jeśli chodzi
o mnie, nie wiem czy jest sprawiedliwe, słuszne
i przyzwoite, abym się cieszył — czy też abym się mar-
twił. Nie umiem powiedzieć, w co sam wierzyłem —
w gruncie rzeczy do dziś dnia tego nie wiem i prawdopo-
dobnie nigdy wiedzieć nie będę. Ale w co on wierzył,
nieborak? Prawda musi zwyciężyć — przecież wiecie:
magna est veritas et... Tak, jeśli to jej się uda. Z pewno-
ścią rządzi tu jakieś prawo — tak jak prawo rządzi
szczęściem w rzucaniu kości. Wcale nie Sprawiedliwość,
służebna ludzi, lecz traf, przypadek, Los — sprzymie-
rzeniec cierpliwego Czasu — dzierży bezstronną i do-
kładną wagę. Obaj z Jimem powiedzieliśmy zupełnie

to samo. Czyśmy obaj mówili prawdę — czy jeden z nas — czy też żaden?

Marlow zamilkł, skrzyżował ramiona na piersi i ciągnął zupełnie innym już głosem:

— Powiedziała że kłamie. Biedactwo. No więc — pozostawmy to losowi, sprzymierzonemu z Czasem, którego naglić nie można, a którego wrogiem jest Śmierć, co nie chce czekać. Wycofałem się z tej rozmowy trochę zalekniony, muszę to wyznać. Usiłowałem się zmierzyć ze strachem we własnej osobie i oczywiście — zostałem pokonany. Osiągnąłem tylko to, że do udręki dziewczyny przyłączyło się poczucie jakiejś tajemniczej zмовy, mętnego, niepojętego spisku, który dążył do utrzymania jej wciąż w nieświadomości. A było to tak naturalne i nieuchronne — wynikło poprostu z postępowania ich obojga! Miałem wrażenie, iż odsłonięto przede mną mechanizm nieubłaganego losu, którego jesteśmy ofiarą — i narzędziem. Strasznie mi było pomyśleć o dziewczynie, którą tam zostawiłem stojącą bez ruchu; kroki Jima rozległy się złowieszczo, gdy przeszedł blisko w swych ciężkich, sznurowanych butach, nie widząc mnie wcale.

— „Jakto, lampy nie zapalone? — rzekł głośno zdziwionym tonem. — Co wy tu robicie oboje pociemku? — W następnej chwili spostrzegł ją widać. — Hallo, dziewczynko!“ — krzyknął wesoło.

— „Hallo, mój chłopcze!“ — odpowiedziała natychmiast za zdumiewającą dzielnością.

— Tak się witali zazwyczaj, a odrobina zadziwistości, która brzmiała w dość wysokim i słodkim jej głosie, bardzo była zabawna, ładna, dziecinna i budziła zachwyt Jima. Słyszałem wówczas po raz ostatni, jak zamieniali ten poufały okrzyk i chłód przejął mi

serce. Miałem w uszach wysoki, słodki głos dziewczyny, trochę zadzierzysty, czułem piękny wysiłek jej ducha — lecz wydało mi się że sił jej zabrakło; żartobliwy okrzyk rozległ się niby jęk. To było okropnie bolesne.

— „Co zrobiłaś z Marlowem? — spytał Jim, potem dodał: — Pewno wyszedł, co? To dziwne że go nie spotkałem... Marlow! Gdzie pan jest?“

— Nic nie odrzekłem. Nie chciałem wrócić do domu — a w żadnym razie nie teraz. Naprawdę nie mogłem. Kiedy Jim na mnie wołał, wymykałem się właśnie przez małą furtkę prowadzącą na świeżo wykarczowaną polankę. Nie; nie miałem jeszcze sił z nimi się widzieć. Spuściłem głowę i szedłem śpiesznie po wydeptanej ścieżce. Grunt wznosił się łagodnie; wyrąbano tu kilka wielkich drzew, wycięto podszycie i spalono trawę. Jim chciał założyć na tej polance próbną plantację kawy. Wielkie wzgórze, odcinające się podwójnym wierzchołkiem na bladej jasności wschodzącego księżyca, zdawało się rzucać cień na teren przygotowany do plantacji. Jim miał tyle różnych planów w zanadrzu; podziwiałem zawsze jego energję, bystrość i przedsiębiorczość. A teraz wydało mi się, że niema na świecie nic bardziej nierealnego od jego planów, energii i zapału. Podniósłszy oczy, zauważyłem część księżyca, błyszczącą skroś zarośli na dnie rozpadliny. Przez chwilę doznałem wrażenia, iż gładka tarcza spadła ze swego miejsca na niebie i potoczyła się na dno wąwozu; wznoszenie się jej wyglądało jak powolny odskok; wydostała się z poplątanych gałęzi; nagi, skręcony konar jakiegoś drzewa, rosnącego na pochyłości, tworzył czarną rysę wpoprzek tarczy. Księżyc rzucał wdał poziome promienie, wychodzące rzekłbyś z jaskini; w tem świetle, ponurem jak pod-

czas zaćmienia, pnie ściętych drzew wyglądały bardzo ciemno, głębokie cienie kładły mi się zewsząd do stóp, zlewając się z mym własnym sunącym cieniem, a przede mną leżał wpoprzek ścieżki cień samotnego grobu uwieńczonego zawsze kwiatami. W pociemniałem świetle miesięcznym uwite kwiaty nabrały kształtów nieznanymi mej pamięci i barw nieokreślonych, jakby były odrębnymi kwiatami, których człowiek nie zerwał, które wyrosły nie na tym świecie i są przeznaczone wyłącznie na użytek umarłych. Potężny aromat bijący od wieńców tkwił w ciepłym powietrzu, czyniąc je dusznym i ciężkim jak dym kadzidła. Bryły białego koralu jaśniały naokoło ciemnego kopca niby różaniec pobielających czaszek, a wszystko takie było ciche naokół, że kiedy się zatrzymałem, wszelki ruch, wszelkie dźwięki na świecie zdawały się zamierać.

— Panował głuchy spokój, jakby ziemia była jednym wielkim grobem; stałem tam pewien czas, myśląc głównie o żyjących, którzy — zagrzebani gdzieś po zatraconych kątach świata poza wiedzą ludzkości — muszą jednak dzielić jej nieszczęścia — tragiczne lub groteskowe. A kto wie, może i szlachetne jej walki? Ludzkie serce jest tak obszerne, że zdoła zawrzeć cały świat. Dość jest dzielne by dźwigać swe brzemie; czyż znajdzie się człowiek odważny, któryby je rzucił?

— Popadłem widać w nastrój sentymentalny; wiem tylko iż stałem tam bardzo długo i poczucie absolutnej samotności owładnęło mną tak zupełnie, że wszystko co ostatnio widziałem, słyszałem — nawet sam dźwięk ludzkiej mowy — rzekłbyś zapadło w nicłość, żyjąc jeszcze tylko przez chwilę w mojej pamięci,

jakbym ostał się sam jeden z całej ludzkości. Było to dziwne i smutne złudzenie, nawpół świadome jak wszystkie nasze złudzenia, które — o ile mi się zdaje — są tylko wizjami odległej, niedosiężnej prawdy niejasno dostrzeganej. Patusan był zaiste jednym z najbardziej zatraconych, zapomnianych, nieznanych miejsc na ziemi; zajrzałem do jego mrocznego wnętrza, a teraz czułem że — gdy jutro wyjadę nazawsze — ten kraj przestanie istnieć i będzie żył tylko w moich wspomnieniach, póki sam nie zapadnę w niepamięć. Czuję to teraz znowu; może właśnie dlatego opowiedziałem wam tę historję, przekazałem ją wam, że tak powiem — jej istotę, jej rzeczywistość — prawdę odkrytą w chwili uludy.

— Cornelius spłoszył tę chwilę. Wypadł jak robak z wysokiej trawy rosnącej na zakłęśniętym gruncie. Zdaje się że jego butwiejący dom stał gdzieś w pobliżu choć nigdy tego domu nie widziałem, bo nie zapuściłem się nigdy w tamtą stronę. Metys biegł ku mnie ścieżką; jego nogi, obute w brudne białe trzewiki, migwały na tle ciemnej ziemi; stanął przede mną i zaczął płaszczyć się i mazgać. Na głowie miał wysoki kapelusz przypominający rurę od pieca; wyschnięty, mały jego korpus gubił się i zatracał w czarnem sukiennem ubraniu. Cornelius przywdziewał ten strój na święta i uroczyste okazje; przypomniało mi to, że spędzam w Patusanie już czwartą niedzielę. Przez cały czas mego pobytu zdawałem sobie niejasno sprawę, iż Cornelius pragnie mi się zwierzyć i szuka tylko sposobności aby mię sam na sam przyłapać. Wałęsał się w pobliżu z pożądliwym, błagalnym wyrazem na skwaszonej, żółtej twarzyczce, lecz powstrzymywała go zarówno własna nieśmiałość jak zrozumiiała we

mnie niechęć do jakichkolwiek stosunków z tak odrażającą kreaturą. Byłby jednak swego dopiął, gdyby nie wrodzona mu skłonność do wymykania się chyłkiem, z chwilą gdy ktoś spojrział na niego. Cofał się przed surowem spojrzeniem Jima, przed moim wzrokiem, któremu usiłowałem nadać wyraz obojętności, nawet przed niechętnem, wyniosłym spojrzeniem Tamb' Itama. Przemykał się ciągle ukradkiem; kiedykolwiek go się dostrzegało, zawsze oddalał się, klucząc, przekrzywiwszy głowę na ramię, niekiedy z podejrzliwym warknięciem, to znów w pełnym bóści, niemem zgnębieniu; lecz żadna z jego min nie mogła ukryć wrodzonej, niezatartej nikczemności jego natury, tak jak żaden ubiór nie może zasłonić jakiegoś potwornego zniekształcenia ciała.

— Może byłem rozstrojony po bezwzględnej porażce, której doznałem przed niecałą godziną, zmagając się z upiorem strachu, dość że pozwoliłem się Corneliusowi przychwycić, nie udając nawet oporu. Sądzone mi było wysłuchać zwierzeń i pytań, na które niema odpowiedzi. To było ciężkie; lecz pogarda, odruchowa pogarda, budząca się na widok Corneliusa, ułatwiła mi sytuację. Ten człowiek nie mógł mieć żadnego znaczenia. Teraz nic już nie miało znaczenia, ponieważ zdecydowałem, że Jim wreszcie swój los opanował — a tylko Jim mię obchodził. Oświadczył mi że jest zadowolony... prawie zupełnie. Mało kto mógłby się zdobyć na tak śmiałe powiedzenie. Jabym nie mógł, choć mam prawo dość dobrze myśleć o sobie. A czyby się który z was na to zdobył?

Marlow zamilkł, jakby oczekując odpowiedzi. Wszyscy milczeli.

— Macie rację — zaczął znów Marlow. — Niech

nikt się o tem nie dowie; prawdę może nam wyrwać tylko jakaś okrutna katastrofa — drobna a straszna. Jim jest przecież jednym z nas, a jednak mógł powiedzieć, że jest... prawie zadowolony. Pomyślcie tylko! Moznaby mu nieledwie zazdrościć jego katastrofy. Był prawie zadowolony. Wobec tego cóż mnie mogło obchodzić? Wszystko mi było jedno, kto go podejrzewał, kto mu ufał, kto go kochał a kto nienawidził — szczególnie jeśli tym, który go nienawidził, był Cornelius.

— A jednak ta nienawiść stanowiła właściwie pewien rodzaj uznania. Sądzi się człowieka po jego wrogach, zarówno jak po przyjaciółach, a ten nieprzyjaciel Jima był taki, że każdy przyzwoity człowiek mógł bez wstydu do niego się przyznać, nie przejmując się jednak zbyt jego nienawiścią. Takie było zdanie Jima, a także i moje własne; lecz pozatem Jim lekceważył Corneliusa z zasadniczych powodów.

— „Wie pan — powiedział mi — czuję, że jeśli będę szedł prostą drogą, nic mi się stać nie może. Naprawdę. Pan był tutaj dość długo i mógł się pan dokładnie rozejrzeć; niech mi pan powie otwarcie, czy pan nie uważa, że jestem tu zupełnie bezpieczny? Wszystko zależy ode mnie i — słowo panu daję — mam do siebie pełne zaufanie. Zdaje mi się że najgorsze, co mógłby mi zrobić — to mnie zabić. Ale uważam to za niemożliwe. Nie byłby w stanie tego zrobić, rozumie pan? nawet gdybym mu sam podał nabitą strzelbę w tym celu, a potem odwrócił się od niego plecami. To już jest taka kreatura. A nawet przypuśćmy że mógłby — że chciałby mię zabić. No i co z tego? Nie przybyłem tutaj aby uciec od śmierci — prawda? Przybyłem, żeby oprzeć się plecami o mur — i mam zamiar tu zostać...”

— „Aż do chwili, kiedy pan będzie *zupelnie* zadowolony“ — wtrąciłem.

— Rozmawialiśmy, siedząc pod płóciennym dachem w łodzi Jima; dwadzieścia wiosel błyskało jednocześnie, po dziesięć u każdej burty, a za naszymi plecami milczący Tamb' Itam zagłębiał pióro steru to z prawej, to z lewej strony i wpatrywał się prosto przed siebie w dół rzeki, bacząc aby utrzymać długie czołno wśród najsilniejszego prądu. Jim pochylił głowę; ostatnia nasza rozmowa zdawała się na dobre wygasnąć. Odprowadzał mię do ujścia rzeki. Mój szkuner wyruszył dzień przedtem, żeglując w dół lub dając się unosić fali odpływu, a ja zostałem jeszcze przez noc w Patu-sanie. Teraz Jim mię odprowadzał.

— Trochę go to podrażniło, że wogóle wspom-niałem o Corneliusie. W gruncie rzeczy niewiele o nim mówiłem. Ten człowiek znaczył zbyt mało aby mógł być niebezpieczny, choć nienawiść go rozpięrała popro-stu. Zaczepiwszy mię wówczas wieczorem, nazywał mię co drugie słowo „czcigodnym panem“ i skomlał u mego boku, towarzysząc mi od grobu swojej „nie-boszczki żony“ aż do furtki w ogrodzeniu otaczającym posiadłość Jima. Oświadczył iż jest najnieszczęśliwszym z ludzi, ofiarą, którą rozdeptano jak robaka; zaklinał mię abym spojrzał na niego. Nie chciało mi się głowy odwrócić, lecz widziałem z pod oka unizony cień me-tysa sunący za moim, a księżyc, zawieszony po prawej stronie, zdawał się rozkoszować tą sceną, przy-glądając nam się pogodnie. Cornelius usiłował mi wytłumaczyć — jak wam już mówiłem — swoją rolę w wypadkach owej pamiętnej nocy. Postąpił tak, jak mu nakazywała przeczność. Skądże mógł wiedzieć, czyje będzie na wierzchu?

— „Byłbym go wyratował, czcigodny panie! Byłbym go ocalił za osiemdziesiąt dolarów“ — zapewniał słodziutkim tonem, idąc za mną krok w krok.

— „Sam się wyratował — rzekłem — i przebaczył panu. — W odpowiedzi usłyszałem coś w rodzaju chichotu, a gdy się zachnąłem na Corneliusa, był gotów natychmiast wziąć nogi za pas. — Czegoż pan się śmieje?“ — zapytałem, przystając.

— „Niech pan się nie łudzi, czcigodny panie — skrzeknął, jakby tracąc panowanie nad sobą. — Onby się sam wyratował! Ależ on nie ma o niczem pojęcia, czcigodny panie, absolutnie o niczem! Kimże on jest? Czego on tutaj chce, ten łotr? Zamydla wszystkim oczy; i panu, czcigodny panie, także oczy zamydlił — ale ze mną to mu się nie uda. Skończony z niego dureń, czcigodny panie. — Zaśmiałem się pogardliwie i ruszyłem dalej, zawróciwszy na pięcie. Biegł za mną i szeptał gwałtownie: — On jest zupełnie jak małe dziecko — jak małe dziecko — małe dziecko“.

— Nie zwracałem na to oczywiście żadnej uwagi, a Cornelius, widząc że czas nagli — gdyż zbliżyliśmy się do bambusowego płotu, który połyskiwał na szczerńiałym gruncie polanki — wypowiedział wreszcie o co mu chodziło. Najpierw zaczął się ohydnie mazgać. Wielkie jego nieszczęścia padły mu na mózg. Wyraził nadzieję, że zapomnę łaskawie o słowach, które wyrwały mu się jedynie pod wpływem zgryzoty. Nie miał nic złego na myśli; ale „czcigodny pan“ nie wie, co człowiek czuje, kiedy go zrujnują, złamią, podepczą. Po tym wstępie przystąpił do kwestji, która mu leżała na sercu, ale w słowach tak mętnych, tchórzliwych i przerywanych wykrzyknikami, że przez długi czas nie mogłem zrozumieć do czego zmierza. Chciał, abym się

wstawił za nim u Jima. Chodziło, o ile mi się zda wało, o jakieś pieniądze. Od czasu do czasu powtarzał: „Skromna prowizja — odpowiedni podarek“. Domagał się za coś odszkodowania; posunął się nawet tak daleko, iż oświadczył gorąco że człowiek, który został ograbiony ze wszystkiego, nie ma pocco żyć. Nie pisałem oczywiście ani słowa, ale uszu nie zatykałem. Rdzeń sprawy, która wyjaśniła mi się stopniowo, polegał na tem, że Cornelius uważał się za uprawnionego do pobrania pewnej sumy wzamian za dziewczynę. Wychował ją przecież. Cudze dziecko. Miał z nią wielkie kłopoty — zmartwienia — teraz jest już starcem — chciałby dostać jakiś odpowiedni podarek. Gdyby czcigodny pan zechciał rzec jedno słowo... Zatrzymałem się aby spojrzeć z ciekawością na Corneliusa, a on — widać w obawie abym go nie wziął za zdziercę, pośpieszył zrobić pewne ustępstwo. Jeśli dostanie zaraz „odpowiedni podarek“, weźmie na siebie chętnie utrzymanie dziewczyny, „bez żadnego innego wynagrodzenia“ — z chwilą gdy Jim będzie wracał do Anglji. Na małej, żółtej twarzyczce Corneliusa, zmiętej jakby ją kto wyżał, malował się niepokój i namiętna chciwość. Głos jego skomlał przymilnie:

— „Żadnego kłopotu... naturalny opiekun... niewielka kwota...“

— Stałem wciąż, nie posiadając się ze zdumienia. Ten rodzaj zajęcia był widać jego powołaniem. Odkryłem nagle w płaszczącej się postaci metysa coś w rodzaju pewności siebie, jakby przez całe życie miał do czynienia z rzeczami ustalonymi. Myślał widać że rozpatruję spokojnie jego propozycję, bo stał się słodki jak miód.

— „Každy z panów ofiarowuje jakąś prowizję,

kiedy nadejdzie czas jego wyjazdu“ — zaczął znów chytrze. Trzasnąłem furtką.

— „W danym wypadku — rzekłem — nigdy ten czas nie nadejdzie“. — Upłynęło parę sekund, nim to zrozumiał.

— „Co takiego?“ — dosłownie kwiknął.

— „Jako — ciągnąłem po drugiej stronie furtki — czyż panu tego sam nie powiedział? On nigdy do kraju nie wróci“.

— „Tego to już zawiele! — krzyknął Cornelius. Przestał nazywać mię „czcigodnym panem“. Stał jakiś czas nieruchomo, a potem — już bez śladu pokory — zaczął mówić bardzo cicho: — Nigdy nie wyjedzie! Ten — ten — ten — zjawia się tutaj, lichu wie skąd — zjawia się tu — lichu wie poco — żeby podeptać mnie na śmierć — och — podeptać — (zatupał cicho obiema nogami) — o tak mnie podeptać — Bóg wie dlaczego — na śmierć... — Zabrakło mu głosu. Zakaszła zlekka, poczem zbliżył się do ogrodzenia i oświadczył, przybrawszy ton poufny i żałosliwy, że nie pozwoli aby po nim deptano. — Cierpliwości, cierpliwości — mruknął do siebie, uderzając się w piersi. Przestałem się już z niego śmiać, gdy uczęstował mię niespodzianie głośnym wybuchem obłąkanego śmiechu. — Ha, ha, ha! Zobaczymy! Zobaczymy! Jako! Mam pozwolić żeby ten człowiek mnie okradł? Żeby mi ukradł wszystko! wszystko! wszystko! — Głowa opadła mu na ramię; splecione jego ręce zwisały. Można było pomyśleć, że ukochał tę dziewczynę niezmierną miłością, że dusza jego jest starta na proch a serce złamane przez najokrutniejszą z krzywd. Nagle podniósł głowę i rzucił ohydne słowo. — Jak matka — ona

jest zupełnie jak ta oszustka, jej matka. Zupełnie. I z twarzy także. I z twarzy. Djablica!“

— Oparł się czołem o płot i stojąc tak, wyrzucał z siebie groźby i ohydne portugalskie przekleństwa wśród słabych wykrzyków, przeplatanych żałosnymi skargami i jękami; ramiona wstrząsały mu się spazmatycznie, jak przy okropnym ataku nudności. Był to widok nieopisanie ohydny i groteskowy, to też odszedłem śpiesznie. Usiłował coś za mną krzyknąć. Pewnie jakieś obelgi na Jima — lecz niezbyt głośno, bo znajdowaliśmy się już blisko domu. Usłyszałem wyraźnie tylko słowa: „Zupełnie jak dziecko... jak małe dziecko“.

R o z d z i a ł X X X V

— Lecz następnego ranka, gdy pierwszy zakręt rzeki zasłonił domy Patusanu, wszystko to znikło mi z przed oczu — barwność, charakter, istota tej krainy — niby obraz stworzony na płótnie przez wyobraźnię, obraz od którego się odwracamy, przyjrzawszy mu się długo po raz ostatni. Pozostaje w pamięci zakrzepły w bezruchu, niezatarty, zalany niezmiennem światłem. Wszystkie ambicje nurtujące ten zakątek, obawy, nienawiści, nadzieje zapadły mi w duszę tak jak je widziałem — silne i jakby zatrzymane nazawsze w swoim ówczesnym wyrazie. Odwróciłem się od obrazu aby jechać z powrotem do świata, gdzie toczą się wypadki, ludzie się zmieniają, światło migoce, życie płynie jasnym strumieniem — mniejsza z tem czy po kamieniach czy też po błocie. Nie zamierzałem zapuszczać się na dno; dość już z tem miałem roboty, aby głowę nad powierzchnią utrzymać.

Co się zaś tyczy obrazu, który zostawiłem za sobą, żadnej w nim zmiany wystawić sobie nie umiem. Olbrzymi, wielkoduszny Doramin i drobna jego żona — podobna do pocziwej czarownicy — spoglądający na kraj zwysoka, pogrążeni w tajnych, ambitnych rodzicielskich marzeniach; Tunku Allang, zawiedły i wielce stroskany; Dain Waris, pełen wiary w Jima, inteligentny, mężny, o stanowczym wzroku i obejściu iro-

niczmem a życzliwym; dziewczyna pogrążona w ubóstwie pełnem lęków i podejrzeń; Tamb' Itam, opryskliwy i wierny; Cornelius, wspierający czoło o płot w świetle księżycy — widzę ich wyraźnie. Istnieją dla mnie jak wywołani uderzeniem magicznej pałeczki. Lecz postać, naokoło której się gromadzą — ta jedna żyje, i tylko ona jest dla mnie nieuchwytna. Żadna pałeczka magiczna nie może jej unieruchomić przed moim wzrokiem. Ta postać jest jednym z nas.

— Jim, jak wam już mówiłem, towarzyszył mi podczas pierwszego etapu powrotnej podróży do świata, którego się wyrzekł. Zdawało się niekiedy, że nasza droga prowadzi przez samo jądro nietkniętej dziczy. Puste przestrzenie rzeki iskrzyły się pod wysokiem słońcem; między wyniosłemi murami roślinności upał drzemał na wodzie, a łódź, pędzona dzielnie wiosłami, torowała sobie drogę w gorącym, gęstem powietrzu, które osiadło pod konarami wielkich drzew.

— Cień bliskiej rozłuki kładł się już między nami niezmierną przestrzenią; mówiliśmy do siebie z wysiłkiem, jakbyśmy się starali sięgnąć cichemi głosami przez wielką i wciąż wzrastającą odległość. Łódź dosłownie pędziła; siedząc ramię w ramię, dusiliśmy się w nieruchomem, rozprazonem powietrzu; woń szlamu i moczarów, pierwotna woń rodzajnej ziemi, zdawała się parzyć nam twarze; aż nagle, na jakimś zakręcie, rzekłbyś wielka dłoń hen daleko podniosła ciężką kotarę, rozwarła olbrzymie podwoje. Nawet światło jak-gdyby drgnęło, niebo rozszerzyło się nad głowami, odległy szmer dosięgnął uszu, świeżość nas ogarnęła, napełniła płuca, pobudziła myśli, krew, żale — i wreszcie lasy się zapadły przed nami, odsłaniając ciemnobłękitny grzbiet morza.

— Wciągnąłem oddech głęboko, rozkoszując się rozległym, otwartym widnokregiem, zupełnie odmiennem powietrzem, które jakby drgało od znoju życia, od energii nieskalanego świata. To niebo i to morze stały przede mną otworem. Dziewczyna miała słusność — był w nich jakiś znak, jakiś zew — coś, co targnęło każdym włóknem mojej istoty. Błądziłem oczami po widnokregu jak oswobodzony z więzów człowiek, który przeciąga zeszywniałe członki, i biegnie, i skacze, upojony czarem wolności.

— „To jest wspaniałe!” — wykrzyknąłem i spojrzałem na grzesznika u mego boku. Siedział z głową opuszczoną na piersi. „Tak” — odrzekł, nie podnosząc oczu, jakby się bał zobaczyć wyrzuty swego romantycznego sumienia, wypisane szeroko na rozległym niebie.

— Pamiętam najdrobniejsze szczegóły tego popołudnia. Przybiliśmy do skrawka białego brzegu, który wspierał się o niską skałę, zadrzewioną u szczytu, obwieszoną pnąciami roślinami do samej podstawy. Przed nami słała się równia morza o pogodnym i głębokim błękicie, wznosząc się leciutko ku widnokregowi, który wyglądał jak nić przeciągnięta na wysokości oczu. Wielkie fale blasku wzdymały się lekko na pomarszczonej, ciemnej powierzchni — chyże jak pióra unoszone powiewem. Łańcuch wysp o masywnych sylwetkach ciągnął się nawprost rozległego ujścia na tafli bladej, szklistej wody, odbijającej wiernie zarys wybrzeża. Wysoko w bezbarwnym blasku słońca krążył samotny ptak, cały czarny; opadał i wznosił się wciąż nad tem samem miejscem, kołysząc się na prawie nieruchomych skrzydłach. Czarna grupa lichych, obszarpanych szalaśców z mat sterczała — nad swem

własnem odwróconem odbiciem — na mnóstwie koślawych pali hebanowego koloru. Z pomiędzy nich wysunęło się drobne, ciemne czółenko z dwoma niewielkimi, czarnymi ludźmi, którzy mozolili się niezmiernie, uderzając wiosłami w bladą wodę; czółenko zdawało się sunąć z trudem po zwierciadle. Ta grupka nędznych chat była właśnie rybacką wsią, chełpiącą się szczególną opieką białego władcy, a w czółnie płynął stary naczelnik wsi ze swym zięciem. Wysiedli na brzeg i szli ku nam po białym piasku, chudzi, ciemnobrunatni, jakby uwędzeni w dymie; skóra ich nagich ramion i piersi pokryta była popielatemi plamami. Głowy mieli obwinięte w brudne lecz starannie zawiązane chustki. Stary zaczął natychmiast wyłuszczać płynnie jakąś skargę, wyciągając chude ramie i wpatrując się ufnie w Jima starczemi, mętnemi oczami. Ludzie radzy nie dają im spokoju: było kilka awantur o zółwie jaja, które rybacy zebrali na tamtych, o wysepkach; tu naczelnik, oparłszy wyprostowane ramie na wiosła, wyciągnął brunatną, kościstą rękę ku morzu. Jim słuchał jakiś czas, nie podnosząc oczu i wreszcie łagodnie polecił mu czekać. Za chwilę go wysłucha. Rybacy odeszli posłusznie i przysiedli niedaleko na piętach, złożywszy przed sobą wiosła na piasku; ich oczy o srebrzystych błyskach śledziły cierpliwie nasze ruchy; zaś ogrom rozpostartego morza i cisza wybrzeża, ciągnącego się jak okiem sięgnąć na północ i południe, tworzyły jedną olbrzymią Obecność, śledzącą nas — czterech karłów — osamotnionych na skrawku połyskliwego piasku.

— „W tem cała trudność — rzekł Jim pochmurnie — że już od pokoleń nędzni rybacy z tej wsi są uważani za osobistych niewolników radzy — i tam-

temu staremu łotrowi nie chce się pomieścić w głowie, że...“ — Zamilkł.

— „Że pan zmienił to wszystko“ — rzekłem.

— „Tak. Zmieniłem to wszystko“ — mruknął posępnym głosem.

— „Więc znalazł pan swoją sposobność — ciągnąłem dalej.

— „Czy doprawdy? — rzekł. — No tak. Dajmy na to... Tak. Odzyskałem wiarę w samego siebie — dobre imię — a jednak chciałbym czasami... Nie! Będę się trzymał tego co zdobyłem. Nie mogę się nic więcej spodziewać. — Wyciągnął szybko ramię ku morzu: — A w każdym razie nie stamtąd. — Tupnął nogą w piasek. — Tu jest moja granica, bo czemś mniejszem już się nie zadowolnię“.

— Chodziliśmy w dalszym ciągu po brzegu.

— „Tak, zmieniłem to wszystko — ciągnął Jim, spojrzawszy z pod oka na dwóch przykucniętych rybaków, czekających cierpliwie; — ale niech pan tylko pomyśli, co by się stało gdybym stąd odszedł. Miły Boże, czy pan może to sobie wystawić? Piekłoby się tu rozpętało. Nie ruszę się stąd! A jutro odwiedzę tego starego durnia, Tunku Allanga, zaryzykuję wypicie jego kawy i będę się awanturował o te psiakrew złotych jaja. Nie! Nie mogę sobie powiedzieć — dość tego. Nigdy. Muszę pchać to bez wytchnienia coraz dalej i dalej, dążąc do swego celu, aby być pewnym, że nic mnie dotknąć nie może. Muszę mieć naokoło siebie ludzi, co we mnie wierzą, aby się czuć bezpiecznym, aby... — Szukał jakiegoś słowa, zdawał się go wypatrywać na morzu: — ...aby nie utracić łączności z... — Głos jego zniżył się nagle do szeptu —

...z tymi, których może nigdy już nie zobaczę. Na przykład... naprzykład — z panem“.

— Jego słowa upokorzyły mię głęboko. „Na miłość boską — rzekłem — nie przeceniaj mnie, mój drogi chłopcze, myśl o tem, czego sam dokonałeś“. Czulem wdzięczność, czulem przywiązanie do tego marudera, którego oczy wypatrzyły mnie wśród szarego tłumu. Jakże niewiele miałem podstaw do chełpienia się w gruncie rzeczy! Odwróciłem twarz, która mię paliła; pod niskiem słońcem, rozżarzonem, ściemniałem i purpurowem jak węgiel wyjęty z ogniska, rozpościerało się morze, gotując się wśród niezmiernej ciszy na przyjęcie ognistego globu. Dwa razy Jim chciał coś powiedzieć, lecz się zatrzymywał; wreszcie rzekł spokojnie, jakby wynalazszy jakąś formułę:

— „Będę wierny. Będę wierny — powtórzył; nie patrzył na mnie, lecz dozwolił swym oczom po raz pierwszy błędzić po wodach, których błękit przemienił się w posępny fiolet pod ogniami zachodu. Ach! jakież ten Jim był romantyczny, jaki romantyczny! Przypomniałem sobie słowa Steina: „...Zanurzyć się w niszczącym żywiole... Iść za marzeniem, i znowu iść za marzeniem — i tak — zawsze — *usque ad finem*...“ Tak, Jim był romantyczny, ale i szczery zarazem. Któż mógł wiedzieć jakie kształty, jakie wizje, jakie twarze, czyje przebaczenie oglądał w zorzy zachodu!...

— Mała łódka opuściła szkuner i wśród miarowego rytmu dwóch wiosel płynęła wolno ku piaszczystemu brzegowi aby mię zabrać.

— „I przecież mam Klejnot — wyrzekł Jim pośród wielkiej ciszy ziemi, nieba i morza, ciszy, która

przeniknęła nawet do moich myśli, tak że drgnąłem na dźwięk jego głosu. — Mam Klejnot“.

— „Tak“ — szepnąłem.

— „Nie potrzebuję panu mówić, czem ona jest dla mnie — ciągnął dalej. — Pan widział sam. Z czasem ona zrozumie...“

— „Mam nadzieję“ — przerwałem.

— „Ona także mi wierzy — szepnął w zamyśleniu, a potem dodał zupełnie innym tonem: — Kiedy ja też pana zobaczę?“

— „Nigdy — chyba że się pan stąd wydostanie“ — odrzekłem, unikając jego spojrzenia. Nie wydał się tem zaskoczony; przez chwilę stał bardzo spokojnie.

— „Więc żegnam pana — rzekł po krótkiej chwili milczenia. — Może tak i lepiej“.

— Uścisnęliśmy sobie ręce. Poszedłem ku łódce, która czekała, oparłszy dziób o wybrzeże. Szkunier, z przywiązany żaglem głównym i kliwrem wyciągniętym na stronę nawietrzną, tańczył po fioletowym morzu; żagle zabarwiły się na różowo.

— „Czy pan prędko wraca do kraju?“ — zapytał Jim w chwili, gdy przestępowałem przez burtę.

— „Mniej więcej za rok — jeśli będę żył“ — odrzekłem. Zagięcie dziobu zgrzytnęło o piasek, łódka znalazła się na wodzie, mokre wiosła błysnęły i zagłębiły się po raz pierwszy, drugi. Jim, stojący na skraju wody, podniósł głos:

— „Niech pan im powie...“ — zaczął.

— Dałem znak ludziom, aby przestali wiosłować i czekałem z zaciekawieniem. Powiedzieć — komu? Słoneczna tarcza, zanurzona do połowy, tkwiła w wodzie nawprost Jima; widziałem czerwony blask w jego oczach, gdy patrzył na mnie bez słowa.

— „Nie — już nic“ — wyrzekł i odprawił łódź lekkim ruchem ręki. Nie oglądałem się więcej na wybrzeże, pókim się nie znalazł na pokładzie szkunera.

— Słońce było już wówczas zaszło. Zmierzch wisiał nad wschodem, poczerniałe wybrzeże ciągnęło się w nieskończoność jak ciemny mur, który zdawał się być twierdzą nocy; zachodni widnokrąg był jednym wielkim ogniskiem złota i szkarłatu, a na jego tle unosiła się duża, samotna chmura — ciemna i nieruchoma — rzucając sinopopielaty cień na wodę. Na wybrzeżu zobaczyłem Jima, patrzącego wślad za szkunerem, który ruszył z miejsca i sunął naprzód coraz prędzej.

— Dwaj półnaczy rybacy dźwignęli się z ziemi w chwili gdy odbiłem od brzegu; zapewne wylewali teraz skargi w uszy białego tuana, opowiadając o swem błahem, nędznem, uciśnionem życiu, a on słuchał i przejmował się ich sprawami do głębi — bo czyż to nie było częścią jego szczęścia — „szczęścia co się nazywa“ — szczęścia, którego był godzien, jak mię o tem zapewniał? Tamtym ludziom — o ile mogę sądzić — szczęście również sprzyjało, i byłem pewien że ich wytrwałość na szczęście to zasługuje. Ciemnoskóre ciała Malajów rozplynęły się na ciemnym tle dobrą chwilę przedtem, zanim straciłem z oczu ich opiekuna. Jim był biały od stóp do głów; widziałem go długo z twierdzą nocy za plecami, morzem u stóp i szczęśliwą sposobnością u boku... wciąż zakwefioną. A jakie jest wasze zdanie? Czy sądzicie, że zasłona jeszcze ją kryła? Ja nie wiem. Miałem wrażenie, iż biała postać Jima wśród spokoju wybrzeża i morza tkwi w samym środku nierozwiązalnej zagadki. Zmierzch

spływał szybko z nieba nad jego głową, skrawek piasku rozplynał mu się już pod stopami, a on sam wydawał się nie większy od dziecka — aż stał się plamką, drobną białą plamką, która jakgdyby wchłaniała wszystkie blaski pociemniałego świata... I nagle straciłem go z oczu...

R o z d z i a ł X X X V I

Temi słowy zakończył Marłow opowiadanie i patrzył przed siebie zamyślonym, oderwanym wzrokiem, a jego słuchacze rozproszyli się natychmiast. Opuszczali werandę bez zwłoki parami lub pojedynczo, nie wypowiadając żadnych uwag, jakby ostatni obraz tej niedokończonej historii, jakby właśnie jej niezupełność i nawet sam ton opowiadającego uczyniły dyskusję daremną a komentarze niemożliwymi. Każdy zdawał się unosić swe własne wrażenie, unosić je niby tajemnicę; ale tylko jeden ze wszystkich słuchaczy miał wysłuchać ostatniego słowa opowieści. Dotarło do niego w Anglii — przeszło dwa lata później — w grubej paczce, zaadresowanej pionowem i kanciastem piśmem Marlowa.

Uprzywilejowany ten człowiek otworzył paczkę, zajrzał do niej i, położywszy ją na stole, podszedł do okna. Mieszkał na najwyższym piętrze wyniosłego gmachu, skąd wzrok mógł sięgać daleko — jakby z morskiej latarni — za przejrzyste tafle szkła. Pochyłe dachy błyszczały, ciemne, łamane ich grzbiety ciągnęły się jak okiem sięgnąć jeden za drugim, niby mroczne fale bez spienionych czubów, a z dołu, z głębi miasta, wznosił się pomruk mętny i nieustanny. Liczne wieże kościołów, rozsiane na chybił trafił, sterczały jak znaki ostrzegawcze wśród labiryntu mielizn bez wyjścia; deszcz zacinał i zlewał się z wczesnym zmierz-

chem zimowego wieczoru, a bicie wielkiego zegara na wieży, wydzwanające godzinę, potoczyło się szeroko wśród surowych wybuchów dźwięku, wibrujących w głębi przenikliwą nutą. Uprzywilejowany człowiek zasnął ciężkie portjery.

Światło lampy okrytej abazurem spało na biurku jak zaciszna sadzawka, dywan pochłaniał dźwięk kroków, dni wędrówek owego człowieka już przeminęły. Nie ujrzy widnokręgów bezkresnych jak nadzieja, ani półmroku lasów uroczystrych niby świątynie — w żarliwym poszukiwaniu Kraju nigdy nie odkrytego — tam za wzgórzem, z drugiej strony rzeki, za morzami. Oto bije godzina! Nigdy już! Nigdy! — Lecz otwarta paczka pod lampą wywołała znów dźwięki, wizje, a nawet sam zapach przeszłości — mnóstwo zatartych twarzy, gwar cichych głosów, zamierających na brzegach odległych mórz, pod namiętym blaskiem słońca nie przynoszącym ukojenia. Westchnął i zasiadł do czytania.

Zawartość paczki składała się z trzech części; było tam wiele kartek, gęsto zapisanych i spiętych razem, a pozatem — luźny, kwadratowy arkusik szarawego papieru z kilku słowami nakreślonymi nieznanem pismem i wyjaśniający list od Marlowa. Z tego listu wypadł drugi, pożółkły od starości i poprzecierany na kantach. Dawny marynarz wziął go i odłożył na bok, poczem zabrał się do listu Marlowa; przebiegł szybko wzrokiem pierwsze linje, zatrzymał się i od tej chwili czytał już z rozwagą, jak człowiek, który się zbliża powoli, z wytężonym czujnie wzrokiem, do nieodkrytego jeszcze kraju.

„...Sądzę, że Pan nie zapomniał o Jimie — brzmiał list. — Pan jeden zainteresował się nim prawdziwie, a to zainteresowanie nie skończyło się z wysłuchaną

opowieścią, choć pamiętam dobrze, że Pan nie chciał przyznać, aby Jim swój los opanował. Przepowiadał mu Pan klęskę znużenia i wstrętu do zdobytych szczytów, do zadania, które sam sobie narzucił, do miłości wywołanej przez młodość i współczucie. Mówił Pan, że zna Pan dobrze „ten rodzaj historii“, jej złudne zadowolenie, jej zawód nieunikniony. Powiedział Pan także — przypominam to sobie — iż „oddać im życie (wyraz „im“ odnosił się do wszystkich ludzi o skórze brunatnej, żółtej lub czarnej) znaczy to samo, co się zaprzedać bydłociu“. Spierał się Pan ze mną, twierdząc, iż „rzecz tego rodzaju“ tylko wtedy jest znośna i trwała, gdy się opiera na głębokim przeświadczeniu o słuszności idej właściwych naszej rasie, idej, w imię których powstał ład i etyka moralnego postępu. „Potrzebujemy czuć za plecami siłę tej etyki“, powiedział Pan. „Potrzebujemy wiary w jej konieczność i sprawiedliwość, aby uczynić z naszego życia cenną i świadomą ofiarę. Bez takiej pewności ofiara jest tylko zatrąta siebie samego, a wypełnienie jej prowadzi do ostatecznej zguby“. Innymi słowami, utrzymywał Pan, że musimy walczyć w szeregach, gdyż inaczej życie nasze przepada marnie. Możliwe! Pan musi to wiedzieć — mówię bez złośliwości — Pan, który rzucał się tu i tam samopas i umiał się zręcznie wywinąć z opałów, nie osmalając sobie skrzydeł. Ale rzecz w tem, że właściwie Jim musiał się rozprawić nie z ludźmi tylko z samym sobą, i to jest jeszcze pytanie, czy wkońcu nie przyjął wiary potężniejszej niż prawa ładu i postępu.

„Ja nie twierdzę nic. Może Pan to rozstrzygnie — po przeczytaniu. W gruncie rzeczy trafem jest znane powiedzenie: „widzieć jak przez mgłę“. Niepodobna

dojrzyć Jima wyraźnie — szczególnie jeśli patrzymy na niego po raz ostatni cudzemi oczami. Nie waham się podzielić z Panem wszystkim, co wiem o ostatnich wydarzeniach, które — jak Jim mówił — „spadły na niego“. Pytam się siebie, czy to nie była może ta wymarzona sposobność — ostateczna i zadawalniająca próba — na którą — jak zawsze podejrzewałem — czekał, aby móc się odezwać do świata bez skazy. Pamięta Pan, kiedyś zegnał się z nim po raz ostatni, zapytał, czy się prędko wybiorę do kraju i nagle zawołał za mną: „Niech pan im powie...“ Czekałem — z ciekawością, wyznaję, i nadzieją — tylko po to, aby usłyszeć jak krzyknął: „Nie! Już nic“. To jest wszystko — i nic więcej nie usłyszę już nigdy; Jim nie przesłał żadnego zlecenia — chyba takie, jakie każdy z nas może wysnuć z wymowy faktów, które są częstokroć bardziej zagadkowe niż najchytrzejszy układ słów. Wprawdzie Jim zrobił jeszcze jeden wysiłek aby się wypowiedzieć — ale i ten zawiódł go także; przekonał się Pan o tem, spojrzawszy na szarawy arkusz kancelaryjnego papieru, który załączam. Jim usiłował napisać list; niech Pan zauważy, jaki miał banalny charakter pisma. Nagłówek brzmi: „Fort, Patusan“. Widać doprowadził do skutku swój zamiar: chciał ufortyfikować swój dom, w którym mieszkał. Plan fortecy był doskonały: głęboki rów, wał ziemny z palisadą na szczycie, a w rogach armaty ustawione na platformach, żeby objąć ostrzałem każdą ze stron czworoboku. Doramin zgodził się dostarczyć armat Jimowi; liczył na to, że każdy człowiek z bugiskiego plemienia będzie wiedział, iż jest bezpieczne miejsce, dokąd wszyscy wierni stronnicy mogą się schronić w razie nagłego niebezpieczeństwa. Wszystko to wskazywało

na przewidującą mądrość Jima, na jego wiarę w przyszłość. Z krajowców, których nazywał „swymi ludźmi“ — wyzwolonych niewolników Szeryfa — zamierzał utworzyć osobną dzielnicę w Patusanie, osadzając ich w chatkach na drobnych działkach ziemi pod ścianami fortecy. Wewnątrz fortu Jim miał stanowić sam przez się zastęp niezwyciężony. „Fort, Patusan“. Bez daty, jak Pan widzi. Czemże jest liczba i nazwa wobec dnia nad dniami? Niepodobna także powiedzieć, kogo Jim miał na myśli, gdy chwycił za pióro: Steina — mnie — cały szeroki świat; a może te słowa były tylko bezcelowym okrzykiem strachu wydanym przez samotnego człowieka, któremu przeznaczenie zastąpiło drogę. „Stała się rzecz straszna“, pisał, zanim rzucił pióro po raz pierwszy; niech Pan spojrzy na kleks pod temi słowami, podobny do ostrza strzały. Po chwili usiłował znów pisać i nagryzł mozołnie drugi wiersz, jakby miał rękę z ołowiu: „Muszę natychmiast...“ Pióro prysnęło i tym razem Jim dał już pokój. Wszystko było skończone; ujrzał szeroką przepaść, poza którą ani oczy ani głos sięgnąć nie mogły. Rozumiem to. Przytłoczyło go niepojęte; przytłoczyła go własna indywidualność — dar tego losu, którym ze wszystkich sił starał się zawładnąć“.

„Posyłam Panu także stary list — bardzo stary. Leżał złożony starannie w tece Jima. To list pisany przez jego ojca; spojrzawszy na datę, może się Pan przekonać, że Jim musiał go odebrać parę dni przed objęciem swych obowiązków na *Patnie*. Zapewne ostatni to list, który z domu otrzymał. Przechowywał go troskliwie w ciągu tych wszystkich lat. Zaczynał stary proboszcz miał słabość do swego syna marynarza. Przejrzałem ten list, czytając gdzieniegdzie jakieś zdanie.

Niema w nim nic prócz miłości. Proboszcz pisze swemu „drogiemu Jakóbowi“, że ostatni długi jego list był bardzo „szczyry i zajmujący“. Proboszcz nie chciałby, aby Jim „sądził ludzi zbyt pośpiesznie lub zbyt ostro“. Są tam całe cztery strony tego banalnego moralizowania i nowin rodzinnych. Tom „przyjął święcenia“. Mąż Carrie „poniósł straty pieniężne“. Staruszek ciągnie wciąż tym samym tonem, ufając Opatrzności i ustalonemu porządkowi wszechświata, choć jest świadom małych jego niebezpieczeństw i małych łask. Widzę niemal starego proboszcza, jak siedzi, siwowłosej i pełen pogody, w swym nieprzystępnym schronieniu — wygodnym, spłowiałym gabinecie o ścianach wyłożonych książkami, gdzie przez czterdzieści lat przeżuwał sumiennie wciąż te same przeciętne myśli o wierze i cnocie, o kierowaniu życiem i o jedynym sposobie, w jaki się powinno umierać; gdzie napisał tyle kazań i gdzie rozmawia teraz ze swym chłopcem, który jest hen, daleko, po drugiej stronie ziemi. Ale cóż znaczy odległość? Cnota jest jedna na całym świecie i jedna jest tylko wiara, jeden należyty sposób kierowania życiem i umierania. Proboszcz wyraża nadzieję, iż jego „drogi Jakób“ nie zapomni nigdy, że „kto raz ulegnie pokusie, wystawia się temsamem na możliwość ostatecznego znieprawienia i wiecznego upadku. To też postanów sobie raz na zawsze, że nigdy — dla jakiegokolwiek przyczyny — nie popełnisz nic, czegobyś nie uważał za słuszne“. Dalej idą wiadomości o ulubionym psie i kucyku, „na którym wszyscyście jeździli“; oślepl ze starości i trzeba go było zastrzelić. Staruszek zanosi modły do nieba, aby zesłało na syna błogosławieństwo; matka i wszystkie siostry obecne w domu ślą moc serdeczności... Tak, niema nic nad-

zwyczajnego w tym poźółkłym liście o przetartych brzegach, który po tylu latach wysunął się z kochającej dłoni Jima. Odpowiedź nie została nigdy wysłana, ale któż powie, jakie nieme rozmowy Jim prowadził ze spokojnemi, bezbarwnemi postaciami, które zaludniają ów cichy zakątek, wolny od niebezpieczeństw i walki jak grób, oddychający miarowo powietrzem niezamąconej prawości? Wydaje się zdumiewajacem, że i Jim wyszedł z tego zakątka, Jim, na którego „spadło“ tyle rzeczy. Nic na nich nigdy nie „spadło“; nigdy ich nic nie zaskoczyło i nie wezwano ich nigdy do zmierzenia się z losem. Oto są tutaj, wywołani przez miłą gawędę ojca, wszyscy ci bracia i siostry, krew z jego krwi i kość z jego kości; spoglądają wzrokiem jasnym i nieświadomym, a i Jima widzę między nimi; wrócił nareszcie i już nie wygląda jak malutka biała plamka w samym środku niepojętej tajemnicy; widzę go w naturalnych wymiarach, jak stoi niepostrzeżony wśród spokojnych postaci rodzeństwa, poważny i romantyczny, lecz zawsze niemy, zagadkowy — za mgłą.

„Historję ostatnich wypadków znajdzie Pan w niewielu załączonych tu kartkach. Przyzna Pan chyba, że jest bardziej romantyczna od najszańszych marzeń chłopięcych Jima, a jednak widzę w niej pewnego rodzaju głęboką i przerażającą logikę, jakby jedynie nasza własna wyobraźnia mogła rozpętać i zwrócić przeciw nam potęgę miażdżącego losu. Nierozwaga naszych myśli spada na nasze własne głowy; kto mieczem wjuje, od miecza ginie. Ta niesłychana przygoda, w której najdziwniejszą rzeczą jest jej autentyczność, przychodzi jak nieunikniony skutek. Coś podobnego stać się musiało. Człowiek powtarza to sobie, zdumiewając się jednocześnie, że taki fakt mógł się zdarzyć w na-

szych czasach, mniej więcej przed rokiem. Ale zdarzył się — i nie można podawać jego logiki w wątpliwość.

„Opisuję Panu to wszystko, jakgdybym był naocznym świadkiem. Moje wiadomości są niekompletne, lecz zestawilem wszystkie urywki, a jest ich dość dużo aby utworzyć obraz zrozumiały. Pytam się siebie, jakby Jim sam to opowiedział? Ufał mi tak bardzo, iż wyobrażam sobie, że lada chwila wejdzie do pokoju i sam mi wszystko opowie głosem niedbałym a jednak pełnym uczucia, z obojętną miną, trochę zaskoczony, trochę zakłopotany, trochę dotknięty — rzucając czasem światło jednym słowem lub zdaniem na swą wewnętrzną istotę — światło zbyt niepewne aby można było się zorientować. Trudno mi uwierzyć, że się już nigdy nie zjawi. Nie usłyszę jego głosu, nie zobaczę jego gładkiej twarzy, różowej i opalonej, o czole odcinającym się białością i młodzieńczych oczach, pociemniałych ze wzruszenia aż do mrocznego, przepastnego błękitu“.

R o z d z i a ł XXXVII

„Zaczyna się to wszystko od niezwykłego czynu pewnego człowieka nazwiskiem Brown, któremu udało się ukraść hiszpański szkuner z niewielkiej zatoki w pobliżu Zamboanga. Moje wiadomości o tej historii były niezupełne, póki najniespodziewaniej w świecie nie natknąłem się na owego człowieka, kilka godzin przedtem nim wyzionął swego zuchwałego ducha. Na szczęście mógł ze mną rozmawiać i czynił to chętnie wśród duszących ataków astmy; jego udręczone ciało wiło się ze złośliwej radości na samą myśl o Jimie. Rozkoszował się tem, że „odpłacił się jednak nadętemu pyszałkowi“. Nie mógł się owem wspomnieniem nasycić. Aby się o wszystkim dowiedzieć, musiałem znieść dzikie spojrzenia jego zapadłych oczu, otoczonych kurzem łąpkami zmarszczek — i zniósłem je, rozmyślając, jak blisko niektóre postacie zła są spokrewnione z obłąkaniem, jak często wypływają z wielkiego egoizmu i — rozognione przez opór, rozszarpują duszę na strzępy, użyczając ciału sztucznej siły. Ta historia ujawnia również nieprzewidziane głębie chytrości w nędznym Corneliusie; jego ohydna i potężna nieważność działała jak przebiegłe natchnienie, wskazując mu niezawodną drogę do zemsty.

„— Ledwie rzuciłem na niego wzrokiem, wiedziałem odrazu jakiego rodzaju to dureń — mówił dogorywający Brown, dysząc ciężko. — To miał być

mężczyzna? Na piekło! To był nadęty błazen. Czy nie mógł mi powiedzieć poprostu: „Precz z łapami od mego łupu!“ Toby było po męsku. Przekłety hycel! Do licha z tą jego wyższą duszą! Trzymał mnie w rękę, ale za mało w nim było z szatana, żeby koniec ze mną zrobić — gdzieżby zaś! Taki niedojda jak on wypuścił mię z rąk, jakbym nie był wart nawet kopnięcia! — Brown zaczął dyszeć, chwytając rozpaczliwie oddech. — Oszukaniec... wypuścił mię... Więc też ja z nim koniec zrobiłem... — Znowu chwyciła go duszność. — Ta choroba mię pewno zabije, ale umrę teraz spokojnie. Panie... słyszy pan? nie wiem nawet jak się pan nazywa, ale dałbym panu banknot pięciofuntowy — gdybym go miał — za tę nowinę, jakem Brown... — wykrzywił się w ohydny uśmiech — Gentleman Brown.

„Mówiąc to wszystko, chwycił głęboko oddech i wlepił we mnie żółte oczy, tkwiące w długiej, zniszczonej, brunatnej twarzy; targnął lewem ramieniem; szpakowata, poplątana broda zwisała mu prawie do pasa; brudna, podarta kołdra okrywała jego nogi. Wyznałem Browna w Bangkoku przy pomocy tego wścibskiego hotelarza Schomberga, który wskazał mi poufnie gdzie szukać. Okazało się, że pewien biały włóczęga — wałkoń zamroczony od pijaństwa, żyjący wśród krajowców ze sjamską kobietą — uznał za wielki zaszczyt ofiarowanie przytułku słynnemu Gentlemanowi Brownowi na ostatek jego dni. Podczas gdy Brown mówił do mnie w tej nędznej dziurze i rzekłbyś walczył ze śmiercią o każdą minutę, w ciemnym kącie siedziała sjamska kobieta o wielkich, gołych nogach i głupiej, prostaczej twarzy, żując tępo betel. Od czasu do czasu podnosiła się, aby odpędzić kurczę ode drzwi. Cała

chata trzęsła się od jej kroków. Brzydkie, nagie dziecko o złotej skórze i wydętym brzuszku, niby mały bóg pogański, stało w nogach posłania z palcem w ustach, zatopione w głębokiej i spokojnej kontemplacji umierającego.

„Brown mówił gorączkowo; lecz niekiedy — często w środku wyrazu — niewidzialna ręka brała go za gardło; spoglądał wówczas na mnie niemo z wyrazem zwątpienia i udreki. Obawiał się widocznie, że się zmęczone czekaniem i odejdę, a on nie zdąży dokończyć swojej historii, wyrazić mi swej radości. Zdaje się że umarł w ciągu nocy, ale wówczas nie miałem już nic do wysłuchania.

„Tyle narazie o Brownie.

„Mniej więcej osiem miesięcy przedtem znalazłem się w Samarangu i poszedłem jak zwykle odwiedzić Steina. Na werandzie od strony ogrodu jakiś Malaj powitał mię nieśmiało; przypomniałem sobie, że go widział w Patusanie, w domu Jima, wśród innych Bugisów, którzy przychodzili wieczorem, aby gawędzić bez końca o wojennych wspomnieniach i roztrząsać sprawy państwowe. Jim pokazał mi go kiedyś, nadmieniając, że to jest drobny kupiec, właściciel małego statku morskiego; swego czasu okazał się „jednym z najdzielniejszych przy zdobywaniu ostrokołu“. Widok tego krajowca niebardzo mię zdziwił, ponieważ każdy kupiec patusański, który się zapuszczał tak daleko, aż do Samarangu, trafiał oczywiście do domu Steina. Odwzajemniłem powitanie Bugisa i szedłem dalej. U drzwi prowadzących do gabinetu natknąłem się na innego Malaja, w którym poznałem Tamb' Itama.

„Zapytałem go odrazu, co tu robi; przyszło mi do głowy, że może Jim przyjechał do Steina w odwie-

dziny. Wyznaję, iż ta myśl uradowała mię i ożywiła. Tamb' Itam wyglądał, jakby zapomniał języka w gębie.

„— Czy tuan Jim jest także tutaj? — spytałem niecierpliwie.

„— Nie — mruknął Tamb' Itam i zwiesił głowę, a potem rzekł nagle z naciskiem: „Nie chciał walczyć. Nie chciał walczyć“, powtórzył. Zdawało się, że nic innego wydobyć z siebie nie może; odsunąłem go na bok i wszedłem.

„Stein, wysoki i pochylony, stał samotnie w środku pokoju między rzędami skrzynek pełnych motyli.

„— Ach! to pan, kochany przyjacielu! — rzekł smutno, patrząc na mnie przez okulary. Był ubrany w luźny, brunatny kitel alpagowy, rozpięty i sięgający kolan. Na głowie miał panamę; blade jego policzki były poorane głębokimi brózdami.

„— Cóż to znaczy? — spytałem nerwowo. — Tamb' Itam jest tutaj...

„— Niech pan idzie się zobaczyć z dziewczyną. Niech pan idzie z nią się zobaczyć! Ona tu jest — rzekł Stein niby to energicznie. Usiłowałem go zatrzymać, lecz z łagodnym uporem nie zwracał żadnej uwagi na moje natarczywe pytania. — Ona tu jest, ona tu jest — powtarzał w wielkiem wzburzeniu. — Przyjechali przed dwoma dniami. Taki stary człowiek jak ja, a przytem cudzoziemiec, *sehen Sie*, niewiele może zrobić... O, tędy, proszę pana... Młode serca nie przebaczą... — Widziałem, że Stein jest w ostatecznej rozterce. — Taka w nich pełnia życia, taka okrutna pełnia życia... — mruczał, prowadząc mię naokoło domu; szedłem za nim, zatopiony w ponurych i gniewnych domysłach. U drzwi salonu zastąpił mi drogę. — On bardzo ją kochał — rzekł pytającym tonem, a ja

tylko skinąłem głową, przygnieciony tak gorzkim rozczarowaniem, że bałem się zaryzykować odpowiedź. — To straszne — szepnął. — Ona nie może mnie zrozumieć. Jestem dla niej tylko obcym starcem. Może pana zrozumie... przecież pana zna. Niech pan z nią pomówi. Nie możemy tak tego zostawić. Niech pan jej powie, żeby mu przebaczyła. To jest straszne.

„— Zapewne — rzekłem, rozdrażniony swoją nieświadomością — ale czy *pan* mu przebaczył? — Spojrzał na mnie dziwnie.

„— Dowie się pan o wszystkim — rzekł i otworzywszy drzwi, wepchnął mię dosłownie do środka.

„Pan zna wielki dom Steina i te dwa olbrzymie salony, niezamieszkane i zupełnie na mieszkanie nieodpowiednie — czyste, ziejące samotnością, pełne świecących sprzętów, które wyglądają jakby oko ludzkie nigdy na nich nie spoczęło. Chłodne są nawet w najgorętsze dnie, a wchodzi się tam jak do podziemnej groty. Minąłem jeden salon i zobaczyłem w drugim dziewczynę; siedziała u końca wielkiego mahoniowego stołu, opierając o jego brzeg głowę ukrytą w ramionach. Woskowana posadzka odbijała niewyraźnie jej postać, jak tafla zamarznętej wody. Zasłony z rattanu były spuszczone; przez dziwny, zielonawy mrok, padający od listowia drzew rosnących naokoło domu, ciągnęły od czasu do czasu powiewy silnego wiatru, kołysząc długimi portjerami u drzwi i okien. Biała postać dziewczyny wyglądała jak ulepiona ze śniegu; kryształowe wisiory wielkiego świecznika dzwięczały nad jej głową, niby iskrzące się sople lodu. Podniosła oczy i patrzyła na mnie, gdy się zbliżałem. Ogarnął mię chłód, jakby te obszerne salony były zimnym przybytkiem rozpaczy.

„Poznała mię odrazu i gdy się zatrzymałem, patrząc na nią, rzekła spokojnie:

„— Opuścił mię. Wy zawsze nas opuszczacie — dla waszych własnych celów. — Twarz jej była zakrzepła. Zdawało się, że wszystko żywotne ciepło jej ciała cofnęło się w jakieś niedostępne miejsce w głębi piersi. — Byłoby mi tak łatwo umrzeć z nim razem — ciągnęła i machnęła lekko ręką ze znużeniem, jakby przechodząc do porządku nad czemś niezrozumiałem. — Ale nie chciał! Był jak ślepy — a przecież to ja do niego mówiłam; to ja stałam przed jego oczami; to na mnie przez cały czas patrzył! Ach! jesteście bez serca, zdraclwi, nieszczerzy, bezlitośni. Czem się to dzieje, żeście tacy źli? A może jesteście wszyscy obłąkani?

„Ująłem jej rękę, która nie odpowiedziała na moje dotknięcie; kiedy ją puściłem, zwiła bezwładnie. Obojętność tej dziewczyny, okropniejsza od łez, krzyków i wymówek, wydawała się niedostępna dla czasu i ukojenia. Czuło się, iż żadne słowa nie dotrą do siedliska jej stęzającego, drętowego bólu.

„Stein powiedział mi: „Dowie się pan“. I rzeczywiście dowiedziałem się o wszystkim. Słuchałem — zdumiony i przejęty grozą — jej słów, wypowiadanych z kamiennem znużeniem. Nie mogła przeniknąć istotnej treści tego, co mi mówiła; jej żal do Jima przejął mię litością dla niej — a także i dla niego. Zamilkła wreszcie; stałem jak przykuty do miejsca. Oparta na łokciu, patrzyła przed siebie twardym wzrokiem, a wiatr przewiewał niekiedy, dźwięcząc kryształami w zielonawym mroku. Szeptwała cicho do siebie:

„— A przecież patrzył na mnie! Widział moją twarz, słyszał mój głos, czuł mój ból! Kiedy siadywałam

dawniej u jego nóg, opierając policzek o jego kolano i czując jego rękę na głowie, klątwa okrucieństwa i obłąkania już w nim była, czekając na swój dzień. Nadszedł ten dzień... Nim słońce się skryło, przestał mię widzieć — był ślepy, i głuchy, i bezlitosny — jak wy wszyscy. Nie będzie miał moich łez. Nigdy, nigdy. Ani jednej. Ja płakać nie chcę! Porzucił mię, jakbym była gorsza od śmierci. Uciekł, gnany przez jakieś przekłete widmo, które usłyszał czy zobaczył we śnie...

„Nieruchome oczy dziewczyny zdawały się wyteżać w pościgu za męską postacią, wydartą z jej ramion przez moc sennego widziadła. Nie odpowiedziała wcale na mój milczący ukłon. Odetchnąłem z ulgą, wychodząc.

„Raz jeszcze ją zobaczyłem tego samego popołudnia. Wyszedłszy od niej, udałem się na poszukiwanie Steina, którego nie było w willi; ścigany rozpaczliwymi myślami, zacząłem błądzić po ogrodach — po sławnych ogrodach Steina — gdzie można znaleźć każdą roślinę i każde drzewo podzwrotnikowych nizin. Szedłem jakiś czas z biegiem uregulowanego strumienia, poczem siedziałem długo na ocienionej ławce obok sztucznej sadzawki, gdzie trochę wodnego ptactwa o podciętych skrzydłach nurkowało i pluskało się hałaśliwie. Gałęzie kazuarynowych drzew rosnących za mną kołysały się lekko bez przerwy, przypominając mi szum jodeł w kraju.

„Ten żalobny, nieukojny dźwięk stanowił odpowiednie tło dla moich rozmyślań. Dziewczyna powiedziała, że senne widziadło wyrwało jej Jima — i żadnej na to nie było odpowiedzi; zdawało się, że niema przebaczenia dla takiej winy. A jednak czyż

sny o wielkości i potędze nie gnają całej ludzkości, pracę naoslep swą drogą po mrocznych ścieżkach zbędnego okrucieństwa i zbędnych ofiar? I czemuż jest właściwie pogoń za prawdą?

„Kiedy wstałem, chcąc wrócić do siebie, dostrzegłem brunatny kitel Steina przez szparę w liściach i wkrótce na zakręcie ścieżki spotkałem go idącego razem z dziewczyną. Mała jej rączka spoczywała na jego ramieniu; siwy i ojcowski, pochylał ku niej głowę w płaskiej panamie o szerokich skrzydłach, a cała jego postać wyrażała współczucie pełne rycerskiego szacunku. Usunąłem się na bok, ale oni przystanęli naprzeciw mnie. Stein patrzył w ziemię u swych stóp; dziewczyna, wyprostowana i drobna u jego boku, utkwiała posepnie w przestrzeni czarnej, przejrzystej, nieruchomej oczy.

„— *Schrecklich!* — szepnął Stein. — Okropne! okropne! Co tu począć?

„Zwracał się jakgdyby do mnie; lecz młodość dziewczyny, długie życie, które ją czekało, wzruszały mnie głębiej; i nagle — w chwili gdy pojąłem jasno, że nic jej powiedzieć nie można — zacząłem się wstawić za Jimem, aby jej przynieść ulgę.

„— Pani musi mu przebaczyć — zakończyłem, a własny głos wydał mi się stłumiony, jakby się zagubił w obojętnym, głuchym ogromie. — Wszyscy potrzebujemy przebaczenia — dodałem po chwili.

„— A cóż ja takiego zrobiłam? — zapytała pocichu.

„— Pani nigdy mu nie wierzyła — odrzekłem.

„— Był taki jak wszyscy inni — wymówiła zwolna.

„— Nie, nie był taki jak inni — zapewniałem, lecz ona ciągnęła dalej równym, obojętnym głosem:

„— Był obłudny. — Stein wtrącił się nagle do naszej rozmowy:

„— Nie, nie! Nie! Moje biedne dziecko!... — Pogłaskał jej rękę, leżącą biernie na jego rękawie. — Nie, nie! Nie był obłudny! Był szczerzy, szczerzy! Szczerzy! — Usiłował zajrzeć w kamienną jej twarz. — Pani nie rozumie. Ach! Dlaczego pani nie rozumie?... To okropne! — zwrócił się do mnie. — Przyjdzie dzień, kiedy będzie *musiała* zrozumieć.

„— Czy *pan* jej wytłumaczy? — spytałem, patrząc mu bacznie w oczy. Ruszyli z miejsca.

„Patrzyłem za nimi. Suknia jej wlokła się po ziemi, rozpuszczone włosy spadały na ramiona. Prosta jak struna, szła lekko u boku wysokiego mężczyzny; długi jego, luźny kitel zwisał prostopadłemi fałdami z pochylonych pleców, a nogi poruszały się zwolna. Znikli za tą kępą zarośli, gdzie (jak Pan może sobie przypomina) rośnie szesnaście różnych gatunków bambusu, które oko uczonego potrafi doskonale rozróżnić. Przykuwał mię subtelny wdzięk i piękno smukłego gaiku — uwieńczonego spiczastemi liśćmi i pierzastemi kitami — jego lekkość, siła żywotna, czar tak wyraźny, jakby był głosem tego spokojnego a bujnego życia. Pamiętam że stałem i patrzyłem przez długą chwilę, jakbym się ociągał z odejściem, zasłuchany w jakiś kojący szept. Niebo miało ton perłowszary. Był to jeden z tych pochmurnych dni, tak rzadkich pod zwrotnikami, kiedy się cisną wspomnienia innych brzegów — innych twarzy.

„Wróciłem do miasta tego samego popołudnia, zabierając z sobą Tamb' Itama i drugiego Malaja, na którego statku uciekli wśród osłupienia, trwogi i grozy wywołanych przez nieszczęście. Zdawało się że wstrząs,

jaki ci ludzie przeżyli, zmienił ich natury. Pałająca namiętnością dziewczyna obróciła się w kamień, a posępny, milczący Tamb' Itam stał się prawie gadatliwy. Jego zgryźliwość przemieniła się w pokorę pełną zdziwienia, jakby ujrzał niemoc potężnego czaru w wyrocznej chwili. Bugiski kupiec, człowiek lękliwy i niezdecydowany, wyrażał się bardzo jasno, choć niewiele miał do powiedzenia. Obaj byli najwidoczniej przerażeni i przejęci jakby wielkiem, niewymownem zdumieniem — otarciem się o niezbadaną tajemnicę“.

Tu podpis Marlowa oznaczał kres właściwego listu. Uprzywilejowany człowiek podkreślił lampę i zabrał się do czytania kartek opowieści, samotny wśród falistych dachów miasta, jak latarnik nad oceanem.

R o z d z i a ł X X X V I I I

„Zaczyna się to wszystko, jak już mówiłem, z pojawieniem się człowieka nazwiskiem Brown — brzmiało pierwsze zdanie piśmiennej relacji Marlowa. — Pan się włóczył po zachodnim Pacyfiku, więc musiał Pan o nim słyszeć. Był to typowy zbój z australijskiego brzegu — nie dlatego aby się tam często pokazywał tylko poprostu dlatego, że wyjeżdżano z nim zawsze w opowieściach o życiu poza prawem, któremi się częstuje gości z kraju; a najmniej jaskrawa z historyj, krążących o Brownie od przylądka York do zatoki Eden, wystarczyłaby aż nadto żeby zaprowadzić człowieka na szubienicę, gdyby donieść tam gdzie należy. Nie omieszkało również nigdy powiadomić nowoprzybyłych, że Brown był podobno synem baroneta. Tak czy owak, pewnem jest że zdezerterował z angielskiego statku na samym początku okresu, kiedy zaczęto kopać złoto i w parę lat później mówiono już o nim jako o postrachu tej lub innej grupy wysp polinezyjskich. Porywał krajowców, obdzierał do koszuli samotnych białych kupców, a obrabowawszy takiego nieboraka, proponował mu często pojedynek na strzelby. Wyglądałoby to na względnie lojalne postępowanie, gdyby napadnięty nie był już nawpół żywy ze strachu. Brown należał do rzędu korsarzy nowożytnych; charakter miał niegodziwy jak jego sławniejsi poprzednicy — ale co go wyróżniało z pomiędzy współczesnych mu koleżków-

zabijaków — jak naprzykład Bully Hayes czy miopłynny Pease, czy też wyperfumowany łotr dandys z wielkimi faworytami, znany jako Brudny Dick — to arogancja, jaką się odznaczał i zażarta pogarda dla ludzi wogóle a dla swych ofiar w szczególności. Tamci korsarze byli poprostu pospolitemi, chciwemi bestjami, lecz Brownem zdawały się powodować jakieś zawikłane motywy. Obdzierał ludzi rzekłbyś jedynie poto aby im okazać swą pogardę, a wkładał w zabicie lub okaleczenie jakiegoś spokojnego, Bogu ducha winnego człowieka, którego pierwszy raz w życiu widział, dziką i mściwą zawziętość, co mogło przerazić i najzuchwalszego z awanturników. W dniach swej największej chwały posiadał uzbrojony bark o załodze złożonej z Kanaków i zbiegłych wielorybników; chełpił się — Bóg raczy wiedzieć czy słusznie — że finansuje go pokryjomu pewna bardzo przyzwoita firma handlująca koprą. Potem znów uciekł — jak opowiadano — z żoną misjonarza, bardzo młodą kobietą z Clapham, która w chwili uniesienia wyszła za łagodnego pastora o płaskich stopach i — przeniesiona nagle do Melanezji — straciła głowę. Była to jakaś mętna historia. Żona misjonarza leżała chora w chwili, kiedy ją Brown uprowadził i umarła na jego statku. Opowiadają, że — co w tem wszystkim jest najdziwniejsze — Brown uniósł się nad jej ciałem ponurą i gwałtowną rozpaczą. Wkrótce potem szczęście go opuściło. Stracił swój bark na skałach w pobliżu Malaity i znikł na pewien czas z widowni, jakby poszedł na dno razem ze statkiem. Wypłynął znów w Nuka-Hiwa, gdzie kupił stary wysłużony rządowy szkuner francuski. Jaki zyskowny interes miał na widoku, dokonując tego kupna, nie umiem powiedzieć, ale jeśli wziąć pod uwagę wyso-

kich komisarzy, konsulów, statki wojenne i kontrolę międzynarodową — jasnym jest, że morza południowe stawały się za ciasne dla osobników jego pokroju. Musiał widać przesunąć teren swej działalności dalej na zachód, bo w rok później odegrał rolę niewiarygodnie śmiałą — choć materialnie niezbyt korzystną — w tragicomicznym przedsięwzięciu handlowem na terenie zatoki Manilskiej, w którym pewien gubernator-defraudant i zbiegły skarbnik byli głównymi osobami; potem włóczył się jakoby naokoło Filipin na swym zbutwiałym szkunerze i walczył z nieprzyjaznym losem, aż wreszcie — dążąc po wyznaczonym sobie szlaku — wplątał się w historję Jima, ślepy wspólnik Ciemnych Potęg.

„Opowiadał mi, że patrolujący hiszpański kuter uwięził go w chwili, gdy usiłował przemyścić trochę strzelb dla powstańców. Jeśli tak było naprawdę, trudno zrozumieć, dlaczego Brown się znajdował u południowych wybrzeży Mindanao. Ale według mego przekonania wymuszał haracz na krajowcach ze wsi nadbrzeżnych. Cała rzecz w tem, że dowódca kutra, zostawiwszy straż na pokładzie barku, kazał mu płynąć za sobą do Zamboanga. Po drodze oba statki musiały z jakiegoś powodu zawiąć do jednej z tych nowych osad hiszpańskich, które nie przyniosły nigdy żadnego pożytku; był tam nietylko cywilny urzędnik opiekujący się wybrzeżem, ale i porządny, okazały szkuner nadbrzeżny zakotwiczony w małej zatoczce; otóż Brown postanowił ukraść ten szkuner, lepszy pod każdym względem od swego statku.

„Mówił mi sam, że szczęście mu wówczas nie dopisywało. Ze świata, któremu dokuczał, napastując go przez dwadzieścia lat z dziką pogardą, nie wycisnął

żadnych materialnych korzyści prócz niewielkiego worka srebrnych dolarów, ukrytych w jego kajucie „tak, że sam czort nie potrafiłby ich wywąchać“. I to było dosłownie wszystko. Czuł się znudzony życiem i śmierci się nie lękał. Lecz ten człowiek, który narażał życie dla kaprysu z gorzkiem i szyderczem zuchwastwem, bał się śmiertelnie więzienia. Na samą myśl o niem instynktowna zgroza targała jego nerwami, oblewał go zimny pot, szpik zastygał mu w kościach; było to podobne do strachu, którego by przesądny człowiek mógł doznać na myśl o uścisku upióra. To też cywilny urzędnik, który przybył na pokład dla przedwstępnego śledztwa w sprawie pojmanego statku, prowadził przez cały dzień znojne badania i udał się na brzeg dopiero o zmroku, zawinięty po uszy w płaszcz, uważając pilnie, aby nic nie zabrękało w worku, w którym zabierał cały niewielki majątek Browna. Poczem, będąc człowiekiem słownym, postarał się wysłać (zaraz następnego wieczoru, o ile mi się zdaje) kuter rządowy w jakiejś szczególnie pilnej sprawie. Ponieważ kapitan kutra nie mógł obsadzić przyzu swoimi ludźmi, zadowolnił się tem, że zabrał przed odjazdem wszystkie żagle ze szkunera Browna aż do ostatniego strzępka; nie zaniedbał też odholować swoich dwóch łodzi do brzegu, o parę mil stamtąd.

„Ale wśród załogi Browna znajdował się krajowiec z wysp Salomona, uprowadzony jeszcze w młodości i oddany Brownowi bez granic; był to najlepszy człowiek z całej bandy. Ten krajowiec puścił się wpływ do rządowego szkunera — z jakie pięćset jardów — trzymając koniec liny holowniczej, zrobionej ze wszystkich tkanin na statku, które podarto w tym celu. Morze ani drgnęło, a w zatoczce było ciemno „jak

w brzuchu krowy“, według opisu Browna. Krajowiec z wysp Salomona wdrapał się na nadburcie, trzymając koniec liny w zębach. Załoga szkunera, złożona wyłącznie z Tagalów, znajdowała się na wybrzeżu, gdzie brała udział w zabawie we wsi tubylczej. Dwaj wartownicy zostawieni na statku obudzili się nagle i ujrzeni diabła. Miał gorejące oczy i skakał po pokładzie z szybkością błyskawicy. Padli na kolana, obezwładnieni trwogą, żegnając się i szepcząc modlitwy. Wyspiarz porwał z kambuza długi nóż i pchnął naprzód jednego wartownika a potem drugiego, nie przerywając im modlitw; tym samym nożem zaczął piłować cierpliwie grubą cumę z włókien kokosowych, póki nie osunęła się z pluskiem z pod noża. Wówczas rzucił w ciszę zatoki ostrożny okrzyk, a banda Browna — która przez cały ten czas wyteżała wśród mroku wzrok i słuch, przejęta nadzieją — zaczęła ciągnąć ostrożnie drugi koniec liny. W niespełna pięć minut oba szkunery zetknęły się z lekkim wstrząsem i skrzypem masztów.

„Ludzie Browna przenieśli się bezzwłocznie na szkuner hiszpański, zabierając broń i duży zapas amunicji. Było ich wszystkich razem szesnastu: dwóch uciekinierów z marynarki angielskiej, chudy, wysoki dezerterski z wojennego okrętu Stanów Zjednoczonych, paru jasnowłosych, prostodusznych Skandynawów, jakiś tam mulat, ugrzeczniony Chińczyk zajmujący się kuchnią, reszta zaś — nędzne szumowiny mórz południowych. Żaden z nich nie dbał o nic; Brown powodował nimi według swej woli, a teraz, obojętny na szubienicę, uciekał przed widmem hiszpańskiego więzienia. Nie zostawił im czasu na przeniesienie dostatecznego zapasu żywności; noc była spokojna, po-

wietrze przesiąknięte rosą, a gdy oddali cumy i ustawili żagle na słaby wiatr lądowy, nie zatrzepotało ani jedno mokre płótno; stary ich szkuner zdawał się cofać powoli od ukradzionego statku i sunąć pocichu w noc razem z czarną masą wybrzeża.

„Uciekli bez śladu. Brown opowiedział mi szczegółowo tę podróż przez cieśniny Makassaru. To dręcząca i rozpaczliwa historia. Nie mieli pożywienia ani wody; napadli na kilka statków tubylczych, zabierając każdemu trochę żywności. Brown nie odważył się oczywiście zawinąć do żadnego portu z ukradzionym okrętem. Nie miał pieniędzy aby kupić cośkolwiek; nie miał żadnych papierów do pokazania władzom portowym i nie potrafił wymyślić jakiegoś prawdopodobnego kłamstwa aby móc się wydostać z powrotem. Raz w nocy napadli na arabski bark pod flagą holenderską, zakotwiczony u wybrzeży Poulo Laut, i zabrali mu trochę brudnego ryżu, pęk bananów, beczkę wody; w ciągu trzech dni burzliwych i mglistych północnowschodni wiatr zapędził ich na morze Jawajskie. Żółte, błotniste fale zalewały to zbiorowisko głodnych awanturników. Widzieli pocztowe kutry dążące po wyznaczonych szlakach; mijali dobrze zaopatrzone statki angielskie o zardzewiałych żelaznych bokach, czekające wśród płytkiego morza na zmianę pogody lub odwrócenie się prądu; biała i schłodna kanonierka angielska o dwóch smukłych masztach przecięła im raz drogę w oddali; innym znów razem holenderska korweta, czarna, o ciężkim omasztowaniu, zamajaczyła z boku za rufą, sunąc bardzo wolno wśród mgły. Przemykali się, niedostrzeżeni lub mijani obojętnie — banda wynędzniałych, wybladłych straceńców, rozwścieczonych głodem, ściganych przez strach. Brown

zamierzał dostać się do Madagaskaru, gdzie się spodziewał — z pewnem prawdopodobieństwem — sprzedać szkuner w Tamatawe, nie narażając się na pytania, lub też zdobyć jakieś sfałszowane papiery. Ale przed pusczeniem się w długą podróż przez ocean Indyjski potrzebował żywności — a także i wody.

„Może słyszał kiedy o Patusanie — a może poprostu zdarzyło mu się zobaczyć jego nazwę wypisaną malutkimi literkami na mapie, nazwę — jak sądził — wielkiej wsi położonej nad rzeką w państwie tubylczem, zupełnie bezbronnem, dalekiem od uczęszczanych morskich szlaków i kabli podwodnych. Zapuszczał się już i dawniej w takie miejsca — dla interesu; a teraz była to bezwzględna konieczność, kwestja życia i śmierci — a raczej wolności. Wolności! Był pewien, że znajdzie tam zapasy — bawoły — ryż — jadalne korzenie. Nędzna banda oblizywała się już na to zawczasu. Może się uda wymusić ładunek żywności, a — kto wie? — może się tam znajdzie trochę prawdziwej brzęczącej monety! Z niektórych naczelników i wodzów można dość dużo wycisnąć. Brown mówił mi, że był zdecydowany przypiekać im podeszwy, byle tylko dopiąć swego. Wierzę. Jego ludzie wierzyli mu także. Nie wykrzykiwali z zapalem, bo to była milcząca banda ale ostrzyli sobie zęby w cichości.

„Pogoda im sprzyjała. Kilka dni ciszy byłyby ściągnęły na szkuner nieopisane okropności, ale z pomocą wiatrów lądowych i morskich, w niecały tydzień po opuszczeniu cieśnin Sundzkich Brown zapuścił kotwicę u ujścia Batu Kring, o strzał z rewolweru od wsi rybackiej.

„Czternastu ludzi z załogi wpakowało się do szalupy szkunera (obszernej, służącej do przewożenia

ładunku) i wyruszyło w górę rzeki; szkuner zostawiono pod opieką dwóch majtków, którzy mieli zapas żywności wystarczający do powstrzymania głodowej śmierci na przeciąg dni dziesięciu. Prąd i wiatr sprzyjały wyprawie i pewnego dnia, zaraz po południu, wielka biała łódź o poszarpanym żaglu wdarła się pod morską bryzą do państwa Patusanu, wraz z czternastu dobranymi obszarpańcami, którzy wpatrywali się żarłocznie przed siebie, trzymając palce na kurkach tanich strzelb. Brown liczył na przerażenie wywołane niespodzianem jego przybyciem. Dopłynęli na ostatniej fali przypływu; ostrokół radzy nie dawał znaku życia; najbliższe chaty po obu brzegach robiły wrażenie opustoszałych. W górze rzeki widać było kilka czółen umykających szybko. Brown dziwił się wielkości osady. Panowała tam głęboka cisza. Wiatr ustał między domami; dwóch ludzi wzięło się do wiosł aby utrzymać kurs łodzi w górę rzeki, ponieważ Brown miał zamiar wylądować w środku osady, zanim mieszkańcy zdążą pomyśleć o obronie.

„Lecz zdaje się że naczelnik rybackiej wsi przy ujściu Batu Kring zdołał wysłać na czas ostrzeżenie. Gdy łódź znalazła się nawprost meczetu (wzniesionego przez Doramina, o szczycie ozdobionym rzeźbami z białego koralu), plac przed nim pełen był ludzi. Rozległ się głośny okrzyk, poczem dźwięk gongów rozebrzmiał wzdłuż rzeki. Z wyniosłości ponad osadą strzeliły dwie sześciofuntowe mosiężne armatki; pocisk leciał, podskakując po pustej rzece, a wytryski wody iskrzyły się w słońcu. Przed meczetem gromada krzyżujących ludzi otworzyła ogień salwami, które smażyły naukos nurt rzeki; po obu brzegach grzmiała nieregularna strzelanina skierowana ku łodzi. Ludzie

Browna odpowiedzieli gwałtownym ogniem; wiosła wciągnięto z powrotem.

„Zmiana prądu przy najwyższym przypiływie następuje bardzo prędko na tej rzece, i łódź w środku łożyska, ukryta prawie zupełnie w dymie, zaczęła się cofać sterem naprzód. Wzdłuż obu brzegów dym zgęstniał również, ciągnąc się poniżej dachów poziomymi smugami, podobnie jak długi obłok przecina stok góry. Wrzawa okrzyków wojennych, drgający dźwięk gongów, głęboki warkot bębnow, wrzaski wściekłości, grzmot strzałów czyniły okropny hałas, pośród którego Brown siedział u steru, zbity z tropu lecz spokojny; ogarniała go coraz większa wściekłość i nienawiść do tych krajowców, którzy śmieli się bronić. Dwóch jego ludzi było rannych; widział przytem, że ma odwrot odcięty przez łódki, które odbiły od częstokołu Tunku Allanga. Było ich sześć, pełnych ludzi. Osaczony Brown spostrzegł ujście małej zatoczki (tej samej którą Jim przeskokczył przy odpływie). Była wówczas pełna po brzegi. Brown skierował łódź w tę stronę; wylądowali i — streszczam długi epizod — umieścili się na małym kopcu, mniej więcej o dziewięćset jardów od ostrokołu, który z tej pozycji widzieli jak na dłoni. Stoki kopca były nagie, lecz na szczycie rosło trochę drzew. Zabrali się do ścinania tych drzew na zasieki i przed zmierzchem byli już wcale dobrze obwarowani; przez cały ten czas łódki radzy pozostawały na rzece, obserwując ich z dziwną neutralnością. Gdy słońce zaszło, blask licznych ognisk z chróstu — rozpalonych i na wybrzeżu, i między podwójnym szeregiem domów — uwydatnił czarne sylwety dachów, grupy smukłych palm, gęste kępy drzew owocowych. Brown rozkazał spalić trawę naokoło swej pozycji; niski pierścień wątych płomieni, pod

dymem wznoszącym się zwolna, potoczył się szybko wdół po pochyłości kopca; gdzieniegdzie zapalał się suchy krzew z głośnym, zajadłym hukiem. Pożar oczyścił naokoło teren dla strażów małej bandy, poczem wygasł, tłąc się na skraju lasów i wzdłuż błotnistej wybrzeża zatoki. Pas dżungli, krzewiącej się bujnie w wilgotnem zagłębieniu między kopcem a ostrokołem radży, zatrzymał ogień z tej strony wśród głośnego trzasku i huku pękających pni bambusowych. Niebo było ciemne, aksamitne i roilo się od gwiazd. Poczerniała ziemia dymiła spokojnie pełznącemi nisko kosmykami, aż wreszcie powiał lekki wiatr i zdmuchnął wszystko.

„Brown spodziewał się ataku z chwilą, gdy się przypląw podniesie i umożliwi wejście do zatoczki łodziom wojennym, które odcięły mu odwrót. W każdym razie był pewien, że spróbują zabrać jego wielką łódź, która leżała pod kopcem, rysując się ciemną, wysoką bryłą na nikłym połysku mokrego trzęsawiska. Ale łódki na rzece nie poruszały się wcale. Za ostrokołem i zabudowaniami radży Brown widział ich światła na wodzie. Zdawało mu się że są zakotwiczone wpoprzek łożyska. Inne światła poruszały się na rzece, przecinając ją od brzegu do brzegu. W długich ścianach domostw błyszczwały także nieruchome światełka w górze rzeki aż do zakrętu i dalej jeszcze liczniejsze; w głębi ładu migotały inne samotnie. Gdzie tylko sięgnął wzrok Browna, łuna wielkich ognisk oświetlała budynki, dachy, czarne pale. Była to olbrzymia osada. Czternastu zdecydowanych na wszystko napastników leżało napłask za ściętymi drzewami, zadzierając brody aby spoglądać na ruch w tej osadzie, która rzekłbyś ciągnęła się w górę rzeki całemi milami i roila od

tysięcy gniewnych ludzi. Nikt z bandy nie odzywał się ani słowem. Od czasu do czasu słyszeli głośny krzyk lub też pojedynczy strzał gdzieś bardzo daleko. Lecz naokoło ich pozycji panował spokój, mrok, cisza. Zdawało się że o nich zapomniano, jakby podniecenie, trzymające całą ludność na nogach, nie miało z nimi nic wspólnego, jakby już byli nieżywi.

R o z d z i a ł X X X I X

„Wszystkie wypadki tej nocy mają wielką wagę, ponieważ wytworzyły sytuację, która się nie zmieniła aż do powrotu Jima. Jim bawił w głębi lądu przeszło tydzień i pierwsze zarządzenia obronne zostały wydane przez Daina Warisa. Ten odważny i inteligentny młodzieniec („który umiał walczyć tak jak biali“), chciał zlikwidować natychmiast najście rabusiów, ale trudno mu było dać sobie radę ze swymi rodakami. Nie miał rasowej wyższości Jima; nie służył z niezwykłej, nadnaturalnej siły. Nie był widzialnym, dotykającym wcieleniem niezawodnej prawości i niezawodnego zwycięstwa. Choć go kochano i podziwiano, choć mu wszyscy ufali, był jednak jednym z *nich*, podczas gdy Jim był jednym z *nas*. Co więcej, biały — stanowiący już sam przez się potężną siłę — nie podlegał zranieniu, gdy tymczasem Daina Warisa można było zabić. Te ukryte myśli powodowały dostojnikami, którzy postanowili zebrać się w forcie Jima dla zastanowienia się nad sytuacją, jakby się spodziewali znaleźć mądrość i odwagę w domu białego człowieka. Strzały napastników były natyle pomyślne czy szczęśliwe, że dosięgły tylko sześciu ludzi z pomiędzy obrońców. Ranni leżeli na podłodze, dogładani przez swoje niewiasty; kobiety i dzieci z niższej części miasta zostały wysłane do fortu za pierwszym alarmem. Dziewczyna tam rządziła, bardzo dzielna i odważna; słuchali jej ślepo „właśni

ludzie“ Jima, którzy opuścili wszyscy swą małą wioseczkę pod ostrokołem i przenieśli się do fortu aby stanowiąc jego załogę. Uciekinierzy tłoczyli się naokoło dziewczyny, która przez cały ten czas, aż do końcowej katastrofy, wykazała niezwykle zapał wojenny. Dain Waris zwrócił się do niej odrazu, przy pierwszej wieści o niebezpieczeństwie, gdyż trzeba wiedzieć, że Jim był w Patusanie jedynym człowiekiem posiadającym zapas prochu. Stein, z którym utrzymywał zażyłe listowne stosunki, wyjednał u holenderskiego rządu specjalne pozwolenie na wywóz pięciuset baryłek prochu do Patusanu. Prochownia znajdowała się w niewielkiej chatce z nieobrobionych kłód, pokrytej całkowicie ziemią, a klucz od niej w razie nieobecności Jima był zawsze u dziewczyny.

„Podczas obrad, ciągnących się od jedenastej wieczór w jadalni Jima, dziewczyna poparła Daina, który chciał rozpocząć natychmiast energiczną akcję. Opowiadano mi, że oparła się o puste krzesło Jima, stojące na pierwszym miejscu przy długim stole, i wygłosiła namiętną mowę wojenną, co wywołało pochlebny szmer wśród zgromadzonej starszyzny. Doramina — który przeszło rok nie ukazywał się poza bramą swego ostrokołu — przyniesiono z wielkim trudem. Był oczywiście pierwszym mężem w tem zgromadzeniu. Nastrój obrad odznaczał się wojowniczą zaciekłością i słowo wypowiedziane przez starego wodza byłoby rozstrzygające; lecz według mnie Doramin nie ośmielił się tego słowa wymówić, zdając sobie dokładnie sprawę z niepohamowanej odwagi swego syna. Przeważało zdanie aby trwać w postawie wyczekującej. Niejaki Hadzi Saman dowodził w bardzo długiej przemowie, że „tych dzikich tyranów czeka

niechybna śmierć w każdym razie. Albo będą się trzymali kopca i umrą z głodu, albo spróbują dotrzeć do swej łódki i zostaną zabici z zasadzek po drugiej stronie zatoczki — a jeśli się przedrą i uciekną do lasu, wyginą tam pojedynczo“. Hadzi Saman dowodził dalej, że przez użycie odpowiednich wojennych podstępów będzie można wytępić tych złych cudzoziemców bez narażania się na bitwę, a słowa jego zyskały wielki posłuch, szczególnie u mieszkańców samej osady, których zbiła z tropu bierność łódek Tunku Allanga w chwili decydującej.

„W czasie obrad przedstawicielem rady był Kassim, biegły w dyplomacji. Mówił bardzo mało, słuchał z uśmiechem, bardzo uprzejmy i nieprzenikniony. Podczas posiedzenia prawie co kilka minut przybywali gońcy z raportem o poczynaniach najeźdźców. Krążyły bezsensowne i przesadzone pogłoski: przy ujściu rzeki znajdował się jakoby ogromny okręt z wielkimi armatami i liczną załogą składającą się z białych, a także i czarnoskórych o bardzo krwiożerczym wyglądzie. Opowiadano że płyną już rzeką na licznych łodziach, aby wytępić wszystko co żyje. Poczucie bliskiego, tajemniczego niebezpieczeństwa przejmowało pospólstwo. W pewnej chwili powstała panika wśród kobiet na dziedzińcu; obradujący usłyszeli krzyki, bieganinę, płacz dzieci; Hadzi Saman wyszedł aby zaprowadzić spokój. Innym znów razem placówka wartująca przy forcie strzeliła do czegoś co płynęło rzeką i ledwie nie zabiła wieśniaka, który wioził w czółnie swoje kobiety, najlepsze z domowych sprzętów i dwanaście sztuk drobiu. To zajęcie powiększyło jeszcze zamęt. Tymczasem narady ciągnęły się w domu Jima, a dziewczyna im się przysłuchiwała.

Ocieżały Doramin o dzikiem obliczu siedział, spoglądając kolejno na mówców i dysząc powoli jak byk. Zabrał głos dopiero naostatku, gdy Kassim oświadczył że łódki radzy zostaną odwołane, gdyż potrzebni mu są ludzie aby bronić ostrokołu władcy. Dain Waris nie chciał wyjawić swego zdania w obecności ojca, choć dziewczyna zaklinała go na imię Jima, żeby się wypowiedział. Pragnęła tak bardzo, aby wyparto odrazu intruzów, iż chciała dać Dainowi ludzi Jima. Ale Dain potrząsnął tylko głową, spojrzawszy parę razy na Doramina.

„Narady dobiegły wreszcie końca; postanowiono obsadzić silnie domy położone najbliżej zatoki dla strzeżenia nieprzyjacielskiej łodzi, ale ruszać jej nie zamierzano, aby znęcić rozbójników do odjazdu; gdyby zaś usiłovali wsiąść do łodzi, otworzyłyby się na nich ognie i z pewnością większośćby poległa. Chcąc odciąć niedobitkom ucieczkę i nie dopuścić do Patusanu rabusiów pozostałych na morzu, Doramin rozkazał Dainowi Warisowi udać się ze zbrojnym oddziałem Bugisów wdół rzeki — do miejsca położonego dziesięć mil od Patusanu — rozłożyć się tam zbrojnym obozem na wybrzeżu i zablokować rzekę czółnami. Jestem zupełnie pewien, że Doramin nie obawiał się bynajmniej przybycia nowych sił napastniczych. Według mnie postępowanie jego miało jeden jedyny cel: utrzymać syna poza niebezpieczeństwem.

„Aby uniemożliwić napad na osadę, miano rozpocząć o świcie budowę ostrokołu na lewym brzegu, u końca ulicy. Stary *nakhoda* oświadczył, że zamierza objąć tam osobiście dowództwo. Rozdzielono natychmiast między ludzi proch, kule i zapalniki według wskazówek dziewczyny. Zapadło postanowienie, że się wyśle po

Jima kilku gońców w różnych kierunkach, bo nie wiadano dokładnie gdzie go szukać. Ludzie ci wyruszyli o świcie, lecz Kassim zdołał już przedtem nawiązać kontakt z obłożonym Brownem.

„Ów znakomity dyplomata i zausznik radzy, opuszczając fort aby się udać do swego pana, zabrał do łódki Corneliusa, którego napotkał snującego się chyłkiem milczkiem wśród ludzi na dziedzińcu. Kassim miał swój własny plan i potrzebował Corneliusa na tłumacza. I oto stało się że Brown, rozpamiętujący nad ranem swe rozpaczliwe położenie, usłyszał głos od strony gąszczu w bagnistej dolince; ten głos, przyjazny, drżący, wyteżony, krzyczał — po angielsku — domagając się dostępu na kopiec z bardzo ważnem zleceniem — pod słowem że nic złego gońca nie spotka. Brown był uszczęśliwiony. Jeśli się do niego zwracano, przestawał być dzikim zwierzem, na którego się poluje. Te przyjazne słowa zdjęły odrazu brzemię straszliwie napiętej czujności z ludzi Browna, którzy byli w położeniu ślepców, nie wiedzących skąd śmiertelny cios ich dosięgnie. Brown udał, iż się odnosi bardzo niechętnie do propozycji. Głos oznajmił, że to „mówi biały — biedny, zrujnowany starzec, który tu mieszka od lat“. Mgła mokra i chłodna leżała na stokach wzgórza. Zamienili z sobą jeszcze kilka zdań, krzycząc donośnie, poczem Brown zawołał: „Więc niech pan przyjdzie — ale tylko sam jeden — słyszy pan!“ W gruncie rzeczy zaś — jak mi opowiadał, skręcając się z wściekłości na wspomnienie swej niemocy — nie stanowiło to żadnej różnicy. Można było coś dostrzec tylko na odległość paru jardów i żadna zdrada nie pogorszyłaby ich położenia. Wkrótce ukazał im się we mgle Cornelius, bosy, odziany w swój codzienny

strój: podartą białą koszulę, spodnie i korkowy kask o połamanem rondzie; sunął bokiem w górę ku zaskom, przyczem wahał się i zatrzymywał aby nasłuchiwać w czujnej postawie.

„— Niech pan się zbliży! Nic się panu nie stanie — wrzasnął Brown, a jego ludzie gapili się na Corneliusa. Wszystkie ich nadzieje ześrodkowały się nagle na tym obszarpanym, nędznym przybyszu, który w głębokim milczeniu przelał niezgrabnie przez ścięte drzewo i spoglądał, trzęsąc się, z miną markotną i podejrzliwą na grupkę brodatych, zgryzionych, niewyspanych zabijaków.

„Pół godziny poufnej rozmowy z Corneliusem otworzyło oczy Brownowi na wewnętrzne stosunki w Patusanie. Ciekawość jego została natychmiast pobudzona. Były tu możliwości, olbrzymie możliwości; ale zażądał, aby — przed rozpoczęciem rozmów na temat poruszony przez Corneliusa — przysłano mu trochę żywności w dowód dobrej wiary. Metys odszedł, pełznąc niemrawo po stoku zwróconym do rezydencji radży, a po pewnym czasie kilku ludzi Tunku Allanga zjawilo się na górze ze skąpym zapasem ryżu, przypraw korzennych i suszonych ryb. Było to o wiele lepsze niż nic. Potem Cornelius powrócił w towarzystwie Kassima, który stapał z miną pełną pogodnej ufności, obuty w sandały i zawinięty od stóp do głów w granatową tkaninę. Podał rękę Brownowi dyskretnym ruchem i wszyscy trzej usunęli się nabok aby się narodzić. Ludzie Browna odzyskiwali pewność siebie, grzmocili się nawzajem po plecach i rzucali porozumiewawcze spojrzenia na swego kapitana, zabierając się do gotowania posiłku.

„Kassim niecierpiał Doramina i jego Bugisów,

ale jeszcze bardziej nienawidził nowego porządku rzeczy. Przyszło mu na myśl że ci biali, razem z poplecznikami radży, mogliby napaść i rozgromić Bugisów przed powrotem Jima. Potem — rozumował — nastąpiłoby odstępstwo wszystkich prawie mieszkańców osady i skończyłyby się rządy białego, który brał biednych ludzi w opiekę. Z kolei możnaby było się zabrać do nowych sprzymierzeńców. Nie zdobędą sobie przyjaciół. Kassim umiał doskonale poznać się na różnicy charakterów i widywał ongi dość wielu białych ludzi, więc też zdawał sobie sprawę, że ci nowoprzybyli są wyrzutkami społeczeństwa, ludźmi bez ojczyzny. Brown wciąż zachowywał postawę surową i nieprzeniknioną. Kiedy usłyszał poraz pierwszy głos Corneliusa, domagający się przyjęcia, błysnęła mu poprostu nadzieja, że otworzy się jakaś szpara, przez którą będzie się mógł wymknąć. W niespełna godzinę później wrzało mu w głowie od innych już myśli. Przyciśnięty koniecznością, przybył tu aby ukraść zapas żywności, kilka ton kauczuku albo gumy, może garść dolarów — i uwikłał się w śmiertelne niebezpieczeństwa. A teraz, naskutek propozycji Kassima, zaczął myśleć o ukradzeniu całego kraju. Jakiś psiakrew drab dokonał już widać czegoś podobnego — i to samopas w dodatku. Nie mógł jednak dobrze tego przeprowadzić. Może dałoby się z nim razem pracować, wycisnąć wszystko co będzie można a potem się wynieść pocichu. Podczas układów z Kassimem Brown zdał sobie sprawę, iż krajowcy są przekonani że on, Brown, zostawił przy ujściu rzeki wielki statek pełen ludzi. Kassim prosił go usilnie, aby sprowadził bezzwłocznie ten wielki okręt z wielu armatami i liczną załogą — i oddał go na usługi radży. Brown oświadczył, że zrobi to chętnie i na tej pod-

stawie układy ciągnęły się ze wzajemną podejrzliwością. Trzy razy w ciągu ranka ugrzecznony i ruchliwy Kassim schodził do ostrokołu, poczem wracał zaaferowany, stawiając wielkie kroki. Podczas tych targów Brown czuł posępną radość na myśl o swym nędznym szkunerze, który uchodził za uzbrojony okręt a miał tylko kupę śmieci za cały ładunek, na pokładzie zaś — zamiast licznej załogi — Chińczyka i kuternogę, nadbrzeżnego łazika z Lewuki. Popołudniu Brown uzyskał nową porcję żywności, obietnicę pieniędzy i zapas mat na szalasy. Ludzie jego położyli się i chrapali, zasłonięci przed palącym żarem, a on sam siedział w pełnem słońcu na jednym ze ściętych drzew, pasąc oczy widokiem osady i rzeki. Dużo tam było łupu. Cornelius, który czuł się już w obozie Browna jak u siebie, rozprawiał u jego boku, wskazywał mu poszczególne części osady, udzielał rad i opisywał po swojemu charakter Jima oraz wypadki ostatnich trzech lat. Brown patrzył wdał z pozorną obojętnością, lecz słuchał uważnie każdego słowa, nie mogąc zdać sobie sprawy, jakiego rodzaju człowiekiem jest ten Jim.

„— Jak on się nazywa? Jim! Jim! To nie jest żadne nazwisko.

„— Nazywają go tutaj — rzekł Cornelius z pogardą — tuanem Jimem. To tak jakby się mówiło: lord Jim.

„— Czem on jest? Skąd on pochodzi? — wypytywał Brown. — Co to za rodzaj człowieka? Czy to Anglik?

„— Tak, tak, to Anglik. Ja jestem także Anglikiem. Z Malakki. To dureń. Pozostaje panu tylko go zabić, a wtedy będzie pan królem. Wszystko tu do niego należy — wyjaśniał Cornelius.

„— Coś mi się zdaje, że będzie musiał wkrótce z kimś się podzielić — rzekł Brown półgłosem.

„— Nie, nie. Jedyna rada, to zabić go przy pierwszej sposobności, a wtedy zrobi pan, co się panu spodoba — nalegał gorliwie Cornelius. — Mieszkam tu od wielu lat, i radzę panu jak przyjaciel.

„Ludzie Browna wypoczywali, a on sam spędził większą część popołudnia na gawędzie i rozkoszował się widokiem Patusanu, który — jak postanowił — miał się stać jego zdobyczą. Tegoż dnia flota Daina Warisa, złożona z czółen, przekradła się pojedynczo wzdłuż brzegu jaknajdalej od zatoczki i wyruszyła wdół rzeki aby odciąć Brownowi odwrót. Brown o tem nic nie wiedział a Kassim, który wspiał się na kopiec dwie godziny przed zachodem, ani myślał go o tem powiadomić. Chciał aby statek białego ruszył wgórę rzeki i obawiał się, że ta wiadomość będzie zniechęcająca. Naglił Browna o wysłanie „rozkazu“, proponując mu jednocześnie zaufanego gońca, który (dla utrzymania całej sprawy w tajemnicy, jak wyjaśnił) uda się łądem do ujścia rzeki i zanieś „rozkaz“ na statek. Zastanowiwszy się nieco, Brown uznał za wskazane wydrzeć kartkę z notesu i napisać na niej poprostu: „Idzie nam dobrze. Gruby interes. Zatrzymajcie tego człowieka“. Tępy młodzian, wybrany przez Kassima na posłańca, wykonał wiernie zlecenie, a w nagrodę został wrzucony na łeb na szyję do pustego wnętrza statku przez byłego włóczęgę i Chińczyka, którzy następnie pospieszyli zamknąć luki. Brown nie powiedział mi, co się z nim później stało.

R o z d z i a ł X L

„Chcąc zyskać na czasie, Brown udawał, że bierze poważnie dyplomatyczne zabiegi Kassima. Nie mógł się powstrzymać od myśli, iż aby istotnie czegoś dopiąć, należy związać się z białym. Nie wyobrażał sobie żeby ten człowiek — który w gruncie rzeczy musi być piekielnie sprytny, jeśli zdołał tak krajowców ujeździć — żeby taki człowiek odrzucił pomoc, któraby położyła koniec przewlekłym, ostrożnym, ryzykownym matactwom, narzucającym się jako jedyny sposób postępowania człowiekowi idącemu samopas. On, Brown, dałby mu siłę. Nie odrzuca się takiej propozycji. Wszystko polegało na dojściu do porozumienia. Będą się naturalnie dzielili. Podniecała Browna myśl o forcie, o prawdziwym forcie z artylerją (wiedział o nim od Corneliusa), który był tam gotów, pod ręką. Byle tylko do niego się dostać, a wówczas... Postawi skromne warunki. Jednak nie zanadto niskie. Zdaje się, że ten człowiek głupi nie jest. Będą pracowali jak bracia, póki... póki nie przyjdzie czas na kłótnię i strzał, który załatwi wszystkie porachunki. Ogarnięty dziką żądzą grabieży, Brown nie mógł się doczekać rozmowy z tym człowiekiem. Zdawało mu się że kraj jest już w jego władzy, że może go rozszarpać, wycisnąć i odrzucić precz. Tymczasem trzeba tumanić Kassima nietylko ze względu na żywność, ale i po to żeby sobie zostawić jeszcze jedno wyjście. Lecz główną rzeczą było uży-

skanie żywności z dnia na dzień. Pozatem Brown nie odrzucał wcale myśli o walce na rzecz radży, o udzieleniu nauczki tym ludziom, którzy przyjęli go strzałami. Owładnęła nim dzika żądza walki.

„Żałuję że nie umiem panu zacytować słów, jakimi Brown mi to wszystko opisywał, bo naturalnie dowiedziałem się o tem głównie od Browna. W urywanych, gwałtownych zdaniach tego człowieka — który odsłaniał mi swe myśli, w chwili gdy ręka śmierci zaciskała mu się na gardle — było otwarte, bezwzględne dążenie do celu, dziwna, mściwa postawa w stosunku do własnej przeszłości i ślepa wiara w słuszność swoich zamierzeń, zwracających się przeciwko wszystkim ludziom; coś w rodzaju uczucia, które skłoniło wodza hordy wędrownych zbójów do mianowania siebie z pychą Biczem Bożym. Nie ulega wątpliwości, że wrodzona, bezmyślna dzikość, która jest podłożem takich charakterów, była w tym wypadku rozjątrzona przez szereg niepowodzeń, a ostatnio głód, niewygody i rozpaczliwą sytuację, w jakiej się Brown znalazł; ale co najciekawsze, Brown — który obmyślał zdradliwe przymierza, przesądzał już w myśli los białego i wchodził w konszachty z Kassimem, traktując go wyniośle i niedbale — jednocześnie pragnął przede wszystkim (zdradzał się z tem mimowoli) — prawie wbrew samemu sobie — splondrować to miasto wśród dżungli, które mu rzuciło wyzwanie i ujrzeć je w płomieniach, zasłane trupami. Słuchając bezlitosnego, dyszącego głosu Browna, wyobrażałem sobie jak spoglądał z kopca na osadę, zapełniając ją obrazami mordów i łupiestw. Część położona najbliżej zatoczki wyglądała na opustoszałą, choć w gruncie rzeczy każdy dom ukrywał kilku zbrojnych ludzi, trzymających się w po-

gotowiu. Nagle za przestrzenią nieuprawnych gruntów, usianych niewielkimi plamami niskiego, zwarłego gąszczu, rowami i stosami śmieci, wśród których snuły się wydeptane ścieżki, samotny człowiek, bardzo drobny z tej odległości, wyszedł powoli na opustoszały wylot ulicy między zamknięte, ciemne, zamarłe budynki. Był to może zbieg z drugiego brzegu rzeki, który wrócił po jakiś domowy sprzęt. Uważał się widać za zupełnie bezpiecznego w tej odległości od kopca, po drugiej stronie zatoczki. Tuż przy zakręcie ulicy, za lekkim ostrokołem zbudowanym naprędce, pełno było jego przyjaciół. Szedł zwolna naprzód. Brown go zobaczył i wezwał natychmiast Jankesa dezertera, który odgrywał rolę jakgdyby adjutanta. Chudy, wysoki drab o elastycznych ruchach i twarzy bez wyrazu zbliżył się, ciągnąc za sobą leniwie strzelbę. Kiedy usłyszał o co chodzi, pokazał zęby w krwiożerczym, zarozumiałym uśmiechu, który wyźłobił dwie głębokie, podłużne brózdy w białych, jakby skórzanych policzkach. Pysnił się zawsze celnością swych strzałów. Przykłęknął na jedno kolano; oparł strzelbę na ściętym pniu, wycelował do tego człowieka poprzez gałęzie, strzelił i wstał natychmiast aby zobaczyć co się stanie. Krajowiec w oddali obejrzał się na odgłos wystrzału, uczynił krok naprzód jakby z wahaniem i zwałił się nagle na ręce i kolana. W ciszy, która zapadła po ostrym huku strzelby, niezawodny strzelec wyraził przekonanie, utkwivszy oczy w swej zdobyczy, że „zdrowie tego tchórza nie sprawi już nigdy niepokoju jego przyjaciołom“. Widać było jak ręce i nogi ranego poruszają się szybko pod jego ciałem, co robiło wrażenie, że usiłuje biec na czworakach. W pustej przestrzeni rozległ się zbiorowy okrzyk zdumienia

i zgrozy. Ranny człowiek opadł plackiem na twarz i znieruchomiał.

„— Pokazało im to, do czego jesteśmy zdolni — rzekł do mnie Brown. — Strach przed niespodziewaną śmiercią padł na nich. Tegośmy właśnie chcieli. Było ich dwustu na jednego z nas; dałem im temat do rozmyślań w ciągu nocy. Żaden z nich nie miał dotąd pojęcia, że strzał może sięgnąć tak daleko. Tamten łądak od radzy podyrdał nadół a oczy wyłaziły mu z głowy. — Mówiąc to, Brown usiłował otrzeć trzęsącą się ręką odrobinę piany z posiniałych ust. — Dwustu na jednego... napędziłem im przerażenia... przerażenia... i jakiego jeszcze, mówię panu... — Oczy wyszły mu także na wierzch. Opadł w tył, drapiąc powietrze kościstymi palcami, dzwignął się z powrotem, zgięty i włochaty, i wpatrzył się we mnie zukosa niby wilkołak z podań ludowych, dysząc z otwartymi ustami w okropnej męce, zanim odzyskał mowę po tym ataku. Są rzeczy, których niepodobna zapomnieć.

„Potem, aby przyciągnąć nieprzyjacielski ogień i przekonać się gdzie są rozmieszczone oddziały, kryjące się prawdopodobnie w zaroślach wzdłuż zatoczki, Brown rozkazał dzikiemu z wysp Salomona, aby zeszedł do łodzi i przyniósł wiosło — jak się każe skakać wyżłowi po kij do wody. Podstęp zawiódł; wyspiarz wrócił, nie strzelono do niego ani razu.

„— Niema tam nikogo — twierdzili niektórzy z ludzi Browna.

„— To nie jest naturalne — zauważył Jankeś.

„Kassima już wówczas nie było; odszedł, wstrząśnięty zabójstwem, a jednocześnie zadowolony i trochę niespokojny. Trzymając się w dalszym ciągu krętej polityki, wysłał gońca do Daina Warisa, przestrzegając

go, aby wypatrywał okrętu białych, który — jak odebrał wiadomość — miał ruszyć w górę rzeki. Pomniejszał wielkość statku i wzywał Daina, aby zapobiegł jego przejazdowi. Ta dwulicowość sprzyjała zamiarom Kassima, który chciał utrzymać rozdział sił bugiskich i osłabić je przez walkę. Z drugiej zaś strony wysłał w ciągu dnia parę słów do starszyny bugiskiej zebranej w mieście, zapewniając, że usiłuje nakłonić napastników do odwrotu; jego gońcy zaś, słani do fortu, domagali się usilnie prochu dla ludzi radży. Już od niepamiętnych czasów Tunku Allang nie miał naboju do dwudziestu mniej więcej starych muszkietów, które rdzewiały w stojaku na sali przyjęć. Jawne stosunki, nawiązane między kopcem a pałacem, wytraściły wszystkich z równowagi. Zaczęto mówić, że przyszedł już czas aby zająć jakieś stanowisko. Wkrótce krew się poleje obficie i wielkie troski wynikną stąd dla wielu ludzi. Zdawało się tego wieczoru, że to życie społeczne, uregulowane i spokojne, w którym każdy człowiek był pewien swego jutra — że ten gmach wzniesiony rękami Jima gotów rozpaść się każdej chwili w ociekające krwią gruzy. Biedniejsza ludność zaczynała już się wymykać do lasu lub uciekać w górę rzeki. Wielu dostojników uznało za potrzebne udać się do radży i złożyć mu swą czołobitność. Młodszy z pośród dworzaków potracali ich brutalnie. Stary Tunku Allang, prawie oszalały ze strachu i niezdecydowania, zachowywał zgryźliwe milczenie albo beształ gwałtownie dostojników za to, że ośmielają się pokazywać z pustymi rękami; odchodzili w wielkiej trwodze. Tylko stary Doramin skupiał koło siebie rodaków i trzymał się nieugięte swej metody postępowania. Siedząc majestatycznie na wielkiem krześle za wznie-

sionym naprędcie ostrokołem, wydawał rozkazy dudniącym, nieco ochrypłym basem, niewzruszony wśród obiegających pogłosek, jak człowiek głuchy.

„Zapadał zmierzch; skrył najpierw zwłoki zabitego, które leżały z rozpostartymi ramionami jakby przygwożdżone do ziemi; potem obracające się sklepienie nocy przetoczyło się gładko nad Patusan i znie ruchomiło, sypiąc na ziemię migot niezliczonych światów. W zagrożonej części miasta wielkie ogniska roz błysły znowu wzdłuż jedynej ulicy; na tle ich blasku rysowały się gdzieniegdzie spadziste, proste linje dachów, niewyraźne fragmenty plecionych ścian, niekiedy cała chata wzniesiona na czarnych, pionowych pręgach wysokich pali; a cały ten szereg budynków, oświetlony miejscami przez chwiejne płomienie, zdawał się sunąć kręto wśród pełgającego blasku w górę rzeki, zanurzać się w mrok, w samo serce łądu. Wielka cisza, wśród której łuny szeregu ognisk igrały bezgłośnie, rozpościerała się w mroku aż do stóp pagórka; lecz drugi brzeg, cały ciemny poza samotnem ogniskiem palącym się nawprost fortu nad rzeką, słał w powietrze potężniejsze wciąż drganie, które brzmiało jak kroki stąpającego tłumu, gwar licznych głosów, lub niezmiernie daleki szum wodospadu.

„Brown wyznał mi, że właśnie w owej chwili gdy siedział zwrócony tyłem do swej bandy, patrząc na to wszystko, że właśnie wówczas — wbrew swej pogardzie dla ludzi i bezwzględnej wierze w samego siebie — doznał uczucia, iż wkońcu uderzył głową o mur z kamienia. Gdyby jego łódź leżała wówczas na wodzie, byłby się pewno starał wymknąć cichaczem, ryzykując długi pościg po rzece i śmierć głodową na morzu. Bardzo jest wątpliwe, czyby mu się

udało uciec. Jednak nie zdecydował się na to. Potem błysnęła mu myśl aby zdobyć szturmem miasto, ale rozumiał bardzo dobrze, że jego oddział znalazłby się wkońcu na oświetlonej ulicy, gdzieby ich wybito jak psy co do nogi, strzelając z domostw. Tych krajowców było przecież dwustu na jednego, rozmyślał; a tymczasem jego ludzie, stłoczeni naokoło dwóch stosów tlejącego się żaru, jedli resztę bananów i piekli trochę jadalnych korzeni, które zawdzięczali dyplomacji Kassima. Cornelius siedział wśród nich, podziewając markotnie.

„Jeden z białych przypomniał sobie nagle, że zostawili w łodzi trochę tytoniu; zachęcony bezkarnością wyspiarza, oświadczył iż zejdzie po ten tytoń. Na to wszyscy otrząsnęli się z przygnębienia. Zapytano o pozwolenie Browna, który rzekł pogardliwie:

„— Idź na złamanie karku.

„Nie sądził, aby zejście do zatoki pociemku było niebezpieczne. Marynarz przerzucił nogę przez pień i zniknął. Po chwili usłyszeli że się wdrapuje do łodzi i że z niej wyłazi. „Mam go!“ krzyknął. Wtem u stóp kopca błysnął i huknął strzał. „Jestem ranny!“ wrzasnął marynarz. „Słyszycie — słyszycie — jestem ranny!“ W mig wypaliły wszystkie strzelby. Wzgórze tryskało ogniem i hukiem jak mały wulkan, a gdy Brown z Jankesem wstrzymali paniczną strzelaninę zapomocą przekleństw i szturchańców, od zatoki przyplynał głęboki, zbolały jęk a potem skarga, której rozdzierający smutek był jak trucizna mroząca krew w żyłach. Nagle gdzieś z drugiej strony zatoki rozległ się silny głos, który wyrzekł kilka słów wyraźnych i niezrozumiałych.

„— Nie strzelać! — krzyknął Brown. — Co to znaczy?

„— Czy słyszycie, wy tam na wzgórzu? Czy słyszycie? Czy słyszycie?“ — powtórzył głos potrzykroć. Cornelius przetłumaczył to i naglił do odpowiedzi.

„— Mów — krzyknął Brown — słuchamy“.

„Wówczas głos, przemawiając dzwięcznym, donośnym tonem herolda i krążąc wciąż po skraju majaczącego ugoru, oświadczył że między mężami bugiskiego ludu, zamieszkującego Patusan, a białymi ludźmi na wzgórzu i ich sprzymierzeńcami — niema zaufania, ani współczucia, ani porozumienia, ani pokoju. Zaszleścił krzak; rozległa się salwa na chybił trafił.

„— Brednie, psiakrew — mruknął ze złością Jankes, opuszczając kolbę na ziemię. Cornelius tłumaczył. „Zabierzcie mię! Zabierzcie mię!“ krzyknął ranny pod wzgórkim, skarżąc się i jęcząc. Póki schodził po zczerniałej ziemi kopca a potem przykucnął w łodzi, był mniej więcej bezpieczny. Prawdopodobnie stracił głowę z radości, znalazłszy tytoń, i wyskoczył z drugiej strony łodzi. Zarysował się wówczas wyraźnie na tle białej burty sterczącej wysoko; zatoczka miała w tem miejscu najwyżej siedem jardów szerokości i zdarzyło się, że po drugiej stronie ukrywał się w gąszczu człowiek.

„Był to Bugis z Tondano przybyły niedawno do Patusanu, krewny człowieka zastrzelonego popołudniu. Sławetny długi strzał Jankesa istotnie wszystkich przeraził. Tamten człowiek został ugodzony wśród zupełnego bezpieczeństwa, w oczach swych przyjaciół i padł z żartem na ustach. Jego ziomkowie uznali to za czyn okrutny; ogarnęła ich gorycz i wściekłość. Krewny zabitego, Si-Lapa, znajdował się wówczas wewnątrz ostrokołu przy Doraminie, oddalony od miejsca wypadku zaledwie o kilka stóp. Pan zgodzi się ze mną,

znając tych ludzi, że Si-Lapa okazał wyjątkową odwagę, ofiarowując się na posła, gdyż musiał wykonać zlecenie samopas, wśród ciemności. Pełzną po otwartej przestrzeni, zboczył na lewo i znalazł się naprzeciw łódki. Zaskoczyły go krzyki bandy brownowskiej. Usiadł, przyłożył strzelbę do ramienia, a gdy biały wyskoczył z łodzi, wystawiając się na strzał, Si-Lapa pociągnął za kurek; ulokował trzy ponacinane loftki w żołądku nieboraka i padł natychmiast na twarz, mając się już za trupa. Drobny grad ołowiu zaszeleścił, siekąc krzaki na prawo tuż koło niego. Zaraz potem Si-Lapa wygłosił donośnie swą przemowę, zgięty w pół, klucząc wśród gąszczu. Z ostatniem słowem uskoczył w bok, leżał nieruchomo przez chwilę i wreszcie dotarł zdrów i cały do częstokołu, zdobywszy owej nocy sławę, której jego dzieci przebrzmieć nie dadzą.

„A tymczasem nieszczęsna banda na kopcu siedziała ze zwieszonymi głowami naokoło dwóch małych kup żaru, którym pozwoliła wygasnąć. Wszyscy ludzie zacisnęli usta w zgnębieniu, spuścili oczy i przysłuchiwali się towarzyszowi tam dole. Był to silny chłop i borykał się ciężko ze śmiercią; jego jęki rozlegały się głośno, lub przechodziły w dziwny, poufny szept bólu. Krzyczał od czasu do czasu, to znów po dłuższej chwili milczenia mamrotał nieprzytomnie długą i niezrozumiałą skargę. Nie było temu końca.

„— I poco? — rzekł Brown niewzruszenie, gdy Jankes, klnąc pocichu, gotował się do zejścia.

„— Racja — przyznał dezertor, odstępując niechętnie od swego zamiaru. — Pocieszenie rannych jest tu nie na miejscu. Tylko że, panie kapitanie, jego krzyki akurat na to są obliczone, żeby wszyscy inni myśleli za wiele o tem, co może nastąpić.

„— Wody! — krzyknął ranny niezwykle wyraźnym, silnym głosem i, jęcząc cicho, stracił przytomność.

„— Aha, wody. Woda to mu da radę — mruknął pod nosem Jankes z rezygnacją. — Wkrótce będzie jej miał dosyta. Przyплыw się zbliża.

„Wreszcie przyплыw uciszył skargi i krzyki bólu, a świt był już za pasem gdy Brown, siedząc z brodą opartą na dłoni nawprost Patusanu, jak przed niedostępnem zboczem góry, usłyszał krótki, dźwięczny szczerk mosiężnej sześćofuntowej armatki gdzieś daleko w osadzie.

„— Co to takiego? — zapytał Corneliusa, który się snuł naokoło. Cornelius nasłuchiwał. Zgłuszony lecz potężny okrzyk potoczył się rzeką na miasto; wielki bęben zaczął dudnić, inne mu odpowiedziały monotonną wibracją. Drobne, rozproszone światełka jeły migotać w mrocznej połowie osady, a część oświetlona przez łuny ognisk brzęczała głębokim, przeciągłym rozgwarem.

„— Wrócił — rzekł Cornelius.

„— Co? Już? Czy pan jest pewien? — spytał Brown.

„— Tak, tak! jestem pewien. Niech pan posłucha jaki tam rwetes.

„— Dlaczego oni tak się drą? — ciągnął Brown.

„— Z radości — zgrzytnął Cornelius; — on jest bardzo wielkim człowiekiem, ale mimo to nie ma więcej oleju w głowie od dziecka, to też wyprawiają wielki harmider żeby mu się przypodobać, bo ich nie stać na nic innego.

„— Słuchajno pan — rzekł Brown — jak się dobrać do niego?

„— On przyjdzie się z panem rozmówić — oświadczył Cornelius.

„— Co też pan mówi? Przyjdzie tu — niby tak, spacerkiem? — Cornelius skinął energicznie głową w ciemności.

„— Tak. Przyjdzie wprost tutaj i będzie z panem mówił. On jest zupełnie jak niespełna rozumu. Pan się przekona, co z niego za dureń. — Brown nie chciał temu wierzyć. — Przekona się pan — powtórzył Cornelius. — On się nie boi niczego — niczego. Przyjdzie tu i rozkaże, żeby pan zostawił jego lud w spokoju. Wszyscy muszą zostawić jego lud w spokoju. On jest jak małe dziecko. Przyjdzie tu wprost do pana. — Niestety! ten nędzny tchórz, jak go Brown nazywał, znał dobrze Jima. — Tak, przyjdzie z całą pewnością — ciągnął zapalczywie Cornelius — a wtedy, kapitanie, każe pan temu wysokiemu mężczyźnie z fuzją, żeby go zastrzelił. Poprostu każe go pan zabić, a wówczas tak się wszyscy przerażą, że będzie pan mógł zrobić z nimi co się panu żywnie spodoba — dostać co pan zapragnie — odejść kiedy pan zechce. Ha, ha, ha! To będzie wspaniałe!... — Nie posiadał się z niecierpliwości i zapału, a Brown, spoglądając na niego przez ramię, widział w bezlitosnym świetle swych ludzi przemokłych od rosy, siedzących wśród zimnych popiołów i śmieci, wynędzniałych, przełękłych, okrytych łachmanami.

R o z d z i a ł X L I

„Ogniska na zachodnim brzegu gorzały płomieniem aż do ostatniej chwili, kiedy jasny dzień zjawił się jednym skokiem; a wówczas Brown ujrzał w grupie barwnych postaci, stojących nieruchomo wśród najbliższych domów, człowieka w białym europejskim ubraniu i korkowym hełmie.

„— To on! Widzi pan, widzi pan? — zawołał podniecony Cornelius.

„Wszyscy ludzie Browna zerwali się i stłoczyli za jego plecami, patrząc tępym wzrokiem. Grupa barwnych postaci o ciemnych obliczach, z biało odzianym człowiekiem pośrodku, obserwowała kopiec. Brown widział jak się nagie ramiona podnosiły, ocieniając oczy, jak inne brunatne ramiona coś wskazywały. Co miał począć? Rozejrzał się; lasy otaczające go ze wszystkich stron okręzały murem arenę nierównej walki. Spojrzał znów na swych ludzi. Pogarda, wyczerpanie, żądza życia, pragnienie aby zmierzyć się jeszcze raz z losem — położyć się w innym grobie — kotłowały się w jego piersi. Brown miał wrażenie, patrząc na zarys białej postaci, że ten człowiek, poparty przez wszystkie siły kraju, ogląda jego pozycję przez lornetkę. Brown wskoczył na kłodę, wyrzucając w górę ramiona dłońmi nazewnątrż. Barwna grupa zamknęła się naokoło białego i cofnęła przed nim dwa razy, nim się znowu pokazał i ruszył naprzód samotnie. Brown stał ciągle

na kłodzie, póki Jim, ukazując się i niknąc między plamami ciernistych zarośli, nie dotarł prawie do samej zatoki; wówczas Brown zeskoczył i zeszedł powoli ze wzgórza aby się z nim spotkać, stojąc na drugim brzegu.

„Spotkali się, jak sędzę, niezbyt daleko od miejsca — może na tem samem miejscu — skąd Jim wziął rozpęd do drugiego rozpaczliwego skoku w swem życiu — skoku, dzięki któremu znalazł się w sercu Patusanu, otoczony wiarą, miłością, zaufaniem tego ludu. Patrzyli na siebie obaj poprzez zatokę i spokojnym wzrokiem usiłowali jeden drugiego przeniknąć, zanim otworzą usta. Antagonizm ich przejawiał się zapewne w spojrzeniach; wiem, że Brown znieawidził Jima od pierwszej chwili. Wszelkie nadzieje, które mógł żywić, rozwiały się natychmiast. To nie był człowiek, jakiego spodziewał się ujrzeć. Nienawidził go za to; i stojąc przed nim w kraciastej flanelowej koszuli o rękawach obciętych u łokcia, siwobrody, z zapadłą, poczerniałą od słońca twarzą — przeklinał w duchu młodość i pewność siebie tamtego, jego jasne spojrzenie i spokój. Ten biały dawno się tu już zagnieździł! Nie wyglądał na człowieka, któryby był skłonny rzec się czegoś wzamian za poparcie. Miał w ręku wszystkie atuty — władzę, bezpieczeństwo, potęgę; stał po stronie przygniatającej siły! Nie był głodny ani zrozpaczony i nie wyglądał ani trochę na zalęknionego. A przytem w samej schludności jego ubioru — od białego hełmu do płóciennych kamaszy i białych trzewików — tkwiło coś, co w posępnych, gniewnych oczach Browna zdawało się uosabiać wszystko, czem już w zaraniu życia pogardzał i z czego szydził.

„— Kim pan jest? — spytał wreszcie Jim zwykłym swym tonem.

„— Nazywam się Brown — odrzekł tamten głośno; — kapitan Brown. A jak pan się nazywa? — Po chwili milczenia Jim mówił dalej spokojnie, jakby nie słyszał tego pytania:

„— Co pana tutaj przywiodło?

„— Pan chce to wiedzieć — rzekł gorzko Brown. — Łatwo mi dać odpowiedź. Głód. A co pana tu sprowadziło?

„— Drgnął na to — rzekł Brown, opowiadając mi początek tej dziwnej rozmowy między dwoma ludźmi; przedzielało ich tylko błotniste łożysko zatoczki, choć stali na przeciwległych biegunach, jeśli chodzi o stosunek do życia i ludzkości. — Drgnął na to — ciągnął Brown — i oblał się krwią. Znajdował pewno że jest zbyt wielki, aby odpowiadać na pytania. Oświadczyłem, że jeśli mię uważa za martwego człowieka, z którym można sobie na wszystko pozwalać, to on sam nie jest wcale w lepszym położeniu. Jeden z moich ludzi trzyma go ciągle na celu i tylko czeka na mój znak. „Niech pan się tem nie gorszy“ — rzekłem. „Przyszedł pan z własnej woli. Zgódźmy się na to, żeśmy obaj martwi ludzie i na tej podstawie rozmawiajmy jak równy z równym. Jesteśmy wszyscy równi wobec śmierci“. Przyznałem, że się znalazłem jak szczur w pułapce, ale zapędzono mię siłą na ten kopiec, a nawet schwytny szczur może ugryźć. Odciał mi się natychmiast: „To też nie trzeba się zbliżać do pułapki, póki szczur jest żywy“. Odparłem, że tego rodzaju igraszki byłyby godne jego przyjaciół krajowców; sądzę jednak iż on, człowiek biały, nie postąpiłby tak nawet ze szczurem. Nie zaprzeczam że chciałem z nim mówić. Ale nie poto aby żebrać o życie. Co się tyczy moich ludzi, są to... no, jacy są, tacy są — a w każdym razie

to ludzie jak i on sam. Żądamy tylko jednego: zacząć walkę i już raz skończyć z tem wszystkim. „Do diabła ciężkiego“ — rzekłem, podczas gdy stał tam bez ruchu jak wryty — „chyba pan nie zamierza codzień tu z lornetką przychodzić i liczyć, ilu z nas trzyma się jeszcze na nogach. Więc dalej! Albo niech pan naprowadzi na nas swoją psiakrew bandę, albo niech pan nas wypuści i pozwoli nam zamrzeć z głodu na pełnem morzu. Na Boga! Pan był przecież niegdyś białym człowiekiem, mimo swej napuszonej gadaniny, że to jest pański lud i że pan z nim jedno stanowi. Czyżby tak było naprawdę? Co pan u czorta ma za to — co pan tu znalazł tak wściekle cennego? No? A może pan nie chce, abyśmy zeszli tam do was? Jest was dwustu na jednego. Więc pan sobie nie życzy, żebyśmy tam zeszli na otwarte pole. Oho! obiecuję panu, że damy wam szkołę, nim załatwicie się z nami. Pan mi zawraca głowę, że napadliśmy jak tchórze na niewinnych ludzi. Co mnie to obchodzi, czy są niewinni czy nie, kiedy ja wskutek głupstwa ginę z głodu? Ale tchórzem nie jestem. Niech i pan tchórzem nie będzie. Dawaj tu pan swoich ludzi, bo inaczej — klnę się na piekło — potrafimy jeszcze posłać z dymem do nieba pół tego niewinnego miasta — razem z nami!

„Był straszny, opowiadając to wszystko — ten storturowany ludzki szkielet, skurczony na nędznym barłogu w marnej szopie; dźwignął głowę opartą o kolana, aby spojrzeć na mnie ze złośliwym tryumfem.

„— Tak mu powiedziałem — ja czułem dobrze co mam powiedzieć — zaczął znów, bardzo cicho z początku, lecz podniecił się niewiarygodnie szybko i opowiadał dalej z namiętą pogardą: — Nie myślimy uciekać do lasu, żeby się włóczyć jak banda żywych

szkieletów i padać jeden za drugim na żer dla mrówek, nim ostatni dech z nas wyjdzie. Ani nam się śni! „Nie zasługujecie na nic lepszego“, rzekł na to. A na co pan zasługuje — krzyknąłem — pan, który siedzi tu przyczajony i gardłuje o swoich psiamać obowiązkach i odpowiedzialności za niewinnych ludzi? Co pan wie o mnie więcej niż ja o panu? Przybyłem tutaj po żywność. Słyszysz pan? po żywność, żeby napęłnić nasze brzuchy. A co pana tu sprowadziło? Czego pan szukał, przybywając tutaj? Żądamy tylko jednego: niech pan nam da sposobność do walki, albo niech pan nas puści z powrotem tam, skądśmy przyszli. — „Chętniebym się bił z wami zaraz“ — powiada, szarpiąc swój mały wąsik. — A jabyłem z przyjemnością pozwolił się panu zastrzelić — mówię. — Mogę równie dobrze zdechnąć tu jak gdzieindziej. Mam już swego pecha po uszy. Ale toby było zbyt łatwe. Moi ludzie są tu razem ze mną — i na Boga, nie taki ze mnie człowiek, żeby wziąć nogi za pas i zostawić ich w piekielnych opałach. — Stał, rozmyślając i po chwili spytał, co ja takiego zrobiłem („tam“, dodał, pokazawszy głową wdół rzeki), że mię tak prześladują? — Czyśmy się po to spotkali, aby rozpowiadać jeden drugiemu historję swego życia? — zapytałem. — A możeby tak pan zaczął? Co? zapewniłem pana, że nie mam najmniejszej ochoty słuchać. Może pan zatrzymać swoją historję dla siebie. Wiem, że nie jest lepsza od mojej. Żyłem — i pan żył także, choć pan gada jakby pan był jednym z tych ludzi, którym skrzydła powinny wyrosnąć, żeby krążyli, nie dotykając brudnej ziemi. Tak — ziemia jest brudna. A ja skrzydeł nie mam. Jestem tutaj, ponieważ się zląkłem raz w życiu. Chce pan wiedzieć czego? Więzienia. Oto co mnie przeraża i może pan sobie to wiedzieć —

jeśli się to panu: na coś przyda. Nie będę pytał, jaki strach zapędził pana do tej parszywej dziury, gdzie jak się zdaje znalazł pan wcale niezłe łupy. Tamto było pańskie szczęście, a to jest moje: przywilej błagania o łaskę, żeby pan mię prędko zastrzelił, albo żeby mię pan wyrzucił na zbity łeb na swobodę, gdzie będzie mi wolno umrzeć z głodu.

„Wycieńczone ciało Browna trzęsło się w tak gwałtownym paroksyzmie pychy i złości, iż — rzekłbyś — odpędziło to śmierć czekającą na niego w tej chacie. Upiór jego obłąkanej miłości własnej dźwignął się z łachmanów i nędzy, jak z mrocznej ohydy grobu. Niepodobna orzec, do jakiego stopnia kłamał wówczas przed Jimem, do jakiego stopnia kłamał teraz przede mną i zawsze — przed samym sobą. Próżność płata dziwaczne figle naszej pamięci, a prawda każdej namiętności potrzebuje jakiegoś bodźca żeby się uzewnętrznić. Stojąc u wrót tamtego świata w żebrackiem odzieniu, Brown spoliczkował nasz świat, plunął nań, rzucił w niego nieskończoną pogardą i buntem, które tkwiły na dnie jego złych czynów. Zwyciężył wszystkich — mężczyzn, kobiety, dzikich, misjonarzy, kupców, zbójów — i Jima — „tego błazna o czerwonej twarzy“. Nie zazdrościłem mu triumfu *in articulo mortis*, tej prawie pośmiertnej iluzji, że podeptał cały świat. Gdy się tak chełpił przede mną podczas swej plugawej, odrażającej agonji, przypomniało mi się mimowoli, jak go brano na języki w dniach największej jego świetności. Wówczas to przez rok lub więcej widywało się dzień w dzień statek Gentlemana Browna, krążący koło wysepki udrapowanej w zieleń na tle lazuru, z ciemną plamką misyjnego domu wśród białej plaży; na wybrzeżu zaś Gentleman Brown roztaczał swe czary

przed młodą, romantyczną pastorową — którą Melanezja wytrąciła z równowagi — i łudził pastora nadzieją, że się nawróci. Słyszano kiedyś jak biedny misjonarz opowiadał, iż chciałby naprowadzić „kapitana Browna na drogę lepszego życia“. — „Porwać Gentlemana Browna do nieba — wyraził się raz pewien chytrooki łazęga z wybrzeża — aby im pokazać tam w górze, jak wygląda kapitan marynarki handlowej z zachodniego Pacyfiku“. — Więc to był ten sam człowiek, który uprowadził dogorywającą kobietę i wylewał łzy nad jej ciałem! — „Zachowywał się poprostu jak smarkacz — opowiadał na prawo i lewo jego ówczesny pierwszy oficer — a niech mię nędzni Kanacy zatłuką na śmierć, jeśli wiem co mu przyszło z tego porwania. Moi panowie, przecież z nią było już tak kiepsko, kiedy ją przywiózł na statek, że go nie poznawała; leżała tylko nawznak w swojej koi i patrzyła w sufit strasznie błyszczącemi oczami — a potem umarła. Nic innego, tylko jakaś paskudna febra...“

„Przypominałem sobie te wszystkie historie, a Brown przesuwiał siną rękę po skołtunionej brodzie, leżąc na cuchnącym tapczanie, i opowiadał mi, jak objechał, jak nabrał, jak wykończył tego psiakrew niepokalanego kpa, co nos do góry zadzierał. Przyznawał sam, że zastraszyć się Jima nie dało, lecz — mówił — „znalazłem drogę szeroką jak szosa, po której dobrałem się do niego — i szarpałem, i targałem jego marną duszą na wszystkie strony — jak Bóg na niebie!“

R o z d z i a ł XLII

„Sądę, że conajwyżej mógł tylko spojrzeć na tę prostą drogę. To, co ujrzał, wydało mu się snąc zagadkowe, bo nie raz i nie dwa przerywał opowiadanie aby wykrzyknąć: „O mało wówczas z rąk mi się nie wysliznął. Nie mogłem go spenetrować. Kim on był?“ I spojrzawszy na mnie błędniemi oczami, ciągnął dalej, wykrzykując tryumfalnie i szydząc z Jima. A mnie wydaje się teraz, że rozmowa tych dwóch ludzi poprzez zatokę była najbardziej śmiertelnym z pojedynków, na które Los kiedy spoglądał zimnym wzrokiem, wiedząc, jaki koniec nastąpi. Nie, Brown nie zdołał zatargać duszą Jima, lecz — chyba że bardzo się mylę — potrafił zmusić tego człowieka, będącego zupełnie poza jego władzą, aby wysączył aż do dna gorzyc tej walki. Tacy oto wysłańcy świata — którego Jim się wyrzekł — ścigali go, docierając aż do jego kryjówki; biali ludzie „stamtąd“, gdzie żyć nie chciał, uważając że jest tego niegodzien. Oto wszystko co dotarło do Jima — groźba, wstrząs, niebezpieczeństwo dla jego dzieła. Zdaje mi się, że właśnie smutna świadomość tego — nawpół żal a nawpół rezygnacja — przebijająca z niewielu słów wypowiedzianych przez Jima, utrudniała tak bardzo Brownowi przeniknięcie jego charakteru. Niejeden z wielkich ludzi zawdzięcza swą wielkość głównie temu, że umie odkryć w jednostkach, których chce użyć za narzędzie, taką właśnie

się, jaka jest potrzebna dla wyznaczonego im zadania; a Brown, jakby naprawdę był wielki, miał szatański dar wyczucia najbardziej dodatnich i najsłabszych stron w swych ofiarach. Przyznał mi, że Jim nie należał do ludzi dających się ujeździć pochlebstwem i zgodnie z tem postarał mu się przedstawić jako człowiek, który stawia nieustraszenie czoło pechowi, naganom i klęsce. Dowodził że przemycenie kilku strzelb nie było wielką zbrodnią. A jeśli chodzi o przybycie Browna do Patusanu, to kto ma prawo powiedzieć, że nie zamierzał prosić o żywność? Te djabły wcielone przyjęły ich odrazu ogniem z obu brzegów, nie myśląc nawet o nic pytać. Brown wysunął ten argument z najwyższą czelnością, bo w gruncie rzeczy sprężysta akcja Daina zapobiegła wielkim klęskom; Brown mówił mi wyraźnie, że spostrzegłszy, jak wielką jest osada, postanowił odrazu podpalić ją z obu końców natychmiast po wylądowaniu i strzelać do każdego kto się tylko nawinie, aby ludność przerazić i steroryzować. Dowodził, wstrząsany atakiem kaszlu, że wobec tak wielkiej nierówności sił była to jedyna droga, która dawała jaką taką możliwość dobrnięcia do celu. Ale Jimowi tego nie powiedział. Co się tyczy głodu i niewygód, przez które przeszli, wszystko to było prawdziwe; wystarczało spojrzeć na bandę Browna. Na ostry świst gwizdawki ukazali się wszyscy jego ludzie, stanąwszy rzędem na kłodach, tak że Jim mógł ich zobaczyć. Jeśli zaś chodzi o zabicie tamtego człowieka — no tak, zabili go, to jest prawda, ale czyż nie prowadzą wojny, krwawej wojny, czyż nie przyparto ich do muru? A przytem ów człowiek został zabity jak się patrzy — dostał strzał przez piersi — nie jak ten nieborak leżący teraz w zatoce. Przez sześć godzin

musieli słuchać, jak umierał z wnętrznościami poszarpanemi przez loftki. W każdym razie było to tylko życie za życie... Brown mówił do Jima ze znużeniem i niedbałością, niby człowiek, którego zły los ścigał bez wytchnienia, aż wreszcie wszystko stało mu się obojętne. Gdy zapytał z pewnego rodzaju szorstką, rozpaczliwą otwartością, czy on, Jim — znajdujący się teraz na prostej drodze — nie rozumie, że „jak przyjdzie ratować chyłkiem życie, wszystko jedno człowiekowi ilu się na tamten świat przespaceruje, trzech, trzydziestu czy trzystu“ — gdy o to pytał, zdawało się że demon szeptuje mu rady do ucha.

„— Wzdrygnął się na to — chwalił się Brown przede mną. — Bardzo prędko przestał odgrywać rolę sprawiedliwego. Stał tam, zapomniawszy języka w gębie i patrzył, ponury jak noc — nie na mnie, tylko w ziemię“. — Brown wypytywał dalej, czyżby Jim nic nie miał sam na sumieniu, że taki okropnie jest twardy dla człowieka, usiłującego się wydostać ze śmiertelnej pułapki w pierwszy lepszy dostępny mu sposób — i tak dalej, i tak dalej. A przez wszystkie te szorstkie słowa przewijała się nić subtelnych aluzyj do ich wspólnej krwi i domniemanych jednakowych przeżyć — wstrętne napomknienia o wspólnej winie, o jakichś tajnych wspomnieniach, które miały jednoczyć ich serca i umysły.

„W końcu Brown rzucił się na ziemię jak długi i śledził Jima z pod oka. A Jim stał i rozmyślał po swojej stronie zatoki, uderzając prętem o nogę. Domy jak okiem sięgnąć były ciche, rzekłbyś pomór wymiółł wszelkie tchnienie życia; lecz z wnętrza ich wiele niewidzialnych oczu patrzyło na dwóch ludzi przedzielonych zatoką, na łódź osiadłą u brzegu i ciało

trzeciego człowieka nawpół zanurzone w błocie. Po rzece krążyły znów czółna, gdyż Patusan odzyskiwał wiarę w stałość ziemskich instytucyj od powrotu swego białego pana. Prawy brzeg, tarasy domów, tratwy przycumowane wzdłuż brzegu, nawet dachy szop kąpielowych były pokryte ludźmi, którzy — znajdując się poza zasięgiem słuchu i prawie że wzroku — wyteżali oczy ku pagórkowi za ostrokołem radży. Cisza panowała wewnątrz rozległego, nieforemnego pierścienia lasów, który był przecięty w dwóch miejscach przez blask rzeki.

„— Czy pan przyrzeknie stąd wyjechać? — zapytał Jim. Brown podniósł i opuścił rękę, jakby rezygnował ze wszystkiego i zgadzał się na nieuniknione. — I wydać broń? — ciągnął dalej Jim. Na to Brown usiadł i wlepił w niego oczy poprzez zatokę.

„— Wydać broń? Chyba że przyjdziecie ją wyjąć z naszych zeszywniałych rąk. Myśli pan że dostałem bzika ze strachu? O nie! Broń i łachmany, które mam na sobie, oto cały mój majątek, poza paru strzelbami na statku; zamierzam sprzedać to wszystko na Madagaskarze, jeśli będę mógł dotrzeć tak daleko — zebrząc po drodze od statku do statku.

„Jim nic na to nie odpowiedział. Wreszcie, odrzucając pręt, który trzymał w ręku, rzekł jakby do siebie:

„— Nie wiem czy będę miał siłę...

„— Pan nie wie! A przed chwilą żądał pan, abym wydał broń! To wcale niezłe — krzyknął Brown. — Co będzie, jeśli powiedzą panu tak i tak, a postąpią ze mną zupełnie inaczej? — Opanował się z wysiłkiem. — Chyba pan ma jednak władzę, bo inaczej cóżby znaczyła ta cała rozmowa? — mówił dalej. — Pocóż pan tu przyszedł? Dla zabicia czasu?

„— Dobrze — rzekł Jim, podnosząc nagle głowę po długim milczeniu. — Będzie pan miał albo wolną drogę, albo otwartą bitwę. — Zawrócił na pięcie i odszedł.

„Brown wstał natychmiast, ale nie wdrapał się na kopiec, póki nie zobaczył Jima znikającego między najbliższymi domami. Nigdy go już więcej nie widział na oczy. W drodze powrotnej spotkał Corneliusa, gramolącego się nadół z głową wsuniętą w ramiona. Metys zatrzymał się przed Brownem.

„— Dlaczego pan go nie zabił? — spytał cierpko z niechęcią.

„— Bo lepiej sobie z nim poradziłem — rzekł Brown, uśmiechając się wesoło.

„— Nie wierzę! — zapewnił energicznie Cornelius. — To niemożliwe. Mieszkam tu od tylu lat. — Brown popatrzył na niego z ciekawością. Życie tego kraju, uzbrojonego przeciw niemu, było skomplikowane; czuł, że wielu rzeczy nigdy zapewne nie przeniknie. Zgnębiony Cornelius przesunął się chyłkiem koło Browna, dążąc w stronę rzeki. Opuszczał swych nowych przyjaciół; zniósł jeszcze jeden zawód ze zgryźliwym uporem, od którego jego starcza, żółta twarzyczka jakby się jeszcze bardziej skurczyła; schodząc, rzucał tu i tam ukośne spojrzenia, nie wyrzekając się bynajmniej myśli, którą był opętany.

„Odtąd wypadki toczą się szybko bez przerwy, wypływając z głębi ludzkich serc jak strumień z mrocznego źródła; widzimy na ich fali Jima — głównie oczami Tamb' Itama. Oczy dziewczyny śledziły go także, lecz życie jej było zbyt blisko z jego życiem splecione; trzeba tu wziąć pod uwagę jej namiętność, zdumienie, gniew, a przedewszystkiem strach i miłość

nie umiejącą przebaczyć. Jeśli chodzi o Tamb' Itama — który nie rozumiał nic z tego co zaszło, tak jak i wszyscy — tylko jego wierność w grę wchodzi; wierność i wiara w swego pana tak silna, że nawet zdumienie Tamb' Itama przechodzi w pełne smutku poddanie się tajemniczej klęsce. Tamb' Itam ma oczy tylko dla jednej postaci i wśród swego oszołomienia zachowuje się jak opiekun pełen czujności i posłuszeństwa.

„Jego pan wracał po rozmowie z białym, idąc zwolna ulicą ku ostrokołowi. Wszyscy się radowali, że go znów widzą między sobą, bo w czasie jego nieobecności każdy się lękał nietylko o jego życie; obawiano się również i tego, coby nastąpiło gdyby Jim został zabity. Wszedł do jednego z domów, gdzie przebywał stary Doramin; biały tuan pozostał tam długi czas sam na sam z głową bugiskich osadników. Niema wątpliwości że rozprawiali o tem, jak pokierować biegiem wypadków, lecz żaden mąż nie był obecny przy tej rozmowie. Tamb' Itam, trzymając się tak blisko drzwi jak tylko się dało, usłyszał że jego pan mówił: „Dobrze. Powiadomię wszystkich, iż takim jest moje życzenie; lecz chciałem mówić z tobą, Doraminie, sam na sam i przed innymi, albowiem znasz moje serce równie dobrze, jak ja znam twoje i wiem czego pragniesz najbardziej. A przytem zdajesz sobie sprawę, że nie mam nic innego na myśli prócz dobra ludu“. Pan Tamb' Itama ukazał się we drzwiach, podniósłszy zasłonę; wierny sługa ujrzał przelotnie starego Doramina, który siedział na krześle z rękami na kolanach i patrzył w ziemię u swych stóp. Potem Tamb' Itam poszedł za tuanem do fortu, dokąd cała starszyzna bugiska i mieszkańcy Patusanu zostali we-

zwani na naradę. Tamb' Itam pragnął bitwy. „Prze-
cież byłoby to tylko zdobycie drugiego wzgórza!“
zawołał do mnie z żalem. Jednak w mieście wielu
ludzi miało nadzieję, że widok tylu odważnych mężów,
gotujących się do boju, spowoduje odwrót chciwych
cudzoziemców. Byłoby to bardzo pomyślne. Odkąd
przybycie Jima zostało oznajmione o brzasku przez
wystrzał armatni z fortu i bicie w wielki bęben, strach
wiszący nad Patusanem załamał się i ustąpił niby
fala, która odpływa od skały, zostawiając kipiącą pianę
podniecenia, ciekawości i przewidywań bez końca. Po-
łowa mieszkańców została wysiedlona z domów dla
celów obronnych i obozowała na ulicy z lewej strony
rzeki, skupiona naokoło fortu, spodziewając się że lada
chwila opuszczone siedziby na zagrożonym brzegu
buchną płomieniem. Wszyscy pragnęli gorąco jaknaj-
prędszego rozstrzygnięcia sprawy. Za staraniem dziew-
czyny rozdano żywność między uciekinierów. Nikt nie
wiedział, co biały tuan zrobi. Niektórzy utrzymywali,
że położenie jest niebezpieczniejsze niż za czasów
wojny z Szeryfem Alim. Wówczas wielu ludzi nie
dbało o nic, a teraz każdy miał coś do stracenia.
Śledzono z ciekawością ruchy czółen, krążących między
obiema częściami miasta. Parę bugiskich łodzi wojen-
nych leżało na kotwicy w środku łożyska, strzegąc
rzeki; nić dymu unosiła się nad ich dziobami; załogi
gotowały ryż na południowy posiłek, gdy Jim, po
rozmowach z Brownem i Doraminem, przeprowił się
przez rzekę i wszedł do fortu wrotami od strony rzeki.
Ludzie wewnątrz ostrokołu otoczyli go tłumnie, tak
że z trudnością torował sobie drogę ku domowi. Nie
widziano go od jego powrotu, bo w ciągu nocy za-
mienił tylko kilka słów z dziewczyną — która zesła

do rzeki zaraz po jego wylądowaniu i natychmiast udał się do starszyny oraz zbrojnych mężów na drugim brzegu.

„Lud witał go okrzykami. Jakaś stara kobieta wzbudziła ogólny śmiech; przedarła się przez tłum jak szalona i gniewnym głosem wezwała Jima do pilnowania jej dwóch synów (byli obaj przy Doraminie), aby im zbóje nic złego nie wyrządzili. Kilku z pomiędzy obecnych starało się ją odciągnąć, ale wyrывała się im, krzycząc: „Puśćcie mnie! Cóż to ma znaczyć? Wasz śmiech jest nieprzystojny. Przecież to okrutni, krwiożerczy zbóje, łaknący morderstw!“

„— Puśćcie ją — rzekł Jim, a gdy cisza nagle zapadła, rzekł zwolna: — Nikomu nic się nie stanie. — Wszedł do domu, zanim przebrzmiało wielkie westchnienie ulgi i głośne pomruki radości.

„Było jasne, że Jim postanowił dać Brownowi wolną drogę do morza. Zbuntowany los Jima nim zawładnął. Biały tuan musiał po raz pierwszy przeciwstawić swą wolę jawnej opozycji.

„— Mówiono dużo podczas obrad, a mój pan milczał z początku — rzekł Tamb' Itam. — Nastął mrok i wówczas zapaliłem świece na długim stole. Wodzowie siedzieli po obu stronach, a pani stała po prawej ręce tuana.

„Gdy Jim zaczął mówić, przewycięzanie oporu — do którego nie był przyzwyczajony — zdawało się umacniać go jeszcze niezłomniej w raz powziętej decyzji. Oświadczył, że biali oczekują odpowiedzi tam na wzgórze. Ich wódz mówił do Jima w języku swego ludu i wyjaśnił wiele rzeczy, trudnych do przetłumaczenia na inną mowę. Ci ludzie zbłądzili; cierpienie uczyniło ich ślepyimi na różnicę między dobrem a złem.

To prawda, że jest już kilka ofiar, lecz poco narażać się na dalsze straty? Jim oświadczył swym słuchaczom, zgromadzonej starszyźnie, że ich dobro jest jego dobrem, ich straty jego stratami, ich żałoba jego żałobą. Rozejrzał się wkoło po zasłuchanych, poważnych twarzach i przypomniał, że nie od dziś walczą i pracują ramię w ramię. Odwaga Jima jest im znana... Przerwał mu pogwar obecnych... I wiedzą że nie oszukał ich nigdy. Mieszkają z nim przez długie lata. Jim kocha ten kraj i jego lud bardzo wielką miłością. Gotów jest odpowiadać własnem życiem za każdą krzywdę, któraby mogła ich spotkać, gdyby pozwolili się wycofać brodatym białym ludziom. Są to złoczyńcy, ale i los był dla nich okrutny. Czy Jim udzielił kiedy Bugisom złej rady? Czy jego słowa kiedykolwiek sprowadziły na lud cierpienie? zapytał. Uważa że będzie najlepiej, jeśli pozwolą odjechać białym rabusiom i ich sługom — jeśli im pozwolą ujść z życiem. Niewielki to będzie dar.

„— Ja, któregoście wypróbowali, który dotrzymałem wam zawsze wierności, proszę was, aby ich puścić wolno. Zwrócił się do Doramina. Stary *nakhoda* ani drgnął. — Zatem — rzekł Jim — wezwij Daina Warisa, twego syna a mojego przyjaciela, bo ja w tym boju dowodzić nie będę.

R o z d z i a ł XLIII

„Tamb' Itamowi, stojącemu za krzesłem Jima, wydało się że piorun w niego uderzył. Słowa Jima wywarły olbrzymie wrażenie. „Puśćcie ich, tak będzie najlepiej według mojego zdania, które jeszcze nigdy was nie zawiodło“ — nalegał Jim. Wszyscy zamilkli. Wśród mroku dziedzińca słychać było stłumiony gwar i dreptanie tłumu. Doramin podniósł ciężką głowę i wyrzekł, że wprawdzie czytać w sercach równie jest trudno jak dotknąć ręką nieba, ale... zgadza się. Inni wypowiadali kolejno swe zdanie. „To najlepszy sposób“ — „Puścić ich wolno“ — i tak dalej. Ale większość obecnych rzekła poprostu, że „ufają tuanowi Jimowi“.

„W tym prostym sposobie poddania się jego woli tkwi rdzeń sytuacji: ich wiara, jego prawość — a także świadectwo tej lojalności Jima, stawiającej go we własnych oczach na poziomie nieskazitelnych ludzi, co nigdy nie opuścili szeregu. Słowa Steina: „To romantyk! romantyk!“ zdają się dźwięczeć nad tamtym krajem, który już nigdy nie zwróci Jima światu — obojętnemu na jego upadki i cnoty — nie zwróci go owej namiętnej, niewyczerpanej miłości, co mu odmówiła ofiary z łez, ogłuszona wielkim bólem i wiecznym rozstaniem. Od chwili gdy kryształowa prawość Jima — w ciągu ostatnich trzech lat jego życia — pokonała zwyczajną ludzką ciemnotę, bojaźń i gniew,

Jim już mi się nie ukazuje tak jak go widziałem po raz ostatni — nakształt białej plamki, chłonącej całe światło pozostałe na mrocznym brzegu i pociemniałem morzu; wydaje mi się większy i bardziej żaloszny w osamotnieniu swego ducha, który nawet dla tej, co go kochała najgłębiej, pozostał okrutną i niezgłębianą tajemnicą.

„Jim ufał widać Brownowi; nie miał powodu nie wierzyć jego opowieści, której prawdę zdawała się stwierdzać szorstka otwartość, pewien rodzaj męskiej szczerości, z jaką Brown brał na siebie odpowiedzialność za swe postęпки i ich skutki. Ale Jim nie znał niepojętego wprost egotyzmu Browna; nie wiedział, że tego człowieka ogarniało poprostu szaleństwo, gdy napotykał na opór przeciwstawiający się jego woli; Brown szalał wówczas z oburzenia i mściwej wściekłości, jak zawiedziony autokrata. Lecz chociaż Jim brał słowa Browna za dobrą monetę, bał się widać, aby nie zaszło jakieś nieporozumienie, mogące zagrażać starciem i rozlewem krwi. Dlatego też, natychmiast po odejściu malajskiej starszyny, poprosił żeby dziewczyna dała mu coś do zjedzenia, bo ma zamiar opuścić fort i objąć dowództwo w mieście. Gdy się opierała temu ze względu na jego zmęczenie, odrzekł, że mogłoby się coś wydarzyć, czegoby potem nigdy sobie nie darował.

„— Jestem odpowiedzialny za życie każdego człowieka w tym kraju — rzekł. Z początku był posępny; dziewczyna usługiwała mu, biorąc od Tamb' Itama talerze i półmiski (z serwisu ofiarowanego przez Steina). Po jakimś czasie twarz Jima się rozjaśniła; powiedział dziewczynie, że pozostawi jej dowództwo fortu jeszcze na jedną noc. — Niema dla nas snu, kochanie —

rzekł — póki nasz lud jest w niebezpieczeństwie. — Później dodał żartobliwie, że ona jest najmężniejsza ze wszystkich. — Gdybyście oboje z Dainem Warisem przeprowadzili to, coście chcieli, ani jeden z tych biedaków nie żyłby już dzisiaj.

„— Czy oni są bardzo źli? — zapytała, opierając się o jego krzesło.

„— Ludzie czasem źle postępują, choć nie są wiele gorsi od innych — rzekł po chwili wahania.

„Tamb' Itam szedł za swym panem aż do przystani u fortu. Noc była jasna lecz bezksiężycowa i środek rzeki zalegały ciemności, lecz woda u obu brzegów odbijała blask licznych ognisk, „jakby w noc Ramadanu“, wyraził się Tamb' Itam. Łodzie wojenne sunęły cicho mrocznym szlakiem, lub leżały na kotwicy wśród głośnego plusku. Tej nocy Tamb' Itam miał dużo do roboty, wiosłując lub chodząc za swym panem tam i z powrotem po ulicy wśród palących się ognisk, a także i dalej na skraju miasta, gdzie niewielkie oddziały stały w polu na warcie. Tuan Jim wydawał rozkazy, które wykonywano natychmiast. Naostatku udali się do ostrokołu radży, obsadzonego tej nocy przez ludzi Jima. Stary radża uciekł wczesnym rankiem, z większą częścią swych kobiet, do małego domku niedaleko wsi, położonej wśród dżungli nad jednym z dopływów rzeki. Kassim, który został w Patusanie, był obecny na obradach i z miną pełną gorliwości wyjaśniał swe zabiegi dyplomatyczne z dnia poprzedniego. Traktowano go bardzo ozięble, ale to go nie pozbawiło uśmiechniętego, spokojnego ożywienia; oświadczył że jest zachwycony, gdy Jim powiedział mu ostro, iż zamierza tej nocy obsadzić ostrokół radży własnymi ludźmi. Po zakończeniu obrad widziano

Kassima, jak przed domem zaczepiał to tego, to owego z rozchodzącej się starszyny i rozpowiadał głośno zadowolonym tonem, że mienie radży będzie zabezpieczone w czasie jego nieobecności.

„Okolo dziesiątej ludzie Jima weszli do ostrokołu, który górował nad ujściem zatoki. Jim zamierzał tam pozostać, póki Brown nie przejedzie. Rozpalono niewielkie ognisko na płaskim, porośłym trawą przyładku przed ścianą z bali, gdzie Tamb' Itam ustawił małe, składane krzeselko dla swego pana. Jim przykazał Malajowi, aby spróbował się przespać. Tamb' Itam przyniósł matę i położył się niedaleko, ale spać nie mógł, choć wiedział że musi się udać w drogę z ważną misją, nim noc upłynie. Jego pan chodził tam i napowrót ze spuszczoną głową i rękami splecionymi na plecach. Twarz jego była smutna. Gdy pan się zbliżał do Tamb' Itama, ten udawał że śpi, nie chcąc, aby pan wiedział iż wierny sługa go obserwuje. Wreszcie pan zatrzymał się przy nim, popatrzył na niego i rzekł pocichu: „Już czas“.

„Tamb' Itam wstał natychmiast i zaczął się zbierać. Miał wyruszyć ze zleceniem wdół rzeki, wyprzedzając łódź Browna o godzinę lub więcej, aby zawiadomić urzędowo Daina Warisa, iż pozwolono ostatecznie białym przejechać swobodnie i że ich zaczepiać nie trzeba. Jim nie chciał nikomu innemu powierzyć tego zlecenia. Przed wyruszeniem Tamb' Itam poprosił o dowód raczej ze względów formalnych, gdyż dzięki swemu stanowisku przy Jimie był ogólnie znany.

„— Zlecenie jest ważne, o tuanie, przecież mam zanieść twe własne słowa. — Pan włożył rękę naprzód do jednej kieszeni, potem do drugiej i wreszcie zdjął ze wskazującego palca srebrny pierścień Steina,

który zwykle nosił, i dał go Tamb' Itamowi. Gdy Tamb' Itam wyruszył ze swą misją, obóz Browna na kopcu był ciemny, tylko przez gałęzie jednego z drzew, ściętych przez białych ludzi, jaśniał niewielki krąg żaru.

„Poprzedniego dnia nad wieczorem Brown dostał od Jima złożoną kartkę papieru ze słowami: „Droga jest wolna. Proszę wyruszyć z rannym przyływem, w chwili gdy wasza łódź znajdzie się na wodzie. Niech pańscy ludzie będą ostrożni. Zarośla po obu stronach zatoki i ostrokół u przesmyka pełne są zbrojnych ludzi. Nie udałby się Panu żaden wybryk, ale nie myślę aby Pan pragnął rozlewu krwi“. Brown przeczytał kartkę, podarł ją na drobne kawałki, i zwracając się do Corneliusa, który ją przyniósł, rzekł szyderczo: „Żegnaj, drogi przyjacielu“. Cornelius był popołudniu w forcie i snuł się ukradkiem naokoło domu. Jim wybrał go na posłańca, ponieważ metys umiał po angielsku i znany był Brownowi; nie groziło więc niebezpieczeństwo, aby który z ludzi Browna zastrzelił go przez omyłkę w zdenerwowaniu, jak to się mogło zdarzyć Malajowi zbliżającemu się o zmierzchu.

„Cornelius nie odchodził po oddaniu kartki. Brown siedział przy małym ognisku; wszyscy inni leżeli.

„— Mógłbym panu powiedzieć coś, czego by pan się chętnie dowiedział — burknął Cornelius. Brown nie zwrócił na to uwagi. — Nie zabił go pan — ciągnął metys — i co pan ma za to? Mógł pan dostać od radzy pieniędzy, poza rabunkiem wszystkich domów bugiskich, a teraz pójdzie pan z kwitkiem.

„— Lepiej pan się stąd zabieraj — warknął Brown, nie spojrzawszy nawet na Corneliusa. Lecz ten opadł na kłodę obok Browna i jął szeptać bardzo prędko, dotykając jego łokcia od czasu do czasu. Przy pierw-

szych słowach metysa Brown zachnął się i rzucił przekleństwo. Cornelius powiedział mu poprostu o zbrojnym oddziale Daina Warisa w dole rzeki. Z początku Brown myślał, że jest zaprzędany i zgubiony, lecz po chwili zastanowienia uznał, iż nie mogło tu chodzić o podstęp. Nie odpowiedział nic, a Cornelius zauważył po chwili tonem zupełnie obojętnym, że jest jeszcze inny przejazd rzeką, dobrze mu znany.

„— To wcale pożyteczna wiadomość — rzekł Brown, nastawiając uszu; Cornelius zaś zaczął rozpowiadać, co się dzieje w mieście i powtórzył wszystko, o czem mówiono podczas obrad, plotkując jednostajnie przy-ciszonym głosem prosto do ucha Browna, jak się mówi wśród śpiących ludzi, których się nie chce obudzić.

„— On myśli że mnie unieszkodliwił, co? — mruknął Brown bardzo cicho.

„— Tak. To dureń. Niewiniątko! Zjawił się tu i obdarł mię — ciągnął monotownie Cornelius — i wkradł się w zaufanie wszystkich ludzi. Ale gdyby zaszło coś takiego, żeby przestali mu wierzyć, co by się wówczas z nim stało? A ów Bugis, Dain, który czeka w dole rzeki na pana, panie kapitanie, to ten sam, który zapędził was na kopiec, kiedyście się pokazali. — Brown zauważył niedbale, że byłoby lepiej spotkania z nim uniknąć, na co Cornelius oświadczył równie obojętnym tonem, jakby w zamyśleniu, że zna pewien przesmyk, dość szeroki aby łódź Browna mogła objechać od tyłu obóz Warisa. — Tylko musicie przywarować cicho — dodał — bo w jednym miejscu przejeżdża się tuż za obozem. Bardzo blisko. Rozłożyli się nad rzeką, a łodzie wyciągnęli na brzeg.

„— Oho, już my potrafimy przyczać się jak mysz pod miotłą — niech się pan nie boi — rzekł Brown.

Cornelius wymówił sobie, że jeśli się podejmie służyc za pilota, jego czółno będzie holowane przez łódź Browna. — Muszę prędko wrócić — wyjaśnił.

„Dwie godziny przed świtem najdalej wysunięte placówki dały znać do ostrokołu, iż biali zbójcy scho-
dzą do swej łodzi. W bardzo krótkim czasie wszyscy
zbrojni ludzie Patusanu byli w pogotowiu, lecz wy-
brzeża rzeki pozostały takie spokojne, że gdyby nie
ogniska wybuchające zamglonemi płomieniami, moż-
naby było myśleć, iż miasto śpi jak w czasie pokoju.
Gęsta mgła leżała bardzo nisko na wodzie, tworząc
coś w rodzaju złudnego, popielatego światła, które nic
nie rozjaśniało. Gdy wielka łódź Browna wysunęła
się z zatoki na rzekę, Jim stał na przylądku przed
ostrokołem radzy — w tem samem miejscu, gdzie po-
raz pierwszy postawił nogę na gruncie Patusanu. Za-
majaczył przed nim cień poruszający się wśród sza-
rości, samotny, bardzo wielki a jednak prawie nieu-
chwytny dla oka. Szmer cichej rozmowy dochodził
stamtąd. Brown, siedzący u steru, usłyszał że Jim
mówi spokojnie:

„— Droga wolna. Puśćcie się lepiej z prądem
póki jest mgła; ale ona niedługo już się podniesie.

„— Tak, wkrótce będzie wszystko widać —
odparł Brown.

„Pod ostrokołem trzydziestu czy czterdziestu ludzi
wstrzymało oddech, stojąc z muszkietami gotowemi
do strzału. Właściciel statku, Bugis, którego widziałem
na werandzie Steina, był właśnie wśród nich i opo-
wiadał mi że łódź, okrążająca wówczas bardzo blisko
przylądek, rzekłbyś stała się na chwilę ogromna i spię-
rzyła się u brzegu nakształt góry.

„— Jeśli się panu opłaci poczekać dzień u ujścia

rzeki — zawołał Jim — postaram się panu posłać trochę żywności — bawołu, jadalne korzenie, co będę mógł. — Cień łodzi sunął dalej.

„— Dobrze. Niech pan przyśle — rzekł we mgle bezbarwny, głuchy głos. Nikt z licznych, uważnych słuchaczy nie rozumiał znaczenia tych słów; Brown i jego ludzie odpłynęli w swej łodzi, niknąc jak widma bez najłżejszego szmeru.

„I tak oto Brown — niewidzialny we mgle — opuścił Patusan ramię w ramię z Corneliusem siedzącym w rufie.

„— Może pan dostanie małego bawołu — rzekł Cornelius. — O tak. Bawołu. I trochę jadalnych korzeni. Dostanie pan, jeśli on tak powiedział. On zawsze mówi prawdę. Ukradł mi wszystko co posiadałem. Zapewne pan woli małego bawołu niż złupienie wielu domów.

„— Radziłbym panu trzymać język za zębami, bo mógłby ktoś wyrzucić pana za burtę w tę przekłęta mgłę — rzekł Brown. Łódź zdawała się stać w miejscu; nic nie było widać, nawet rzeki tuż przy burcie, tylko pył wodny unosił się i ściekał skroplony po brodach i twarzach. Brown mówił mi, że to było bardzo dziwne. Każdemu z nich się zdawało, iż dryfuje sam jeden w czółnie, przeczuwając niejasno obecność prawie niedostrzegalnych widm, wzdychających i pomrukujących.

„— Więc panby mnie wyrzucił za burtę, co? — burknął Cornelius. — Jaby i tak wiedział, gdzie jestem. Mieszkam tu od wielu lat.

„— Ale jeszcze za krótko, żeby coś widzieć wśród takiej mgły — rzekł Brown, wyciągnawszy się wygodnie; ręka jego zwisała z niepotrzebnej sterownicy, kołysząc się tam i sam.

„— Wcale nie. Zupełnie wystarczająco — warknął Cornelius.

„— To bardzo pożyteczne — oświadczył Brown. — Więc mam wierzyć, że pan znajdzie tak na ślepo tę odnogę rzeki, o której pan mówił?

„Cornelius odmruknął coś na to. „Czy jesteście zanadto zmęczeni aby wiosłować?“ spytał po chwili milczenia.

„— Nie, na Boga! — krzyknął Brown nagle. — Wy tam, do wiosł! — Rozległ się we mgle głośny stukot, który się przemienił po chwili w miarowy zgrzyt niewidzialnych wiosł o niewidzialne dulki. Zresztą wciąż nic się nie dostrzegało i gdyby nie lekkie pluskanie zanurzanych w wodzie piór, można było pomyśleć że wiosłują w balonie między chmurami, jak mi Brown opowiadał. Potem już Cornelius wcale ust nie otworzył, raz tylko zażądał opryskliwie aby wylać wodę z czołna, które holowano za łodzią. Mgła stopniowo białała i zaczęła się przecierać na przodzie. Z lewej strony Brown ujrzał mrok, niby grzbiet oddalającej się nocy. Nagle wielki konar okryty liśćmi ukazał się nad jego głową; końce cienkich, krętych gałązek, ociekające wodą i nieruchome, zwisały tuż obok burty. Cornelius wziął, milcząc, rękojeść steru z rąk Browna.

R o z d z i a ł XLIV

„Zdaje mi się że odtąd nie zamienili już ani słowa. Łódź wjechała w wąski boczny przesmyk, gdzie popychano ją, wpierając wiosła w kruszące się brzegi; mrok był tak wielki, jakby olbrzymie czarne skrzydła rozpostarły się nad mgłą, która zapełniała przesmyk aż do wierzchołków drzew. Z gałęzi sypały się wielkie krople poprzez mroczne opary. Na mruknięcie Corneliusa Brown rozkazał swym ludziom nabić broń.

„— Daję wam sposobność porachowania się z nimi, zanim się to skończy, wy nędzne pokraki — rzekł do swej bandy. — Tylko mi nie zmarnować okazji, hołoto“. — Cichy pomruk rozległ się po tej przemowie. Cornelius robił zamieszanie, kłopotząc się o bezpieczeństwo swego czółna.

„Tymczasem Tamb' Itam dotarł do celu podróży. Wskutek mgły spóźnił się trochę, lecz wciąż wiosłował spokojnie, trzymając się blisko południowego brzegu. Niebawem pojawiło się słońce, niby żar w matowej, szklanej kuli. Brzegi po obu stronach rzeki podobne były do ciemnych smug; rozróżniało się w nich jakby zarysy kolumn — a wysoko w górze cienie poskręcanych gałęzi. Na wodzie leżała wciąż gęsta mgła, ale straż pilnowała czujnie przejazdu, bo gdy Tamb' Itam zbliżył się do obozu, postacie dwóch ludzi wyłoniły się z białych oparów i donośne głosy go zagabnęły. Gdy odpowiedział, ukazało się zaraz czółno i Tamb'

Itam udzielił nowin wiosłarzom. Wszystko dobrze. Troski minęły. Wysłuchawszy tego, ludzie w czólnie puścili burtę jego łódki i znikli natychmiast. Płynął dalej, póki go nie doszły głosy niosące się spokojnie po wodzie i wreszcie ujrzał pod mgłą — która zaczęła się podnosić, wirując — blask wielu małych ognisk, rozpalonych na piaszczystym wybrzeżu, na tle wyniosłych, cienkich drzew i krzaków. Stała tu również straż na warcie i okrzyknęła Tamb' Itama. Rzucił w odpowiedzi swe imię i paru ostatnimi uderzeniami wiosła wpędził łódkę na brzeg. Obóz był wielki. Nad ludźmi, przykucniętymi w licznych grupkach, unosił się stłumiony gwar wczesnych rozmów porannych. Cienkie nitki dymu wiły się zwolna wśród białej mgły. Dla wodzów pobudowano niewielkie szałas-y wzniesione nad ziemią. Gdzieniegdzie stały małe piramidy z muszkietów, a długie włócznie tkwiły pojedynczo, wbite w piasek przy ogniskach.

„Tamb' Itam przybrał minę pełną powagi i kazał się zaprowadzić do Daina Warisa. Przyjaciel białego tuana spoczywał na wysokiem legowisku zrobionem naprędce z bambusów, pod dachem z tyczek okrytych matami. Dain Waris nie spał; jasny ogień palił się przed jego łóżem, przypominającym prymitywny ołtarz. Jedyńy syn *nakhody* Doramina odpowiedział łaskawie na powitanie. Tamb' Itam przedewszystkiem wręczył mu pierścień, który świadczył o prawdzie słów posłańca. Dain Waris, wsparty na łokciu, rozkazał mu mówić i zdać sprawę ze wszystkiego co zaszło. Tamb' Itam zaczął od słów uświęconych zwyczajem: „Wieści są pomyślne“, poczem powtórzył słowa Jima. Białym ludziom, odjeżdżającym za zgodą całej starszyny, dozwala się przejechać wdół rzeką. W odpowiedzi na

parę pytań Daina Tamb' Itam opisał przebieg ostatnich obrad. Dain Waris słuchał uważnie, bawiąc się pierścieniem, który wsunął wreszcie na wskazujący palec prawej ręki. Dowiedziawszy się o wszystkich nowinach, Dain odprawił Tamb' Itama, rozkazując mu aby się posilił i wypoczął. Polecono natychmiast gotować się do popołudniowego powrotu. Potem Dain Waris wyciągnął się znów na łożu z otwartymi oczami, a jego świta przygotowywała mu posiłek u ogniska; siedział tam również Tamb' Itam, rozmawiając z ludźmi, którzy zbliżali się powoli aby się dowiedzieć o ostatnich nowinach z miasta. Słońce pożerało mgłę. Ustawiono czujne strażę wzdłuż głównego łożyska rzeki, gdzie każdej chwili spodziewano się ujrzeć łódź białych.

„Wówczas to Brown zemścił się na tym świecie, któremu dokuczał wzgardliwie i zuchwale przez lat dwadzieścia i który w końcu odmówił mu daniny: powodzenia w zwykłym rabunku. Zemsta Browna była aktem zimnego okrucieństwa, które cieszyło go jeszcze na łożu śmierci, jak wspomnienie zuchwałego wyzwania. Kazał wysiąść pocichu swym ludziom na brzeg wyspy przeciwległy obozowi Bugisów i powiódł ich w tamtą stronę. Cornelius usiłował się wymknąć w chwili gdy lądowali, lecz uległ po krótkiej chwili milczącego szamotania się i poprowadził bandę przez najmniej zwarte zarośla. Brown trzymał w jednej wielkiej pięści kościste ręce Corneliusa za jego plecami i od czasu do czasu przynaglał go wściekłym szturchańcem. Metys milczał jak ryba, upadły na duchu lecz wierny swemu celowi, którego osiągnięcie zaczynało przed nim mętnie majaczyć. Na skraju lasu ludzie Browna rozstawili się w ukryciu i czekali. Wdzieli cały obóz jak na dłoni; nikt nie patrzył w ich

stronę. Bugisom nie przeszło nawet przez głowę, aby biali mogli wiedzieć o wąskim przesmyku z drugiej strony wyspy. Wreszcie Brown uznał, że chwila odpowiednia nadeszła i krzyknął: „Dalej w nich!“ Czternaście strzałów zagrzmiało jak jeden.

„— Tamb' Itam mówił mi, że cały obóz osłupiał; padło wielu zabitych i rannych, lecz z tych co ocalili nikt się nie poruszył czas dłuższy po pierwszej salwie. Wreszcie któryś z nich krzyknął, a po tym krzyku wielki wrzask zdumienia i trwogi wydarł się ze wszystkich ust. Ślepy, paniczny strach pędził rozkołysaną ludzką gromadę po brzegu tam i z powrotem, niby stado bydła lękające się wody. Niektórzy skoczyli odrazu do rzeki, większość zaś dopiero po ostatniej salwie. Trzy razy ludzie Browna strzelali w tłum, a Brown, który sam jeden ukazał się na skraju lasu, klął i wrzeszczał: „Celuj nisko! Celuj nisko!“

„Opowiadał mi Tamb' Itam, że jeśli chodzi o niego, zrozumiał odrazu po pierwszej salwie, co się stało. Choć kule go nie dosięgły, padł na ziemię i leżał jak martwy, tylko oczy trzymał otwarte. Na dźwięk pierwszych strzałów Dain Waris, wyciągnięty na posłaniu, zerwał się i wybiegł na brzeg, w sam czas aby dostać kulą w czoło przy drugiej salwie. Tamb' Itam widział, jak Dain rozkrzyżował nagle ramiona, zanim upadł. Dopiero wówczas wielki strach ogarnął Tamb' Itama. Biali ludzie odeszli tak jak przyszli — niewidzialni.

„W taki to sposób Brown wyrównał swe porachunki ze złym losem. Niech Pan zauważy, że ten okropny zamach odznacza się pewną wyższością, jakby był dziełem człowieka, który — pod pokrywką pospolitych swych namiętności — jest narzędziem prawa —

jako abstrakcji. Nie była to rzeź zwykła i zdradziecka; była to nauka, kara — przejaw jakiejś ciemnej i straszliwej cechy ludzkiej natury, cechy, która — obawiam się tego — nie tkwi w nas tak bardzo głęboko, jak to sobie chętnie wyobrażamy.

„Potem biali wycofują się, niewidzialni dla Tamb' Itama i zdają się niknąć zupełnie z przed ludzkich oczu; a i szkuner znika także, jak zwykle rzeczy skradzione. Lecz krąży historia o dużej białej łodzi, którą parowiec handlowy napotkał w miesiąc później na oceanie. Znajdowały się w niej dwa wyschnięte, żółte, mówiące szeptem szkielety o szklistych oczach; zwierchnikiem ich był trzeci szkielet, który oświadczył że się nazywa Brown. Opowiedział iż jego szkuner, dążący na południe z ładunkiem jawańskiego cukru, został ciężko uszkodzony i zatonął. Tylko właściciel statku i jego dwaj towarzysze uratowali się z załogi liczącej sześć osób. Obaj majtkowie umarli na parowcu, który ich wziął na pokład. Brown pozostał przy życiu abym mógł się z nim spotkać i stwierdzam, że wypełnił do końca to, co mu było przeznaczone.

„Jak się zdaje, banda Browna zapomniała przy odjeździe odczepić czołno Corneliusa. Na samym początku strzelaniny Brown puścił wolno metysa, kopnąwszy go na pożegnanie. Gdy Tamb' Itam dzwignął się z pośród martwych, ujrzał „Nazarejczyka“, który biegał tam i z powrotem po brzegu wśród trupów i gasnących ognisk, wydając słabe okrzyki. Nagle rzucił się ku rzece i wśród zapamiętałych wysiłków starał się zepchnąć na wodę jedną z bugiskich łodzi. — „Potem — ciągnął dalej Tamb' Itam — stał, patrząc na ciężkie czołno i drapał się w głowę, póki mnie nie zobaczył“.

„— Co się z nim stało? — zapytałem. Tamb' Itam spojrział mi prosto w oczy i uczynił wyrazisty ruch prawą ręką.

„— Uderzyłem go dwa razy, tuanie — rzekł. — Kiedy zobaczył że się zbliżam, rzucił się gwałtownie na ziemię i zaczął wrzeszczeć, wywijając nogami. Darł się jak przerażona kura, póki nie poczuł ostrza; wówczas ucichł i leżał wpatrzony we mnie, aż wreszcie życie wyszło mu z oczu.

„Potem już Tamb' Itam dłużej nie zwlekał. Rozumiał jak ważną jest rzeczą, aby pierwszy przywiózł do fortu okropne nowiny. Z oddziału Daina Warisa wielu mężów zostało przy życiu, ale w najwyższym popłochu niektórzy przepłynęli rzekę, inni znów rzucili się w gąszcze. W rzeczywistości zaś nie zdawali sobie wcale sprawy, kto na nich uderzył, nie wiedzieli czy więcej białych zbójców się nie pokaże, czy nie zawładnęli już całym krajem. Wyobrażali sobie, że padają ofiarą jakiejś olbrzymiej zdrady, że są skazani na zupełną zagładę. Podobno niektórzy z nich wrócili małemi grupkami dopiero po upływie trzech dni, kilku jednak usiłowało puścić się natychmiast z powrotem do Patusanu. Jedno z czołen wartujących na rzece znalazło się niedaleko obozowiska w chwili ataku; wprawdzie z początku wioślarze skoczyli do wody i popłynęli ku przeciwnemu brzegowi, ale potem wrócili do czołna i ruszyli przerażeni w górę rzeki. Tamb' Itam wyprzedził ich o godzinę.

R o z d z i a ł X L V

„Gdy Tamb' Itam, wiosłując jak szalony, dotarł do osady, kobiety, stłoczone na pomostach przed domami, wyczekiwały powrotu małej flotyli Daina Warisa. Miasto miało wygląd odświętny; gdzieniegdzie widać było mężczyzn — zbrojnych jeszcze w lance lub strzelby — którzy chodzili lub stali w grupkach na brzegu. Chińskie sklepy otwarto wcześniej, lecz targ był pusty; placówka, stojąca jeszcze wciąż u rogu fortecy, dostrzegła Tamb' Itama i krzyknęła o jego przybyciu do załogi. Brama była szeroko rozwarta. Tamb' Itam wyskoczył z czołna i wbiegł do fortu na łeb na szyję. Pierwszą osobą, jaką napotkał, była dziewczyna, która szła właśnie od strony domu.

„Tamb' Itam stał przed nią jakiś czas, zadyszany, z drżącymi ustami, błędnymi oczyma, w potarganem odzieniu; stał i milczał, jakby nagły czar padł na niego. Wreszcie wybuchnął:

„— Zabili Daina Warisa i wielu innych.

„Dziewczyna klasnęła w ręce; pierwsze jej słowa były: „Zamknij bramy“. Większość ludzi z załogi wróciła już do swych domów; Tamb' Itam zwołał i popędzał tych nielicznych, którym z kolei wypadło pełnić służbę. Dziewczyna stała na dziedzińcu wśród ogólnej bieganiny.

„— Doramin! — krzyknęła rozpaczliwie do mijającego ją Tamb' Itama. Gdy przebiegał koło niej po raz drugi, odpowiedział szybko na jej myśl:

„— Tak. Ale cały proch w Patusanie jest u nas. — Schwyciła go za ramię, cała drżąca i szepnęła, wskazując na dom:

„— Poproś go tutaj.

„Tamb' Itam wbiegł po stopniach. Pan jego spał.

„— To ja, Tamb' Itam — krzyknął ode drzwi — przynoszę wieści, które czekać nie mogą. — Zobaczysz, że Jim odwraca głowę na poduszce i otwiera oczy, wybuchnął odrazu: — Tuanie, to jest dzień klęski, dzień przeklęty! — Pan jego dźwignął się na łokciu i słucał — zupełnie jak przedtem Dain Waris. A Tamb' Itam zaczął opowiadać; usiłował pokolei zdać sprawę ze wszystkiego, nazywając Daina Warisa „Panglima“. Gdy rzekł: — Wówczas Panglima zawołał do naczelnego ze swych wioślarzy: „Dajcie Tamb' Itamowi coś do zjedzenia“ — Jim wstał i spojrział na niego z tak zmienioną twarzą, że słowa uwięzły w gardle wiernego sługi.

„— Mów dalej — rzekł Jim. — Czy nie żyje?

„— Obyś żył wiecznie! — zawołał Tamb' Itam. — To była zdrada straszliwa. Na odgłos pierwszych strzałów Panglima wybiegł i padł...

„Pan Tamb' Itama podszedł do okna i uderzył pięścią w okiennicę. W pokoju zrobiło się jasno; wówczas pan zaczął mówić spokojnym głosem lecz bardzo prędko, rozkazując Tamb' Itamowi aby zebrał flotyllę łódek dla natychmiastowego pościgu, aby poszedł do tego, do tamtego — aby porozysłał gońców; mówiąc to wszystko, usiadł na łóżku i sznurował śpiesznie trzewiki; nagle podniósł głowę.

„— Dlaczego tu stoisz? — zapytał z bardzo czerwona twarzą. — Nie trać czasu. — Tamb' Itam wcale się nie poruszył.

„— Wybacz mi, tuanie, ale... ale... — zaczął się jękać.

„— Co takiego? — krzyknął pan głośno ze straszonym spojrzeniem i pochylił się naprzód, ściskając oburącz brzeg łóżka.

„— Nie jest bezpiecznie dla twego sługi iść tam pomiędzy lud — rzekł Tamb' Itam po chwili wahania.

„Wówczas Jim zrozumiał. Wycofał się ze świata wskutek błahostki — jednego porywczego skoku, a teraz oto drugi świat, dzieło jego własnych rąk, wali mu się w gruzach na głowę. Nie jest bezpiecznie dla jego sługi iść między jego własny lud! — Zdaje mi się, że właśnie wtedy Jim postanowił stawić czoło nieszczęściu w jedyny sposób, jaki uważał za możliwy; ale wiem tylko to, że bez słowa wyszedł z sypialni i usiadł przy długim stole, gdzie zajmował zawsze pierwsze miejsce, kierując sprawami swego świata i głosząc dzień po dniu prawdę, która z pewnością żyła w jego sercu. Ciemne potęgi nie wydrą mu poraz drugi spokoju! Siedział jak kamienny posąg. Tamb' Itam, pełen szacunku, napomknął o przygotowaniach do obrony. Dziewczyna, którą Jim kochał, weszła i zaczęła mówić do niego, lecz gdy poruszył ręką — przeraziła się niemą prośbą o milczenie, jaką ów ruch wyrażał. Wyszła na werandę i siadła na progu, jakby własnem ciałem chciała zagrozić drogę niebezpieczeństwu.

„Jakie myśli przechodziły Jimowi przez głowę — jakie wspomnienia? Któż to może powiedzieć! Wszystko przepadło; stracił znów ludzkie zaufanie, zawiódłszy już raz pokładaną w nim wiarę. Wyobrażam sobie iż właśnie wówczas usiłował pisać — do kogoś — ale tego zaniechał. Samotność ogarniała go znowu. Ludzie powierzyli mu swoje życie — i oto do czego doszło;

a tymczasem nigdy — jak mówił — nigdy nie będą w stanie go zrozumieć. — Żaden odgłos z domu nie przenikał nazewnątrz. Później, ku wieczorowi, Jim zbliżył się do drzwi i zawołał na Tamb' Itama.

„— Cóż tam? — zapytał.

„— Wiele jest płaczu. A także i wiele gniewu — rzekł Tamb' Itam. Jim podniósł na niego oczy.

„— Wiesz o tem — szepnął.

„— Tak, tuanie — rzekł Tamb' Itam. — Twój sługa wie i bramy są zamknięte. Będziemy musieli walczyć.

„— Walczyć! O co? — zapytał.

„— O życie.

„— Niema dla mnie życia — powiedział Jim. Tamb' Itam usłyszał krzyk dziewczyny stojącej u drzwi.

„— Kto wie? — rzekł Tamb' Itam. — Odwaga i chytróść pozwolą może nam uciec. A przytem wiele jest trwogi w sercach mężów. — Tamb' Itam wyszedł, snując niejasne myśli o łodziach i otwartem morzu i zostawił Jima z dziewczyną.

„Nie mam odwagi powtórzyć tego co mi mówiła o chwilach, które spędziła na mocowaniu się z Jimem o swoje szczęście. Ciągnęło się to z godzinę lub dłużej. Niepodobna przeniknąć czy miał jeszcze jakąś nadzieję — czego oczekiwał, co sobie wyobrażał. — Był nieugięty; a im bardziej się czuł osamotniony wśród swego uporu, tem wyżej zdawał się jego duch wznosić ponad gruzy walącego się życia. „Walcz!“ krzyczała do niego. Nie mogła zrozumieć! Nie było już o co walczyć. Jim chciał dowieść swej siły w inny sposób i pokonać sam los złowrogi. Wyszedł na dziedziniec; za nim ukazała się bez tchu dziewczyna, chwiejąc się na nogach, z rozpuszczonemi włosami, oszalałą twarzą i oparła się o framugę drzwi.

„— Otwórzcie bramy — rozkazał Jim. — Potem zwrócił się do ludzi z załogi i pozwolił im wrócić do domów.

„— Na jak długo? — zapytał jeden z nich nieśmiało.

„— Nazawsze — rzekł Jim posępnie.

„Cisza padła na miasto po pierwszym wybuchu rozpaczny i lamentu, który przewiał nad rzeką jak poryw wichru z rozwartego przybytku żałości. Lecz szeptem obiegały wieści, napełniające serca zgnębieniem i straszną niepewnością. Zbójcy mieli podobno wrócić na wielkim statku i naprowadzić jeszcze wielu innych, a wówczas nie byłoby już schronienia w tym kraju dla nikogo. Poczucie groźnego niebezpieczeństwa — jak podczas trzęsienia ziemi — przeniknęło wszystkie dusze; ludzie zwierzali się pocichu jeden drugiemu ze swych podejrzeń, spoglądając po sobie, jakby straszliwy los ich nawiedził.

„Słońce zniżało się ku lasom, gdy przyniesiono ciało Daina Warisa do kampongu Doramina. Czterech ludzi je dźwigało, zakryte jak przystoi białym całunem, który stara matka kazała zanieść do wrót nad rzeką, aby tam na syna oczekiwał. Złożono młodego wodza u stóp Doramina; starzec siedział bez ruchu długi czas nad zwłokami, z rękoma opartymi o kolana, i patrzył w ziemię. Pędy palm kołysały się łagodnie, a listowie drzew owocowych poruszało się nad jego głową. Wszyscy bez wyjątku ludzie z bugiskiego plemienia byli tam obecni w pełnym uzbrojeniu. Stary *nakhoda* podniósł wreszcie oczy. Potoczył niemi zwolna po tłumie, jakby szukał nieobecnej twarzy. Broda jego znów opadła na piersi. Szepty wielu ludzi mieszały się z lekkim szmerem listowia.

„Malaj, który przywiózł do Samarangu Tamb' Itama i dziewczynę, również tam się znajdował. Był mniej rozgniewany niż wielu innych, jak mi opowiadał, lecz przejmowała go zgroza i osłupienie wobec „niespodzianek losu, który wisi nad ludzkimi głowami jak chmura brzemienna gromem“. Mówił dalej, że gdy ciało Daina Warisa zostało odsłonięte na znak Doramina, ujrzeli tego, którego zwano często przyjacielem białego władcy; leżał, nic nie zmieniony, z lekko rozchylonemi powiekami, jakby miał się zaraz obudzić. Doramin pochylił się trochę więcej, rzekłbyś szukając czegoś, co upadło na ziemię. Ogarnął ciało od stóp do głów badawczym wzrokiem — może szukał na niem rany. Niewielki znak od kuli znajdował się na czole; nikt nie wyrzekł ani słowa, tylko jeden z obecnych pochylił się i zdjął srebrny pierścień z zimnej, sztywnej ręki. W milczeniu podał go Doraminowi. Szept przerażenia i zgrozy przebiegł po tłumie na widok tego ogólnie znanego symbolu przyjaźni. Stary *nakhoda* wpatrzył się weń i nagle wydał wielki, dziki krzyk z głębi piersi, ryk bólu i wściekłości, potężny jak ryk ugodzonego bawołu, napełniając wielkim strachem serca ludzi, wstrząśniętych niezmiernym jego gniewem i żalością, które przejawiały się tak wyraźnie bez słowa. Zapadła głucha cisza, gdy czterech ludzi dźwignęło ciało i niosło na stronę. Złożyli je pod drzewem; w tejże samej chwili wszystkie kobiety należące do domu Doramina wybuchnęły jednym przeciągłym jękiem, a potem zaczęły zawodzić ostre głosami. Słońce zachodziło; w przerwach wrzaskliwego lamentu rozlegały się wysokie, monotonne głosy dwóch starców, śpiewających wersety z koranu.

„Mniej więcej w tym samym czasie Jim, oparty

o łożysko armaty, patrzył na rzekę zwrócony tyłem do domu, we drzwiach zaś stała dziewczyna, zdyszana jak po gwałtownym biegu i patrzyła na niego poprzez dziedziniec. Tamb' Itam trzymał się niedaleko od swego pana, czekając cierpliwie na dalszy rozwój wypadków. Nagle Jim, który był jakby zatopiony w spokojnych rozmyślaniach, obrócił się ku niemu i rzekł:

„— Czas już z tem skończyć.

„— Słucham, tuanie? — rzekł Tamb' Itam i podszedł żwawo do swego pana. Z chwilą gdy Jim się odwrócił, dziewczyna ruszyła z miejsca i zeszła na dziedziniec. Nikogo z domowników nie było wówczas w pobliżu. Chwiała się zlekka i mniej więcej w połowie drogi zawołała na Jima, który zdawał się znowu wpatrywać spokojnie w rzekę. Odwrócił się i oparł plecami o armatę.

„— Czy będziesz się bił? — krzyknęła.

„— Niema o co się bić, nic nie jest stracone — odrzekł i o krok się ku niej posunął.

„— Czy uciekniesz? — krzyknęła znowu.

„— Ucieczka jest niemożliwa — rzekł i zatrzymał się; dziewczyna przystanęła także i milcząc, pożerała go wzrokiem.

„— Więc pójdziesz tam? — wyrzekła powoli. Jim spuścił głowę. — Ach! — krzyknęła, wpatrując się w niego — jesteś szalony, albo jesteś obłudny. Czy pamiętasz, jak wtedy w nocy zaklinałam cię abys odszedł ode mnie, a ty powiedziałeś, że nie możesz? Że to jest niepodobieństwo! Niepodobieństwo! Pamiętasz jak powiedziałeś, że nigdy mnie nie opuścisz? Dlaczego? Ja ciebie o to nie prosiłam. Obiecałeś z własnej woli — pamiętaj.

„— Cicho, ty moje biedactwo — rzekł. — Nie byłbym ciebie wart, gdybym został.

„Tamb' Itam mówił, że w czasie tej rozmowy zaczęła się śmiać głośno i obłudnie jak opętana. Jego pan objął głowę rękami. Był w codziennem ubraniu, tylko nie miał kapelusza. Nagle przestała się śmiać.

„— Po raz ostatni — krzyknęła groźnie — pytam, czy będziesz się bronił?

„— Nic mi się stać nie może — rzekł z ostatnim przeblyskiem wzniesłego egoizmu. Tamb' Itam ujrzał jak pochyliła się naprzód, wyciągnęła ramiona i pobiegła do pana. Rzuciła mu się na piersi i objęła go za szyję.

„— Ach! Ale ja ciebie zatrzymam — o tak! — krzyknęła. — Jesteś mój!

„Szlochała na jego ramieniu. Niebo nad Patusanem było krwawe, ogromne, jakby zalane posoką uchodzącą z otwartej żyły. Wielkie, purpurowe słońce gnieździło się wśród szczytów drzew, a las poniżej miał czarne, odpychające oblicze.

„Tamb' Itam mówił mi, że owego wieczoru niebiosy wyglądały gniewnie i przerażająco. A ja najzupełniej mu wierzę, gdyż wiem że tego dnia cyklon przeszedł o sześćdziesiąt mil od brzegu, choć tam na miejscu czuło się tylko leniwy powiew.

„Nagle Tamb' Itam ujrzał, że Jim chwytą dziewczynę za ręce i stara się je rozluźnić. Zawisła na nich z głową wtył odrzuconą; włosy jej dotykały ziemi. „Chodź tu!“ zawołał pan na Tamb' Itama; ten podbiegł i pomógł ją złożyć na ziemi. Trudno było rozpleść jej palce. Jim pochylił się nad dziewczyną, spojrział głęboko w jej twarz i natychmiast rzucił się ku przystani. Tamb' Itam popędził za nim, lecz odwróciwszy

głowę, zobaczył że pani zdołała się dźwignąć na nogi. Zaczęła biec w ich stronę; po kilku krokach padła ciężko na kolana.

„— Tuanie! tuanie! — zawołał Tamb' Itam — spojrzij za siebie! — Ale Jim był już w czólnie i stał, trzymając wiosło. Nie obejrzał się. Tamb' Itam ledwie zdążył się wdrapać do czółna, gdy już odpływało. Dziewczyna klęczała u wrót ze splecionymi rękami. Pozostała czas jakiś w tej błagalnej pozycji, wreszcie skoczyła na nogi.

„— Jesteś wiarołomca! — krzyknęła za Jimem.

„— Przebacz mi! — zawołał.

„— Nigdy! Nigdy! — odpowiedziała.

„Tamb' Itam wziął wiosło z rąk Jima, ponieważ nie wypadło aby jego pan wiosłował, a on siedział bezczynnie. Gdy dosięgli drugiego brzegu, tuan Jim zakazał Tamb' Itamowi iść dalej; lecz Tamb' Itam posuwał się za nim w pewnej odległości, wspinając się po zboczu w stronę *kampongu* Doramina.

„Zaczynało się zmierzchać. Gdzieśmigdzie migotały pochodnie. Widok Jima zdawał się porażać zgrozą przechodniów, którzy śpiesznie usuwali się nabok aby zrobić wolne przejście białemu. Z góry dochodziło zawodzenie kobiet. Dziedziniec był pełen zbrojnych Bugisów w otoczeniu świt i patusańskiego ludu.

„Nie wiem właściwie, w jakim celu się zgromadzili. Czy były to przygotowania do wojny, czy do zemsty, czy do odparcia grożącego napadu? Wiele dni upłynęło, zanim ludzie przestali wyczekiwać ze drżeniem powrotu białych brodaczy w łachmanach — a właściwego stosunku owych ludzi do białego władcy Patusanu nigdy nie potrafili zrozumieć. Nawet dla tych prostych dusz biedny Jim pozostał mętną zagadką.

„Doramin siedział w fotelu naprzeciw zbrojnego tłumu, samotny, olbrzymi, zrozpaczony, z parą pistoletów skałkowych na kolanach. Gdy się biały tuan ukazał, ktoś krzyknął i wszystkie głowy naraz skierowały się ku Jimowi; tłum rozpadł się na prawo i lewo, a on szedł tą drogą pośród odwróconych spojrzeń. Ścigały go szept, pomruki: „On jest sprawcą całego zła!“ „To czarownik!“ ... Jim słyszał to... może!

„Kiedy znalazł się w świetle pochodni, zawroźnienie kobiet nagle ustało. Doramin nie podniósł głowy i Jim stał przed nim czas jakiś w milczeniu. Potem spojrział na lewo i skierował się tam miarowemi krokami. Matka Daina Warisa siedziała w kucki u jego głowy; siwe, potargane włosy zasłaniały jej twarz. Jim zbliżył się powoli; podniósł nakrycie, spojrział na zmarłego przyjaciela, poczem opuścił całun bez słowa. Wrócił zwolna ku Doraminowi.

„— Przyszedł! Przyszedł! — przebiegało po wszystkich ustach, wzniesając szmer towarzyszący krokom Jima.

„— Wziął wszystko na własną głowę — rzekł ktoś głośno. Jim usłyszał to i zwrócił się do tłumu.

„— Tak. Na własną głowę.

„Kilku ludzi cofnęło się. Jim czekał chwilę przed Doraminem, a potem rzekł łagodnie:

„— Przyszedłem pełen żalu. — Czekał znów. — Przyszedłem gotów na wszystko i bezbronny — powtórzył.

„Ociężały starzec pochylił wielkie czoło jak wół pod jarzmem i usiłował powstać, chwytając z kolan skałkowe pistolety. Z gardła dobywał mu się zduszony, nieludzki bełkot; dwaj dworzanie dźwignęli go z tyłu. Ludzie zauważyli, że pierścień upuszczony

przez Doramina spadł i potoczył się aż do stóp białego, a biedny Jim spojrział wdół na talizman, co otworzył mu drogę do sławy, miłości i powodzenia — wprowadził go za mur lasów obramowanych białą pianą — wgląb wybrzeża, które w blasku zachodniego słońca wygląda zaiste jak twierdza nocy. Doramin, starając się utrzymać na nogach, tworzył z dwoma podtrzymującymi go ludźmi ruchomą, chwiejną grupę; jego małe oczka błyskały dziko; spoglądał z wyrazem obłąkanego bólu i wściekłości, co zauważyli bliżej stojący ludzie; wkońcu, podczas gdy Jim stał z gołą głową, wyprężony w świetle pochodni, patrząc mu prosto w twarz, Doramin zawisł ciężko lewem ramieniem na szyi pochylonego młodzieńca, wznosił powoli prawą rękę i strzelił w pierś przyjacielowi swego syna.

„Tłum, który się rozpadł za Jimem z chwilą kiedy Doramin podniósł broń — po strzale rzucił się naprzód zgiełkowie. Mówią, że biały cisnął w prawo i lewo — na wszystkich tych ludzi — dumne, nieugięte spojrzenie. Potem, z ręką na ustach, padł na twarz, martwy.

„I na tem koniec. Jim znika — nie uzyskawszy przebaczenia, otoczony mętną tajemnicą, z sercem nieprzeniknionem, zapomniany — i niezwykle romantyczny. Nawet w najszańszych dniach swych chłopięcych rojeń nie mógł wymarzyć tak czarownej wizji, tak tryumfalnego wyniku! Bo może w tem krótkim mgnieniu, gdy rzucił wkóło po raz ostatni dumnym, nieugiętym wzrokiem, może ujrzał oblicze owej wyśnionej sposobności, która, jak wschodnia oblubienica, stanęła zakwefiona u jego boku.

„Oto widzimy go, nieznanego zdobywcę sławy, jak się wyrywa z ramion zazdrosnej miłości na znak,

na zew wzniesłego egoizmu. Odchodzi od żywej kobiety, aby zawrzeć bezlitosne śluby z mglistym ideałem postępowania. Pytam się siebie, czy jest teraz zupełnie zadowolony? Powinniśmy to wiedzieć. Jest jednym z nas; a czyż nie stawiałem się kiedyś, jak duch wywołany zaklęciem, aby świadczyć o niezłomnej jego wierności? I chyba się nie pomyliłem tak bardzo. Teraz go już niema, ale przychodzą dni, gdy rzeczywistość jego istnienia narzuca mi się z olbrzymią, z porywającą siłą; a jednak — daję na to słowo — są także chwile, kiedy Jim rozplywa mi się przed oczami jak odcieleśniony duch, błędzący wśród namiętności tej ziemi, gotów poddać się karnie wezwaniu swego własnego świata cieniów.

„Któż to wie? Odszedł z sercem nieprzeniknionem — a biedna dziewczyna wiezie w domu Steina głuche, martwe życie. Stein bardzo się w ostatnich czasach postarzał. Czuje to sam; mówi często: „Trzeba będzie wkrótce opuścić to wszystko... opuścić“ — i smutnym ruchem ręki wskazuje na swoje motyle.

Wrzesień 1899 — lipiec 1900

ARCYDZIEŁA LITERATURY
WSZECHŚWIATOWEJ
POWIEŚCI
JOSEPHA CONRADA
(KONRADA KORZENIOWSKIEGO)

DOTYCHCZAS WYSZŁY:

I. SZALEŃSTWO ALMAYERA. Wyd. III	8.—
III. MURZYN Z ZAŁOGI „NARCYZA“. Wyd. II	6.—
V i Va. LORD JIM. 2 tomy	12.—
VI. MŁODOŚĆ. JĄDRO CIEMNOŚCI	6.—
VII. TAJFUN. Wyd. II	3.80
VIII. <i>Falk</i> : WSPOMNIENIE.	7.—
IX i IXa. NOSTROMO. 2 tomy	18.—
XV. MIĘDZY ŁĄDEM A MORZEM. Wyd. II	7.—
XVII. WŚRÓD PRĄDÓW	6.—
XVIII i XVIIIa. ZWYCIĘSTWO. Wyd. II. 2 tomy	15.—
XIX. SMUGA CIENIA. Wyd. II	4.80
XXI i XXIa. OCALENIE. 2 tomy	15.—
XXIII. KORSARZ. Wydanie II	7.40
XXIV. OPOWIEŚCI ZASŁYSZANE.	4.—

W ozdobnej płóciennej oprawie każdy tom o 3 zł. drożej.

W poprzednich wydaniach są jeszcze do nabycia:

IV. OPOWIEŚCI NIEPOKOJĄCE	4.80
XII. SZEŚĆ OPOWIEŚCI	6.—

Dalsze dzieła Conrada ukazywać się będą w wyd.

DOMU KSIĄŻKI POLSKIEJ

INSTYTUT
BADAŃ LITERACKICH PAN

Biblioteka

ul. Nowy Świat Nr 72

00-280 Warszawa

Tel. 28-68-63, 28-52-31 w. 42

<http://coi.n.org.pl>

F.

493.

2